KONRAD ANHELI

GOLGOTA NIESŁAWNA

KRAKÓW 1910.
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

GOLGOTA NIESŁAWNA

2

KONRAD ANHELI

GOLGOTA NIESŁAWNA

KRAKÓW 1910.
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

Drukarnia Uniw. Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskiego.

I.

Mochnacki siedział w kożuszku przy piecu zapatrzony w zarzewie. Olbrzymia jego postać rysowała się ciemną plamą w półmroku pokoju, a twarz oblana blaskiem uwydatniała swe ostre kontury.

W kącie pod oknem płomyk papierosa zdradzał obecność jeszcze kogoś.

Dokoła panowała cisza, przerywana od czasu do czasu gwarem kilkunastu silnych, młodych głosów, które dochodziły przez zamknięte drzwi.

Siedzący w kącie zaczął opowiadać z oburzeniem o przebiegu sesji, na której wydalono ucznia klasy czwartej za znalezienie w jego rańcu książki polskiej, najniewinniejszej treści.

— Ot do czego to już dochodzi, czyż nie można było obronić biedaka od tak ciężkiej kary, czy nikt nie protestował, biadał Mochnacki.

— Owszem, niektórzy z nas protestowali, lecz dyrektor uparł się i wypędził; żadne argumenta nic nie pomogły. Gdy przyszło do głosowania, kilku kolegów nie chciało się narażać, lecz i tak wypędzonoby, bo dyrektor dał prawo głosu całej psiarni; większość miałby zawsze po swej stronie.

— Spełniono prawdziwą zbrodnię, chłopca wypędzono przez zemstę, bo inspektor i Dubow byli w złych stosunkach z jego ojcem, który nie zgodził się odstąpić inspektorowi dworu na letnie mieszkanie.

— Jestem zupełnie złamany, bo te sprawy poruszają mię do głębi duszy. Cóż z tego, że wyodrębniałem swe zdanie, protestowałem przeciw bezprawiu dopuszczenia

do głosu takich Łagunowych, Rubarków, rabina i innych.

— Nic nie pomoże, a i tak na włosku wisisz, Miński dowodzi, że napewno dostaniesz niekorzystną translokatę do progimnazjum.

Mochnackiego porwał w swe objęcia brutalny kaszel. Dał mu niemiłosiernego szturchańca w szerokie wystające barki, tak że głową wbił się prawie w otwór pieca, a potem kaszel zaczął go przewalać z boku na bok, miotać całem ciałem, rozdzierać piersi ochrypłemi rzutami ostrych, oderwanych jęków.

— Ach Boże, Boże! stękał chory.

— Trzeba się leczyć, jak można tak lekceważyć zdrowie, ten kaszel, jak widzę, coraz więcej się potęguje.

— Leczyć się, leczyć, powtarzał Mochnacki, nie stać mię na to. Stancja literalnie nas zjada, bo większość płaci tyle, że ledwo wystarczy na przeżywienie chłopca, a jak się trafi lepiej płatny uczeń, zaraz dyrektor zabiera, każe stać na stancji u nauczyciela rosyjskiego języka lub u innych protegowanych. Rodzice znając niechęć władz szkolnych do mnie, stawiają różne warunki, przy lada sposobności grożą zabraniem dzieci, każą robić ustępstwa. Istne piekło! A nas ośmioro, pensji nie wystarczy.

Łowicki, zamiast odpowiedzi, zaczął mierzyć pokój nerwowemi krokami, a potem jeszcze głębiej zaszył się w swój kąt.

Mochnacki skurczony, drżący pokaszliwał zapatrzony w zarzewie.

Na dworze zawodził swe dumy wicher jesienny, łomotał się piskliwie w kominie, wydłużając pojedyńcze dźwięki w płacz urywany, serdeczny. Cała atmosfera pokoju napełniła się niepochwytnemi zgrzytami bezsilnego żalu, z najciemniejszego kąta wyjrzało oburzenie, kurczowo zaciskając swe muskularne pięści aż do nabrzmienia żył czarną zepsutą krwią; poniżenie snuło się w nerwowym zapędzie z końca w koniec, wyrzucając z spartych piersi ochrypłe słowa nienawiści, żalu i wzgardy

a sarkazm wyszczerzał żółte, nadpsute zęby i pokładał się od śmiechu... zlewał się długim poświstem wichru, który na dworze coraz się wzmagał.

II.

Wykwintnie urządzony gabinet dyrektora gimnazjum w jego prywatnym mieszkaniu pławi się w przyćmionym świetle różowego abażuru. Podłoga pokryta kobiercem lśni się woskiem w miejscach obnażonych, żegar na biurku, zastawionem różnemi drobiazgami, syka przeciągle, lecz dyskretnie, jak przystało w obecności tak wysokiego dygnitarza.

Przy biurku na wygodnym fotelu siedzi dyrektor w swej własnej osobie. Na głowie łysina w postaci powiększonej tonzury świadczy o przynależności rodu Szachowiczów do stanu duchownego, broda siwiejąca, przystrzyżona okrągło, okala policzki zarumienione wywczasem, dobrobytem i życzliwością wszechpotężnego kuratora Apuchtina. Brwi pochylają się ku małym chytrym oczkom, biegającym żywo z niepokojem w prawo i w lewo, lub podnoszącym się ku górze w poszukiwaniu natchnienia dla osiągnięcia jeszcze wyższych szczebli karjery urzędniczej. Nad niemi chyli się czoło płaskie, pokryte zmarszczkami, swiadectwem licznych prac i zasług, w postaci wyrywania dzieciom polskim żądła nienawiści, w którym kryje się jad, zwany w chemji urzędniczej polskim patryotyzmem.

Dyrektor uderzył palcem, zdobnym w sygnet, dar fabrykanta Grosmana, w dzwonek wyzłacany.

— Zawołać Rubarkę!

Wezwany zjawił się po dobrej chwili, wyprostował, jak żołnierz, i składając nizki pokłon, rzekł uroczyście i z namaszczeniem:

— Moje uszanowanie Jego Excelencji, Aleksandrze Sawiczu!

Dyrektor kiwnął głową uprzejmie, lecz ze sztywną

protekcyonalnością, bo u siebie sam na sam nigdy nie podawał ręki pomocnikom klasowych gospodarzy i rzucił jakby odniechcenia:

— Co słychać nowego, lecz krótko i zwięźle, bo dzisiaj nie mam dużo czasu.

— Ha, nowego nie mało.

— Zacznijmy od nauczycieli.

Rubarko pogładził swą rzadką, ryżawą bródkę, która sterczała dwoma kępkami po bokach i nadawała całemu wyrazowi twarzy coś kociego; tembardziej że Rubarko często mrugał małemi piwnemi oczkami i miał zwyczaj oblizywać się.

— Wiadomo wszystkim, że Mochnacki nie uczęszcza na lekcje już pięć dni, a wczoraj widziałem go na spacerze w polu przy posesji Leśniczka.

— To źle, to źle! »Niedobrosowiestnoje otnoszenije k'służebnym obiazannostiam«.

Dyrektor zapalił papierosa i uśmiechnął się złośliwie.

— Taki patrjota polski, a jeszcze ciągle choruje i darmo bierze rządowe pieniądze.

— To człowiek bez żadnego sumienia.

Z takim panem »biez pobłażki«, napisze się o tem do pana kuratora.

Dyrektor notował coś z zadowoleniem w swej czarnej księdze, a skończywszy podniósł wzrok na interlokutora.

— Cóż jeszcze?

— Wiadomo wszystkim, że na stancji u tego samego Mochnackiego uczniowie czytają polskie książki, mówił mi o tem Maliniak, a sama pani pisze z uczniami polskie »diktowoczki«. To już pewno, bo sam słyszałem przez okno. Wszedłem nagle niby w interesie, lecz tak zręcznie pochowali kajety, żem nic nie złapał.

— »Wot razwràt! — wproczem eta kwartira na oczeredi k'zakrytiju«, wyrzekł dyrektor z flegmą i nachmurzył się.

— Ten sam Mochnacki, panie dyrektorze, mówi w klasie po polsku, sam słyszałem, tłumaczył Brzozow-

skiemu w I-ej klasie, że nasze słowo »uczciwyj«, po polsku grzeczny, a nasze słowo »czestnyj«, po polsku uczciwy.

— Tak, tak, pozwala sobie. Tego ptaszka trzeba się pozbyć, a tymczasem zwinąć stancję u niego, niech robi, co chce. »Takich po karmanu bić«, może spokornieje i zapomni o patrjotyzmie.

— Kazać mu zwinąć stancję, potakiwał z oburzeniem Rubarko.

— A inni?

— Mamy więcej podobnych do Mochnackiego, nie lepszy Sosnowski, a Łowicki, to już bardzo nie lubi ruskiego człowieka.

— Z Sosnowskim znamy się też, a o Łowickim nie warto nawet mówić, to »cziełowiekonienawistnik« nie lepszy od Bema. »Aleksandru Lwowiczu uże dołożeno o niom«.

— Proszę pana dyrektora zapytać Flegonowa, on wie coś więcej o tym przyjacielu Sosnowskiego i Mochnackiego.

— Wiem, wiem — buntuje uczniów!

— I jak jeszcze, zbiera u siebie starszych i daje im jakieś »kramolnyje« książki.

— Proszę śledzić za tymi panami, wiem, że to »pticy«! A cóż nowego o uczniach?

— Nic dobrego, proste buntownicy, a nie uczniowie; źle, że niektórzy »ruskije uczytielà« pozwalają im za wiele.

— Co, co!

— A ot Dubów boi się czwartej klasy i daje za dobre stopnie za »diktowki«, a oni pewni siebie, nic nie robią, a zajmują się patrjotyzmem. W przeszłym roku była nie taka czwarta klasa, postawi bywało Iljadow trzydzieści dwójek, szesnaście pałek i było dobrze, nikt ani mru-mru, siedzieli w domu i pisali »diktowoczki«, nie mieli czasu myśleć o patrjotyzmie. »Tiepier nastojaszczyj rozwrat« zakończył zamaszyście.

— Dubow dostanie napomnienie, proszę policzyć

ile postawił dwójek i jedynek za dyktanda i podać mi zapiskę przed lekcjami, muszę mieć dokument w ręku.

— Słucham.

— Cóż jeszcze o uczniach?

— Oh, i mówić ciężko, tyle buntowników w gimnazjum, że prosto może być »miatież« i basta.

— Nie tak znowu źle, przecież na wszystko zwraca się uwagę.

Po za lekcjami mówią po polsku. rób co chcesz, taki Pasierbiński, prosto jak na złość, wyśmiewa się, wczoraj śpiewał po polsku.

— Należy go wykurzyć, tak samo jak Brzezińskiego, napisać wreszcie do rodziców, niech biorą lub won!

— Tomaszewski za bardzo »uchażiwajet« za boną Bielajewych, całują się w parku, a pewno i co więcej?...

— Niewielka to bieda, »Polakà ot baby nie udierżysz«. Tomaszewski dobry chłopiec, te wszystkie patrjotyczne głupstwa nie interesują go — a bony nie ubędzie... Co więcej?...

— Jestem na tropie jakiegoś stowarzyszenia, wiem, że uczniowie wyższych klas kupują książki polskie i zbierają pomiędzy sobą pieniądze.

— Ot to rzecz wielkiej wagi, trzeba śledzić, lecz ostrożnie, żeby nie przewąchali czego.

— Jeśli pan dyrektor pozwoli obiecać jednemu z słabych uczniów promocję, błagał czułem wejrzeniem i porywającą za serce intonacją głosu, wtedy głowę daję, że o wszystkiem się dowiemy.

— Poczekajmy jeszcze, a tymczasem bacznie śledzić!

Dyrektor wiedział, że Rubarko zawsze na ostatek zostawiał najważniejsze nowiny, o jakimś spisku, zamachu, dlatego też wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, co oznaczało, że audyencja skończona. Rubarko zwinnie podchwycił w powietrzu padającą na ziemię swą czapkę z gwiazdką, gładząc brodę, oddał głęboki ukłon i znikł we drzwiach.

Idąc ciemnymi korytarzami do swego mieszkania, zadrżał, usłyszawszy lekki szelest.

— Kto tam, wykrztusił przerażony.

Przeżegnał się kilka razy.

Z łaskawego, jak zawsze, przyjęcia u dyrektora nie mógł być nie zadowolony, lecz ledwo świadomy głos wewnętrzny szeptał mu niewyraźnie:

— Zgubiłeś Mochnackiego — jesteś podły, bo dobrze wiesz łajdaku, że człowiek, który cierpi na duszność, nie może przyjść do klasy, gdy ma atak, lecz dla samego zdrowia, ulżenia cierpieniu powinien się przejść.

Rubarko chrząknął, chcąc odegnać zmorę.

— Mochnacki mieszka przy samej posesyi Leśniczka, więc spacerując przy niej, przechadzał się przed swem mieszkaniem; pocóżeś łajdaku, wisielcze jakiś, przedstawił dyrektorowi, że używał spaceru za miastem. Bodajbyś skisł, sobaczy synu!

Ponieważ Rubarko był człowiekiem prostym i zamłodu świnie pasał, więc i głos jego wewnętrzny nie przebierał w wyrażeniach.

— Łajdaku, zgubiłeś człowieka bogobojnego i uczciwego, ty dobrze wiesz o tem i czujesz, psubracie, że on nigdyby z tobą nie postąpił tak jak ty z nim. Pożyczył ci dwadzieścia pięć rubli i nie upomina się, a ty tak mu się wywdzięczyłeś! Co? Największy zbój, gdy weźmie wziątkę, nie szkodzi, złodziej i ten uczciwszy od ciebie.

Rubarko wystraszony długo nie mógł znaleźć dziurki od klucza, ręce mu drżały, pot kroplami wystąpił na czoło, gdy się poczuł bezpiecznym w swem mieszkaniu, zapalił lampę, a dla odwagi skręcił olbrzymią bankrutkę i zaciągnął się raz i drugi, puszczając gęste kłęby dymu przez nos.

Lecz te obłoki dymne, jak niegdyś biblijne, snuły się po ziemi, nie dosięgając wysokiego poklasztornego pułapu i nie zdołały przebłagać głosu wewnętrznego, który mu coraz więcej dawał się we znaki.

— Bodaj cię wilki zjadły, bodaj cię. sobaczy synu, febra zatrzęsła, zrzędził nieubłagany sędzia; Mochnacki chodzi w starem wyszarzałem palcie, bo nie ma za co sprawić nowego, a tyś, taki synu, wyśledził, że dwóch

chłopców płaci mu lepiej i inspektor zabrał ich i na innej, protegowanej stancji umieścił, u swej inspektorskiej kochanki. Bodaj ci psy wszystkie flaki potargały!

Stróż przyniósł niebawem samowar, lecz pan Rubarko zupełnie stracił apetyt do herbaty; po wypiciu kilku kieliszków gorzałki wyciągnął się wygodnie na swem kawalerskiem łożu i założył nogi na poręcz.

III.

Pełno materjału do snucia najróżnorodniejszych wniosków.

Kołodziejski spotkał się z Ossowskim w Zakopanem, dokąd ten ostatni zajrzał w powrocie ze Szwajcaryi i obserwował jego dziwne zachowanie się.

— Zaraz zanotowałem, że coś mu jest, chociaż wyraźnie nie zdradzał nic nienormalnego, był tylko bardziej rozmowny i często narzekał na złość ludzką, gdy przedtem trzymał się dosyć dumnie, i jak się zdawało, z olimpijskim spokojem z góry spoglądał na świat. W Szwajcarji zatrzymał się w pensjonacie i cały miesiąc, jak mi opowiadał, przesiedział na balkonie, nigdzie nie wychodząc.

— Ten jeden szczegół tłumaczy wiele, bo kolega Ossowski był człowiekiem ruchliwym, zastanawiał się Dłuski.

— To mię właśnie zdziwiło. Potem wyjechał, bo gospodyni pensjonatu miała być względem niego niegrzeczną, a goście zachowywali się jakoby wprost arogancko. Wszyscy przecie wiemy, że Ossowski jest człowiekiem światowym i umie żyć z ludźmi.

Łowicki chodził dużemi krokami po kancelarji.

— Ossowski był człowiekiem niezależnym, nie miał tak psiego życia, jak my, zawsze jednak nie będę się dziwił, jeśli rzeczywiście zwarjował, my wszyscy z czasem powarjujemy.

Zegar na korytarzu wydzwonił w pół do dziesiątej. W kancelaryi, jak tu nazywano pokój nauczycielski,

zebrało się kilku nauczycieli Polaków, rozmawiając półgłosem po polsku o smutnym stanie zdrowia Ossowskiego.

— Wczoraj siedział w pierwszej klasie cały czas przy katedrze i nie zwracał uwagi na psikusy chłopców; potym poszedł do domu bez palta, wrócił na ostatnią godzinę, lecz przerwał ją po kwadransie, oświadczając Flegontowi, że uczniowie sprawują się gorzej, niż Anglicy w pensjonacie.

Dłuski próbował zaśmiać się, lecz urwał w pół tonu i smutnie spoglądał przed siebie.

— Trzeba mieć żelazne nerwy do znoszenia tego ciągłego poniżania w człowieku godności ludzkiej, do opanowywania wiecznej bolesnej i poniżającej rozterki uczuć, godzenia się z cuchnącemi kompromisami niby w imię... Ach Boże, przeklinam chwilę, w której przestąpiłem próg ośluzły tej podłej katowni! Spojrzyjcie, co się stało z Mochnackiego, przez dwadzieścia pięć lat odgrywał rolę nieskazitelnego bohatera Świętej Trójcy, a teraz żałośnie kwili bezsilny, jak dziecko. Gdy się patrzy na to, dusza w człowieku zamiera.

Łowicki mówił głośno z oburzeniem, słowa nabrzmiewały coraz więcej — i zamarły w bezsilnem charczeniu człowieka, któremu zabraknie tchu.

— Dłuski spojrzał ku drzwiom.

— Kolego kochany G...skij, D....icz wyszeptał, kładąc palec na ustach.

Potem roześmiał się nerwowo, lecz usta wykrzywione boleśnie zadrgały w rytm płaczu, który spazmatycznie wyrywał się z krtani.

Całe towarzystwo zasępiło się — u Dłuskiego nerwowo drżała ręka, a papieros w ustach miotał się na wszystkie strony w takt drżenia głowy; Kołodziejski z przerażenia zasunął obie ręce głęboko w kieszenie, jakby chciał podnieść siebie i wyrzucić precz z tej atmosfery zatęchłej, gdzie można skończyć obłędem i podłością ostateczną; Łowicki zacisnął pięście, a wzrok miał zamglony, zapatrzony w dal, w której migotało w tęczowych, lecz ponurych barwach: nie masz siły, ani mocy! wyrwij się

z tej katowni, porwij za kij żebraczy, lecz wyrwij się, wyrwij z kajdan ciężkich, nikczemnych!

U okna łomotał się ptak... z korytarza dochodziły szmery urywane głosów cienkich i grubych.

— A co będzie z dziećmi, gdy znajdą się w zupełnie obcem otoczeniu, gdy w nikim z nauczycieli ani odrobiny serca nie znajdą, współczucia niemego, które jednak z każdego czynu waszego bije ożywczym zdrojem w tej strasznej bezwodnej pustyni. Co będzie z dziećmi, krwią krwi waszej, gdy was nie stanie, gdy nikt już do nich nie zwróci się z życzliwą radą, lecz będzie tylko karał, karał i karał, raniąc serce i duszę, budząc ciągle uczucie zemsty, instynkta drapieżne i wrogie względem ludzi,

— A co będzie z duszą dzieci, narodu całego, gdy obcy zaszczepi w nią obcy nam swój pogląd na świat i życie, niezgodny z naszemi tradycjami, z naszym duchem narodowym, gdy zatruje wszystkie źródła swym radykalizmem zburzy rodzinę polską, zburzy duszę zbiorową narodu polskiego, a na zgliszczach i popiołach ucztę wyprawi dla pozostałych, zwyrodniałych pokoleń.

Kołodziejski miotał się jak fryga po kancelaryi z rękami, zasuniętemi głęboko w kieszenie, Dłuski leniwie poruszając ustami, wpatrzył się w koniec swego papierosa, a Łowicki wycierał plecami zimny piec, bo czuł w kancelaryi i w sobie chłód przejmujący.

— Nie! przeznaczono wam, żyjącym wiarą, siedzieć w przybytkach fałszywej wiedzy, katowni niewiniątek... jako męczennikom z wzrokiem zapatrzonym w błękit, gdzie próżno rady szukacie, zbawienia, hasła, pociechy choćby drobinę,.. i wam biernym, miękim i trwożliwym duchom, bijącym z raną w sercu pokłony fałszywym bogom, bo dzieci ranę tę odczują, płacz duszy waszej i rzadkie chociażby modły do lepszej, jaśniejszej przyszłości, odczują głęboko ukrytą miłość matki Ojczyzny , wierzeń narodowych i pamiątek świętych..., mękę podłości i pohańbienia... przeznaczono i wam siedzieć w tej kuźni, ziejącej dźwiękami żelaza, przekuwanego w narzędzia przemocy, kajdany — wy duchy

wolne i świałe, zakute w zbroicę nieskazitelną..... ze zwiedzioną jaśniejącą kopią, z skrzydłami pancernych u ramion... duchy burzyciele bezbożnej potęgi zła, przewrotności, podłości drakońskiej, gadzinowej.

Dłuski skurczył się, otulając krótkiem futerkiem, a Kołodziejski u okna, w widocznej rozterce z sobą, gonił wzrokiem płatki padającego śniegu.

Łowicki wyszedł na korytarz; — na źle opaloną, mroczną przestrzeń wdzierał się wiatr, zewsząd wiało przejmującym chłodem.

Rubarko nagłym ruchem odsunął się od drzwi klasy szóstej i znikł w mroku.

W powietrzu drżała cała gama przytłumionych głosów wyrwanych chłopców, śród których wyróżniał się płaczliwy dyskant Dziubińskiego, zajęty wytłaczaniem form greckiej konjugacji, przy wtórze głośnego, monotonnego recytowania bajki Kryłowa w sąsiedniej pierwszej klasie.

Iliadow uroczystym i zadowolonym z siebie basem objaśniał coś ośmioklasistom, a Topolnicki wyrzucał z siebie urywane, nerwowe dźwięki, które miały wiele podobieństwa do ochrypłego szczekania starego, złego psa.

U Sosnowskiego wybuchał śmiech, uśmierzany dobrodusznym, powolnym głosem; Dubow zaś pienił się ze złości w obronie litery »ѣ« śród ogólnego wyuzdanego hałasu w klasie.

Donośne dźwięki potężnego szkolnego dzwonu obwieściły koniec pierwszej lekcji. Uczniowie hurmą rzucili się z klas na korytarz, płachta sukienna, którą, w obronie przed zimnem, zawieszono zamiast drzwi ruchomych u wyjścia, podnosiła się i opadała, na podwórku zaroiło się od dzieci, bo pierwszy obfity śnieg, przykrywając brudy ziemi, dodawał wszystkim otuchy.

IV.

Nauczyciele Polacy na każdym kroku odczuwają swe upośledzenie, ponieważ na zawołanie nie mogą wy-

rzec się swej narodowości i przekonań religijnych; są ciągle o coś podejrzewani, są jakby zawieszeni w powietrzu, nigdy nie mając gruntu pod nogami. Przy lada sposobności dyrektorowie w rozmowie z nimi przybierają ton zwycięzcy, w czem ich chętnie naśladują i niższe organa władzy.

Tylko wyjątkowo sprytni ludzie, którzy sztukę siedzenia na dwóch stołkach doprowadzili do mistrzowstwa, dobrze grają w winta i nie stronią od kieliszka, doznają swego rodzaju protekcji w przeciwnym obozie, a często są tam nawet mile widziani, jeśli jako kawalerowie umieją zdobyć względy światka urzędowo-niewieściego. Biada jednak osobnikowi, który po zdobyciu prawa obywatelstwa, odsłoni w jakibądź sposób swe tendencje, niezgodne z zasadami władzy szkolnej, która dąży do gnębienia i bezwzględnego wynaradawiania młodzieży polskiej; gdy na sesji, w czasie omawiania jakiej sprawy drażliwej ze względów narodowych, nie zdoła tak zręcznie lawirować, żeby nie odsłonić właściwych pobudek — zostanie wtedy bezwzględnie wyklęty i prędko odczuje cios, wymierzony przeciw swojej kieszeni. Jest to najlepiej wypróbowany środek karania niepokornych, stawiających opór w formie choćby nawet najbardziej eterycznej.

Rosjanie często używają wyrażenia »szto krywić duszoj«, piętnując ten zaiście ohydny rękoczyn duchowy, a bezwzględnem postępowaniem, wprost wynajdywaniem najróżnorodniejszych spraw drażliwych, zmuszają swych kolegów-Polaków, obarczonych obowiązkami, do tej podłości; często naigrawają się, delektują męką ludzką.

Nic więc dziwnego, że stosunek pomiędzy dwoma obozami jest wogóle bardzo napięty, z jednej strony żal niemy, bezsilny, świadomość wielkiej krzywdy i poczucie, że krzywdziciel, który często nie jest nawet rdzennym rosjaninem, działa li tylko z pobudek materjalnych, co go jeszcze bardziej pozbawia czci w oczach gnębionego — a z drugiej pewność siebie, arogancja i znowu nienawiść, lecz bardziej brutalna i bezwzględna,

właściwa krzywdzicielom. Z tego wszystkiego wyrasta kwiat o własnościach kielicha pewnego gatunku kaktusu, który ma barwę szakala, a zapach ścierwa.

Taki kwiat rozkwitał niepostrzeżenie w mieszkaniu dyrektora gimnazjum.

Orzeczenie lekarza, że godziny nauczyciela Polaka Ossowskiego są policzone, wywołało potrzebę narady dwóch przedstawicieli władzy gimnazjalnej.

Inspektor stawił się na wezwanie u dyrektora.

— Aleksandrze Iwanowiczu, z Ossowskim krucho!

— Krucho, odrzekł inspektor i widocznie z wielkiego wzruszenia obejrzał swe paznogcie.

— Jeśli Ossowski umrze, muszą być wianki od dyrektora, inspektora i nauczycieli..... a także od uczniów.

— Słowa te były wypowiedziane z taką wagą, jakby od spełnienia ich zależało szczęście całego świata.

— Czy wszystkie klasy mają ofiarować po wianku, czy zaś tylko ta klasa, w której, dajmy na to, nieboszczyk był klasowym gospodarzem, ciągnął dyrektor już nie tak poważnie, z odcieniem filuterji.

Inspektor odchrząknął i zrobił ruch szyją naokoło kołnierzyka.

— Ależ nie, wszystkie klasy, wszyscy bowiem chłopcy są lub byli uczniami niebosz... tfu! Ossowskiego.

— Dobrze, niech i tak będzie; dyrektor przybrał znowu ton poważny i ciągnął dalej — a pomyślałeś pan, że polska intryga będzie tu miała szerokie pole do działalności.

- Zastanawiałem się nad tem już wczoraj, wiem, że na pewno zechcą dać wianki z polskimi napisami.

Inspektor zdjął powolnym ruchem złote okulary, przetarł chusteczką załzawione, wypukłe oczy i, chuchając ostrożnie, jął czyścić szkła.

— Do tego dopuścić nie można, coby pan kurator na to powiedział.

— Trzeba zawczasu oznajmić w klasach, żeby się, broń Boże, nie ważyli na coś podobnie potwornego...

Dyrektor zapalił się do przedmiotu, drobiazgowo roztrząsał każdy szczegół.

— Ostatecznie Ossowski żyje jeszcze.

— Bardzo pięknie, ale do oststniej chwili zwlekać nie podobna — uczniom trzeba oznajmić, że w razie czegoś, mają być wianki z napisami po rosyjsku.

Inspektor, jako dobry znawca kniei, zamierzał wytropić grubego zwierza, z zadowoleniem gładził wypielęgnowaną brodę, a lancetem myśli sondował w duszy bliźniego głęboką, źle zabliźnioną ranę.

— A jeśli nauczyciele Polacy zechcą na trumnie kolegi położyć wianek z polskim napisem.

Kierownik nawy szkolnej medytował przez dłuższy czas, strzelił złośliwie małemi oczkami w stronę interlokutora i wyśpiewał z namaszczeniem, twardo zarazem i uroczyście, jakby bronił najświętszej sprawy.

— Przenigdy! Ja oznajmię wszystkim w swoim czasie, że wianek będzie wspólny od dyrektora, inspektora i nauczycieli, innych wianków na trumnę kłaść nie wolno.

— »Drużnaja siemja« zaśmiał się inspektor, a po chwili rzekł twardym głosem, imitując dyrektora, lecz z pewną przymieszką ironji — będzie opozycja, bo u nas teraz element burzliwy, niektórzy zajadli patrjoci!

— Nie bój się pan, ozwał się groźnie, potrafię ja lisom polskim namordnik nałożyć, żaden ani piśnie, a jak który zęby pokaże, »w poroszók sotrù«.

Dyrektor zrobił w powietrzu kołowy ruch ręką. Zdawało mu się, że jest potężnem kołem w maszynie rządowej, przeznaczonem do tarcia na proch zamysłów polskiej intrygi.

— A teraz o Mochnackim, u niego na stancji jakoby uczniowie polskie książki czytają, sama pani prowadzi patrjotyczną propagandę, pisuje z uczniami polskie dyktanda, a jak mi się widzi i historję Polski wykłada, tendencyjnie roznamiętniając dzieci. Na takie bezeceństwa pozwolić nie możemy, tę stancję trzeba zamknąć, Mochnackiego usunąć z gimnazjum.

Przypomniał z praktyki, że znajdą się protektorowie i to jeszcze, być może, ludzie z którymi się żyje; przyjdzie ze łzami pani profesorowa, będą prośby, płacze.

Jako dzielny szermierz znajdował rozkosz w walce i niebezpieczeństwie, a łzy ludzkie uważał za należny sobie haracz.

— Stancję tę zamknąć, »wo czto by to ni stało«.

— Dlaczego nie, jak zamknąć, to zamknąć, ja już dawno mam ją na oku, zgadzał się inspektor, mocno zażenowany, że odrazu nie nastawał na takie rozwiązanie sprawy.

— Lecz jaki powód?

— Zły wpływ na dzieci!

— Wszyscy uczniowie tej stancji dobrze się uczą, a sprawują wzorowo.

Nastała długa chwila zobopólnego namysłu kamratów.

— Propaganda zbrodnicza?

— Trzeba koniecznie mieć fakta w ręku.

— Wybadać chłopców.

— Nie wydadzą kanalje.

— A więc zrobić rewizję... jakieś nieporządki... wreszcie nie bez tego, żeby tam, to jest w pokojach uczniów nie znalazło się parę książek polskich — tu dyrektor zrobił ruch ręką, wyrażający przenoszenie rzeczy z jednego miejsca na drugie, i zapalił papierosa.

— Znajdzie Flegonow, znajdzie, za to mogę ręczyć, kończył przeszywając piorunującym wzrokiem próżnię, bo jakoś mu było przykro spojrzeć w tej chwili w oczy nawet inspektorowi.

— H... m... inspektor zrozumiał znaczący ruch ręki dyrektora i starał się ukryć złośliwy uśmiech.

Widok krwi roznamiętnia — poczuł nienawiść do Mochnackiego

— Chętniebym się pozbył i samego »kwartirosodierżatiela«, zdechlak, ciągle choruje — czort go wie, co mu jest, może suchoty a to choroba zaraźliwa.

Inspektor podniósł do góry załzawiony wzrok, szukając natchnienia w kłamstwie.

— Byłoby bardzo pożądanem, — bo tam się zbierają Łowicki i Kołodziejski w niedobrych zamiarach,

a mam powód przypuszczać, że i Dłuski teraz garnie się do tej kliki.

— Jednem słowem, tymczasem, zamknąć stancję, a potem po mału rozprawimy się z całą kliką.

Dyrektor zapalił papierosa i zaciągnął się z zadowoleniem, inspektor nie omieszkał naśladować pryncypała. Do gabinetu podano dwie szklanki herbaty i rozmowa przeszła na inne tory.

Na alejach przed gimnazyum dudniały dorożki, jadące w stronę Jasnej Góry, skąd donośnie biegły dźwięki kornej pieśni zmiłowania.

V.

— Nie, dłużej nie wytrzymam w tej atmosferze zgnilizny, podłości, wstrętnego łaszenia się i groźnego pokazywania pazurów.

Spoglądał w próżnię, w której unosiły się gęste, cuchnące opary.

— Już nawet taki Wrzosek odczuł rozterkę w mej duszy.

— Tak, tak, robaczku, prędko będziesz zdystansowany, a potem cię wycofają, lub też wyrwiesz chwasty z serduszka. Nie bój się, nie lepszyś od innych, dumnych Bóg karze. Służ na dwóch łapkach, z serca ci radzę, lub wyleją cię z budy, gdzie wcale nieźle z tymi psiemi ogonami żyć można... trzeba tylko postarać się o talencik!

W wyrazie twarzy Łowickiego było coś groźnego.

— Coraz więcej przekonywam się, że nie mam najmniejszej zdolności do życia praktycznego, a to odbija się fatalnie na wszystkich czynach, na całym bycie... a przecież nie jestem sam.

Za salonikiem z sypialni rozległ się głęboki oddech, a potem mamrotanie przez sen dziecka.

— Ludzie napewno bywali w gorszych warunkach, a jednak... mówił ochrypły bas, podobny do głosu Wrzoska — niepotrzebnie, bratku, stronisz od nerwu

życia... muru łbem nie rozwalisz, choćbyś miał i najtęższy, a sobie życie zatruwasz. Powiadasz, że wysługuję się — w basie drżała wyraźna nuta rozdrażnienia — a Zagłoba nie służył to Bohunowi, nie... a potem go za łeb wziął, jak przyszedł czas... wyobraź sobie, że ja jestem Zagłobą.

Na wieży jasnogórskiej wybiła któraś godzina... Łowicki błagalnie spoglądał w stronę zamierających dźwięków.

— Altman cię zlicytuje, bo ma już zapowiedziane przez dyrektora, że stracisz posadę, chyba, że udasz się do żydka w fraczku mundurowym. Zapisz wreszcie duszę temu, jak mu tam na imię, mnie wszystko jedno.

— Tak, tak... najgorzej niepokoi mnie dług u Altmana. Żyd natarczywie żąda zapłaty, o ratach nie chce już nawet i słyszeć.

— Br... rrr... Wrzosek zadrżał z obrzydzenia.

Łowickiemu zdawało się, że stąpa po trzęsawisku, które go lada chwilę pochłonie... w mrocznej dali migotały chwiejące się ogniki, lecz jak się do nich dostać, nie czując gruntu pod nogami, może to wreszcie błędne ognie, zapalające się nad bagniskami życia.

Maszyna dudniała na poddaszu, doprowadzając Łowickiego do najwyższego stopnia rozdrażnienia. Oczom jego przedstawiała się siostra Siemieńskiego, blada, wymizerowana... przypomniał jej chude palce, wykonywające szalone ruchy przy naszywaniu na papierki guzików, a teraz czuł jej oddech przyspieszony, goniący rytmiczny łoskot maszyny.

— Przecież maszyna do szycia — nie fortepian, nie gramofon... ludzie chcą jeść!

— Jeść, jeść... zgrzytała maszyna.

Łowicki, nie znajdując odpowiedzi na zaprzątające go myśli, rzucał się po pokoju, jak szczupak w sieci.

— Czuję, jak w duszy mej wyładowuje się cały ogrom przerażenia, krzyżują się najsprzeczniejsze uczucia, a wszystko dąży do jednego celu, chcą mię zgnębić, przybić do ziemi, deptać brutalnie nogami, obutemi w ciężkie buty rzeczywistości. Boże!

Dłuski przybliżył się delikatnym ruchem do Łowickiego, rozłożył w powietrzu palce obydwóch rąk i mówił szeptem wyciągając szyję.

— Szanujemy kochanego kolegę i kochamy, lecz proszę pamiętać, kochany kolega ma panią i córeczkę, to bardzo ważna okoliczność... nie narażać się, nie narażać... B....ski, D....icz!

Spójrzał w okno, a potem ostrożnie podszedł do drzwi i wrócił na swe miejsce.

— Żona moja mówi, że kochanego kolegę zjedzą... zjedzą... kolega bardzo źle wygląda, bardzo mizernie — sam to widzę!

W lampie na stole zastrzykało, — płomyk kurczył się, jak od zimna, zżymał, wołając o ratunek.

— I w lampie i w głowie brak oleju, grzmiał bas Wrzoska w handlu u Fuksa — lecz mniejsza o to... pamiętaj jednak, pierwiosnku zamrożony oficjalnym Boreaszem, że jutro nie dostaniesz na kredyt, ani pieczywa, ani mięsa, ani węgli z kopalni Niwka, ani oleju do lampy i łba, bo gardzisz nerwem życia. Masz, jeśli chciałeś.

Łowicki poczuł dreszcze, które, jak mrówki biegały po plecach, a potem, jak wąż ześlizgnęły się na dół i zatrzęsły całem ciałem. Czuł znużenie w każdym calu sześciennym organizmu, głowę od potylicy do oczu przerzynały zwierzęce, nieznośne bóle.

— Żebym był choć w nieco lepszych warunkach, odmówiłbym się od lekcyj na tej przeklętej fabryce, gdzie łoskot maszyn i przeczucie wielkiej nędzy ludzkiej niemiłosiernie nerwy moje szarpią.

Łowicki płaczliwie spoglądał na dogasającą lampę.

— Bo i jakże, Tosia przez cały dzień będzie samiuteńka, a Stasieczkę będę widywał tylko rano, bo w czasie mego powrotu zazwyczaj już śpi.

— Wzorowy ojciec rodziny dba o chleb, a ty opychasz się patrjotyzmem, jak stary chinczyk ryżem.

W handlu u Fuksa było coraz weselej, Łowicki słyszał zmieszane głosy, war różnych potraw wionął mu w twarz razem z naigrawającym śmiechem Wrzoska.

— Basia denerwowała cię cały wieczór śpiewaniem fałszywego walca, bo z gołym panem nikt się nie liczy, a teraz na złość ci chrapie przeze drzwi w takt ślamazarnej dumki, wygrywanej na starej, ochrypłej, zdenerwowanej katarynce. Tyś nie wart nic lepszego, ludzie poznali się na tobie, bratku!

Atak dreszczy powtórzył się, lampa ledwo rozpraszała ciemności ponurem, czerwonawem światłem.

— Do ostateczności jestem zmożony ciągłą walką o byt, o kawałek chleba, o przykrycie na grzbiet... i inną... bardziej ciężką, pełną goryczy, doprowadzającej do mdłości, ironji, szarpiącej ciało mózg i duszę.

Wrzosek spoglądał na Łowickiego z lekceważeniem nabiegłemi krwią ślipiami i śmiał się do rozpuku, aż charczał, postukując kufelkiem w stół.

— Dobrze, dobrze... idealizuj powołanie pedagoga, wygadaj płuca i zacznij zarażać ludzi tuberkułami; oddawaj się marzeniom o kształceniu umysłów przyszłych obywateli ludzkości — tych wisusów, sztubaków, wypchanych pełnemi flakami i czarną mizantropją — oddawaj się szczytnym marzeniom o szczepieniu idei wzniosłych, wydartych z łona dalekiej, jaśniejszej przyszłości, wieku Parakleta — Pocieszyciela. Bardzo to ładnie brzmi, a znajdziesz się z ładną żoneczką w numerze taniego hoteliku, gdy cię wyleją ze służby, dajmy na to w Krakowie, w siedzibie najświętszych pamiątek naszych, na łasce i niełasce parszywego brodatego żyda i chciwej żydówki w namitce.

— Che, che, che, che...!

— Boże, jęczał Łowicki, wszystko jaśniejsze w mej istocie duchowej zamarło lub przekształciło się nie do poznania..., to pole pracy nie dla mnie, niezdolnym do ciągłej obłudy, milcząc nawet wydaję siebie, bo milczenie to jest pełne rozgwaru i zgrzytów niepohamowanych. Tęsknię do wsi, pól, lasu, przytrząśniętego w jesieni barwy rozlicznemi, do przestworzy, ginących śród błękitu mgły oddalenia... gdzie niema ludzi, niema walk podłych, gadzinowych nienawiści. Boże, roz-

grzej te szczątki ideału, wiary w szlachetność ludzi, w braterstwo!

Wrzosek nie dawał za wygranę, siedział rozparty na trzeszczącym stołku restauracyjnym i moralizował Łowickiego, który, przyparty do muru, zakrywając twarz rękoma, daremnie powstrzymywał łkanie, które się z piersi wyrywało.

— Braterstwo, szlachetność ludzi! o, sancta simplicitas!

Lampa świeciła ponuro kółkiem rozżarzonego knotu.

Łowicki osunął się na tapczan, przykryty wyprawnym dywanikiem Tosi.

VI.

Mochnacki zatopił wzrok w niebo, zalane blaskiem zachodzącego słońca.

Nad ziemią panował już mrok, tylko gdzieniegdzie okna odległych budynków wchłaniały zarzewie i paliły się jasnym płomieniem, a na ciemnym, ponurym i wilgotnym widnokręgu czarna sylwetka młyna, z rozpaczliwie rozpostartemi ramionami, na których w kilku miejscach tliły się płatki ogniste, jak ostatni przebłysk nadziei — przybierała postać ludzką i zdawała się szybować z tęsknotą ku światłu, nieskończoności, ku zapomnieniu w bezmiarach promiennych.

Na wzgórzu krzyż pochylony wyciągał czarne ramiona i rozpaczał. Niepewny jutra, schorowany, pochylony ku ziemi nadmierną pracą, nie widział przed sobą nic, prócz tej rozpacznej, nieruchomej ciemni, której nie mógł już rozjaśnić żaden promyk ulgi i nadziei, — nieubłagany wyrok losu skazał go na zwiędnięcie w cieniu, półbycie i mroku.

Marzenie uniosło zrozpaczonego w dawne czasy, gdy, świat cały promieniał w barwach mieniących się blaskiem młodości, wzlotem wyobraźni, myśli siły i wiary żywicielki!.....

Potem pierwsze chwile po pobraniu się, pierwszy

płacz dziecka... wreszcie obowiązki, ta służba ciężka... dola szara, pełna walki, rozterek wewnętrznych... świeżą krwią cuchnących, pogmatwanych bezsilnym krzykiem rozpaczy, pasowania się w męczarniach niemej świadomości, obryzganej pianą zdławionej burzy, tu głęboko... w mózgu.., w sercu... w duszy ukrzyżowanej na Golgocie niesławnej . . . .
. . . . Boże, Boże! . . . .

Drżał..... starał się opanować......... podniósł dłoń ku czołu rozpalonemu..... z zdławionym jękiem wewnętrznym kornie uderzył się w piersi..... i kończył znamię krzyża świętego, dotykając chudych wystających ramion.

Usta poruszały się nerwowo, a oko tonęło w ciemni bezbrzeżnej!

Łowicki stał w przedpokoju oparty o ścianę, nie wchodził, bo odczuł w tem milczeniu, w ruchach ciężką walkę wewnętrzną. Chciał się już cofnąć, gdy do pokoju wbiegł młodzieniec w mundurku.

— Panie profesorze, przez kuchnię przyszedł inspektor, lecz nie sam, a z Flegonowym; mają u nas na stancji robić rewizję, bo żądają kluczy od kuferków. Co mamy robić, panie profesorze?

Mochnacki obrócił się.

— Cóż znowu! zapalcie lampę, muszę wyjść, może go tu poprosić. Boże mój, taka przykrość, zwrócił się do Łowickiego.

— Rzeczywiście!

W pokoju uczniowskim rozległy się już groźne krzyki inspektora.

— Państwo nie mają prawa znajdować się tutaj, to »uczenniczeskaja kwartira«, państwo »postoronnije lica«, tu nikomu nie wolno przebywać, proszę się natychmiast wynosić.

— Jestem ojcem tych chłopców.

— Co mi tam ojciec, wiemy dobrze, że sami ojcowie »razwraszczajut dietèj«. Tu będzie rewizja »oficjalnoje dzieło«.

— Ten człowiek chyba pijany, kogo on tam wypędza?

Do oświetlonego już pokoju wpadł cały oburzony rejent z Działoszyna w towarzystwie żony.

— Proszę pana profesora do czegóż to podobne, inspektor wypędził mnie z żoną z pokoju, gdzie leży nasz chory Stasio. Do czegóż to podobne takie grubijaństwo!

— A nie mógł pan odpowiedzieć, jak na mężczyznę przystało; to banda opryszków, trzeba się bronić, jak na rozstajnych drogach.

Łowicki pienił się ze złości.

— Niech kolega pozwoli zastąpić siebie, kolega to przejście zdrowiem przepłaci.

— Ach nie, za wielkiś gorączka, pozwólcie ja sam.

Mochnacki był zupełnie złamany tym brutalnym, niemiłosiernym ciosem rzeczywistości.

Zajrzał do pokoju uczniowskiego i znowu się cofnął, nie zdając sobie sprawy, jak się ma zachować.

Czuł, że tratowano go nogami, deptano w błoto, a podnieść się nie miał siły.

Nastąpił atak duszności, połączony z kaszlem, który mu sztyletem nurtował piersi i krtań rozsadzał.

Pani domu próbowała mitygować delikatną perswazją szaleństwo i brutalność przedstawiciela władzy szkolnej.

— Panie inspektorze, to chyba jakaś pomyłka, ostatecznie, jeśli rewizja niezbędna, usunę chłopców, a panowie zrewidują pokoje dziecinne.

— Jakto, chłopców usunąć, żeby powynosili wszystkie niepotrzebne rzeczy, ja was znam, zawsze chcecie skorzystać z naszej ruskiej dobroduszności. Co nie, to nie!

— Chcę dzieciom zaoszczędzić przykrego widoku, bo to zostaje na całe życie, pozostawia straszną gorycz. Pan inspektor pozwala sobie krzyczeć, a to nie uchodzi i przestrasza chorego Stasia, stan jego zdrowia może się pogorszyć. Chodź, Stasiu, do mamy, do saloniku, wystraszyłeś się biedaku..

— Co nie, to nie, uczniowie muszą tu być, chyba, że chory niech idzie.

Inspektor rozpiął chłopcu bluzkę, zrewidował kieszenie, wyjął notesik; może są wiersze, burczał pod nosem, wywrócił kieszenie od spodni, bo grubą ręką nie mógł sięgnąć do dna; rozkoszował się wzniosłą czynnością, nie zważając na to, że dręczone dziecko zanosiło się od płaczu.

Tym czasem Flegonow, otwierał kuferki, brutalnie ze złością wyrzucał z nich rzeczy i bieliznę.

— Teraz i pani wyjdzie z pokoju, bo ja chłopców będę badał, obecność pani niepotrzebna, mówił szorstko.

— Ależ panie, jestem w swym własnym domu.

— Tu nie dom pani, a stancja uczniowska, krzyczał rozjuszony; podam raport dyrektorowi, że pani przeszkadza robić rewizję i stancja będzie natychmiast zamknięta; ja wiem, że tu się prowadzi polska propaganda, uczniowie piszą z panią polskie dyktanda, uczą się historji Polski; pani sama czytała wczoraj poezje Mickiewicza, który był buntownikiem.

— Ma pan dobre relacje; żebyś pan poznał utwory tego wielkiego poety, nabrałbyś może więcej ogłady i szlachetności.

— Co mi tam wasza ogłada, ja ruski człowiek.

— Polski kalendarz, krzyczał Flegonow po rosyjsku, znalazłszy w jednym kuferku kalendarzyk z rozkładem jazdy.

— »Polskaja kniga«, wtórował mu z zadowoleniem inspektor, ot, co się dzieje na stancji profesorskiej, a czyja to, w czyim kuferku?

— U Marchlewskiego, tu było więcej polskich książek na bieliźnie są wyraźnie odciśnięte ślady; uczniowie po przeczytaniu odnoszą książki do gabinetu pana profesora. Ho, ho, ja wszystko wiem.

— Nie pozwala mnie kolega zastąpić siebie, a ja dostaję żółtaczki z wściekłości.

Mochnacki stał we drzwiach, prowadzących z salonu.

— Po co u mnie ta rewizja, kto nakazał, dlaczego pan nie chce spełnić tej czynności z większą godnością.

— Kto nakazał, to już moja rzecz, mam papier i spełniam moją powinność, dowie się pan o wszystkiem od dyrektora, który podziękuje panu za demoralizowanie uczniów.

Mochnacki całą siłą woli zachowywał zimną krew.

— Kto daje panu prawo obwiniać mię, dlaczego bielizna porozrzucana po pokoju i rzeczy dziecinne, jak pan śmiał odpędzać rodziców od chorego ich dziecka. Czy wychowawca nie powinien zachować godności człowieka wobec dzieci. Mochnacki rzucał bezładne zdania i zbladł, lecz wkrótce głos jego nabrał niezwykłej siły i doniosłości.

Pan się zwrócił do mnie, że demoralizuję dzieci; nie, to jest potworne kłamstwo. Pan i jemu podobni zaszczepiają w serca niewinne dzieci naszych jad nienawiści względem ludzi, braci... wy brutalną dłonią ścieracie z policzków dzieci i młodzieńców znamię niewinności, gwałcąc na każdym kroku wrodzone człowiekowi poczucie sprawiedliwości; znieprawiacie duszę młodzieży, burzycie w niej zbrodniczą dłonią wszystkie lepsze porywy, szlachetność i dziewiczość w nieskazitelnej szacie tworu Bożego, — gasicie plugawym wiewem waszych ust ten płomień czysty, jasno gorejący, by mieć zbiór z posiewu swego w ohydnej postaci zaprzaństwa, szpiegostwa, sprzedajności i zgnilizny.

My przeciwdziałamy, bo to nasza krew, nasz lud! nasza przyszłość i nadzieja, nasza chwała i dziedzice myśli naszych, wierzeń naszych przeznaczenia... krwi i potu i natchnienia . . . .
Biedne dzieci, na mękę wydane pokolenie . . . . .

. . . .

Wyście wyssali z tych policzków rumieniec zdrowia zimnym powiewem udręczenia ciała i duszy przez wybiegi niecne i katowskie!

We wzroku mym pan czuł i czuje pogardę, lecz nie w imię narodowości pańskiej żywię to uczucie, lecz żeś

duchem zła przewrotnym, żeś gnębiciel bez honoru, czci. . szpiegiem jesteś i potworem w ludzkiem ciele!

— »Obida pri ispołnieńji służebnych obiazannostiej«, krzyczał inspektor zaperzony i kierował się ku drzwiom.

— Pan sam siebie policzkujesz!

W przedpokoju rozegrała się tymczasem ohydna scena. Łowicki trzymał za rękę Flegonowa, który krzyczał i srożył się, spazmatycznie ściskając kilka książek.

— Proszę oddać te książki, cedził Łowicki przez zaciśnięte zęby, boś je wziął z gabinetu gospodarza i niesiesz do pokoju uczniowskiego, aby podać, żeś je tam znalazł. Pan będziesz świadkiem, zwrócił się do poszkodowanego rejenta. Co, dziwnie szlachetnych mamy kolegów!

Flegonow, złapany na gorącym uczynku, nadrabiał butą i pewnością siebie.

— Książki te były w pokoju uczniowskim, noszę je cały czas z sobą, żebyś pan ich nie schował.

— Pan łżesz, tuś je wziął, widziałem.

— Niech pan nie zapomina, żeś Polak, a ja Ruski, rzekł wyniośle.

— Mój panie, łajdacy nie mają narodowości, mają tylko to jedno miano.

Łowicki wyrwał książki z rąk Flegonowa, cisnął je na fotel w gabinecie, syknął, trzęsąc się z oburzenia, i uderzył go nerwowym rzutem kułaka w piersi.

— Precz mi z oczu!

Młodzi uczniowie płakali z przerażenia, starsi siedzieli przygnębieni na rumowiskach.

Bielizna, ubrania, książki walały się na ziemi w nieładzie.

Przy sprzątaniu jeden z chłopców z przerażeniem ujrzał dwie książki do nabożeństwa, zdeptane i powyrywane z okładek.

Chory zaczął gorączkować, zrywał się, bredził i płakał, z niepokojem wlepiając oczy w drzwi.

Kobiety spędziły noc bezsennie.

Mochnacki nie mógł się uspokoić, tarzał się na swem posłaniu, pozbawiony snu, myśli i otuchy. Bolesna roz-

terka uczuć uniosła wyobraźnię w świat dręczących wspomnień, — stał się cały jedną niezabliźnioną raną, w której jednoczyły się bóle piekące, teraźniejsze i przeszłe, i wywoływały najboleśniejsze obrazy krwią zasnutej przeszłości. Słyszał tętent koni, wstrząsające echa dzwonków kibitek, mknących w dal... błagalny i rozpaczny krzyk kobiet, smagany jadem sarkazmu, naigrawania... ujrzał promienną Golgotę, a na niej krzyżów bez liku u podnóża wyniosłego krzyża Zbawiciela . . . . .

. . . .

Pole grubą warstwą śniegu świeci, jak całunem, a las majaczeje w dal bezbrzeżną;..... droga wstęgą wzdłuż szeroką biegnie, tonie w mgle oparów, w śnie... a przy drodze głodna zgraja kruków kracze, wspominając uczty sute z ludzkich ciał: blask matowy zgasłych oczu, piersi ostrzem wzdłuż rozdarte, stosy trupów pośród kniei brzóz, płaczących smętnie na pobojowisku, na rozłogach śmierci, łez niewypłakanych..... gdzie przeciągle wicher wyje — tarza się we krwi straszny głuchy głos rozbieżny pogrzebowych dum!

I natchnienie już nie blaskiem jasnej zorzy świeci... drży ponad pola mgłą spowite, co z szuwarów w górę mknie; i mgła, szara, ciężka dolą naszą, w nieprzespanym śnie senną wstęgą las spowija... i w daleką ciemną dal z głośnem łkaniem wicher niesie śmierć i spustoszenie — a nie pieśń... płacze głuchy głos rozbieżny pogrzebowych dum!

Niebo nizkie ciężką płachtą po nad ziemią wisi i przytłacza las, w którym pieśń rozbrzmiewa senna, jednostajna dzika i rozbieżnie niesie trwogę, przerażenia dreszcz . . . .

Z wichrem krążą ciche skargi, echa pogrzebowych dum, w słotny, zimny dzień jesienny... i rozchodzą się szeroko — ogarniają świat. Biegną dźwięki senną drogą, mkną upiory w śnieżną dal, by wycisnąć łzy serdeczne, bratnie łzy... i w ramiona porwać rozchylone zbrodnią uczuć, krzywdą krwi skaleczone, swą ofiarę dla uścisku... śmierci... Niesie trwogę, dźwięk, głuchy, straszny głos rozbieżny pogrzebowych dum!

Wicher pięścią w drzwi uderza... i zakłębił się na dworze czarnym cieniem korowodu otulonych mgłą postaci..... a miarowa pieśń rozbieżna urywane dźwięki rzuca..... drży..... rozprasza się.... zamiera..... i przyspiesza tętno serca..... i wyrywa z piersi jęk — straszny, głuchy głos rozbieżny pogrzebowych dum!

Jako w lesie, po omszonych, rozłożystych pniach stuletnich i w konarach rosochatych — jako w mrocznej ciemni leśnej, strzelających w niebo świerków..., w gwarnym tłumie sosen, chyżych jodeł, mgłą zasnutych i w zadrzewiu brzóz płaczących z ich warkoczem łez, pośród pola z czarnym krzyżem i rozłogów zadumanych — dźwięk rozbieżny niesie smutek i goryczą serce szarpie głuchy, straszny, głos rozbieżny pogrzebowych dum!

VII.

Ossowskiemu straszno w pustem mieszkaniu, chciałby uciec, lecz nie ma siły, nie wie nawet dokąd, jest sam, jak ten palec.

Ze wszystkich kątów wyłażą potwory, wyciągają ramiona, uzbrojone w rozchylone pazury lub ohydne ruchome ssawki, od długich wywieszonych języków bije war.

Zasnął i znowu obudził się.

Nad biurkiem kłębi się dym, czy mgła, a dalej na ścianie słońce zachodzące rzuca snopy jaskrawego światła.

Wytęża wzrok, nie może rozpoznać postaci, która zawisła w powietrzu po nad snopami blasków.

Podnosi się na łóżku.

— Poznaję cię, Wosiński, poznaję... ach, Boże mój, krzywda ci się stała..... ta matematyka, ta łacina, zawiedzione nadzieje, złamane życie..... śmierć przedwszesna, wilgotne łoże w ziemi, przepełnione ohydnem robactwem. Żal mi ciebie, żal, biedaku!

Wosiński opuszcza się na ziemię i, wlokąc za sobą

smugę światła, postępuje kilka kroków ku Ossowskiemu.

— Wosiński, krzywda ci się stała, nieprawdaż, życia ci żal młodego... wierzę, wierzę, z całego serca boleję nad twym losem... lecz nie obwiniaj mnie, na miłość Boga, wszystkiemu winien dyrektor, ten niecnota... wmawiał, przekładał — Wosiński niedojrzały pod względem umysłowym i moralnym, władzy szkolnej sprzeciwia się na każdym kroku, rozporządzeń nie spełnia, bo jest patrjota »niebłagonadiożnyj«, czyż takiego młodzieńca można uznać za dojrzałego, czy robota jego znowu tak dobra, żeby »znischożdienije« okazywać. Mało błędów, lecz całość wadliwa. Ja postawiłem swoje, a oni swoje i nie dali ci, biedaku, świadectwa, a tyś to zanadto odczuł, tak — zanadto... zdrowie przedewszystkiem, zdrowie. Patrz, jaki ja biedny teraz... prędko już będę tam, gdzie ty.

— Wosiński stoi niemy, porusza ustami... z wielkiego wzruszenia nie może wymówić słowa; zakrył twarz przejrzystemi, jak mgła rękoma, z pod których na posadzkę padają łzy.

— Łzy te w strasznej wizji podnosiły się z ziemi, przeobrażały w wielkie ogniste kule i zaczęły wirować po całym pokoju, napełniając powietrze strzykaniem elektrycznem.

Chory wstał z łóżka, gorączkowym ruchem wpatrywał się w jasną postać Wosińskiego i sapiąc zgarniał poły szlafroka.

— A więc nie możesz uspokoić się! Ach, wszystko ta łacina, matematyka i »ruskij jazyk«; dyrektor przebrzydły kłamca, szantażysta. Pamiętam, tak samo płakałeś na korytarzu, tylko łzy były mniejsze.

Ossowski stał, wpatrywał się w jeden punkt na ścianie i płakał rzewnemi łzami, które spływały mu po siwej brodzie na obnażone piersi.

— Ach, te wszystkie podłości, które popełniają się w gimnazjum codzień! Uspokój się, cóż ci teraz poradzę, te łzy duszę mi szarpią, na popiół palą mózg. Ach Boże, Boże... pocóżeś nas opuścił.

Podniósł ręce do góry, błagając o zlitowanie.

Łzy Wosińskiego wykonywały ruch postępowy z cofaniem się równomiernem, każda z nich duża, ognista spoglądała na Ossowskiego, jak wielkie oko, opromienione jaśniejącemi rzęsami, z których głośno spływały prawdziwe, gorące, słone krople przy wtórze cichego, rzewnego płaczu. Daleka, błagalna pieśń drżała w powietrzu, przybliżała się i napełniła cały pokój głośnem, zanoszącem się łkaniem.

Ossowski, łapiąc poły szlafroka, cofał się w najciemniejszy kąt.

— Żal ci życia młodego, zwarzyło cię mrozem, gdy ledwo rozkwitać zaczynałeś. Tak — spełniliśmy zabójstwo! Ach, wybacz, jam niewinien, inni więcej zawinili, choćby Topolnicki. Jam taki niewolnik, jak i ty; panowanie niecnej zgrai popowiczów nad duszą młodzieży naszej znieprawiło i nas, knuli wieczne spiski na naszą uczciwość, zacność uczuć, deptali nogami narodowość, wiarę. Ach, jakże cierpię, ile katuszy przechodzę..... tu, na duszę padają twoje, ciężkie jak ołów, żarem piekące łzy.

Postać Wosińskiego stawała się coraz bledszą, rozpływała..... przy biurku pozostała tylko jasna, bujająca plama.

— O Boże, wybaczył, wybaczył!

Kuliste łzy unoszące się w powietrzu, skierowały ku oknu i wyfrunęły na dwór z głośnem łkaniem.

Ossowski z ulżeniem wciągał, wchłaniał powietrze w płuca, z których wydobywało się głębokie rzęrzenie.

— Lećcie, lećcie łzy bolesne, krwawe łzy, by obwieścić światu o naszej doli, rzec o poniżeniu,... przeniknijcie serca bratnie, pierś, — głosząc pieśnią, że nad Wisłą krew już skrzepła, dając moc posiewom bujnym; wieloplenne iskry Boże w piersi ludu zapaliła, niecąc miłość i ofiarność dla Ojczyzny matki... świętej... dla Jej ran, cierpienia, blizn . . . .

. . . .

Złożył ręce jak do modlitwy.

— A gdy boisz się podłości — grożą..... krzyczą!

dodał żałośnie. Wzburzony zrobił kilka kroków ku łóżku, przechylił się, chwycił za piersi i tracąc równowagę, runął na ziemię, łapiąc rękoma powietrze.

Z sąsiedniego pokoju wybiegł Wrzosek i stał bezradny, senny, wystraszony nad miotającem się, wychudzonem ciałem chorego, który daremnie próbował wstać.

Na Jasnej Górze odezwała się sygnaturka, wzywająca wiernych na rozpoczęcie dnia niekrwawą ofiarą.

Te bijące ku niebu śród ciemności jeszcze smętne, czyste dźwięki miały w sobie coś dziwnie uroczystego — zawisały w powietrzu, spływały ku dalekiej równinie poza okopami, nabrzmiewając wibrującemi tony, napełniały park u podnóża i drżały ponad alejami i rzędami kamienic, łamały się o wystające ponure w swem milczeniu kominy fabryk na błoniach..... szybują dalej, gdzie na skraju w dali ciemnieją wzgórza Olsztyńskiego zamku.

»Pójdźcie do mnie wszyscy biedni i zasmuceni«, roznosiło się w czystem powietrzu coraz głośniej, coraz pełniej i dalej, wlewając w serce otuchę i nadzieję.

W sąsiedztwie otwierały się ze stukiem furtki, na bruku tętniały śpieszne kroki.

Wrzosek, ułożywszy chorego na posłaniu, usiadł ciężko na fotelu w kącie, gdzie objawił się Ossowskiemu zmarły przed rokiem Wosiński.

Chory leżał wyczerpany, ciężko oddychając.

— Nad ranem człowiek zdrzymnął się trochę i już prawie nieszczęście; żeby tak padając zawadził o lampę, co, ładna rzecz! a przy tej bestji wytrzymać trudno, nie usiedzisz, bo go ciągle zmory prześladują..... ostatecznie, jako warjat skończony, halucynant mógłby śpiącego czem w łeb buchnąć — to nie żarty, ten tego!

— I tyś do mnie cherlaczku, cóżem ci zawinił, błagał chory.

— I niech tu kto wytrzyma, w nocy to aż ciarki po skórze przechodzą, gdy tak zacznie ślipiami po pokoju strzelać.

— Niech kolega, z łaski swojej, nie bredzi, ten tego, bo tu nikogo niema, oprócz mnie, Michała Wrzoska. Pielęgnujemy kolegę Dobrodzieja po kolei; — już szósta, więc niebawem przyjdzie na zmianę Łowicki, ten smarkacz, co chce starych rozumu uczyć i ma siebie za jedynie mądrego.

Całe wnętrze Wrzoska wołało gwałtem o szklankę czegoś ciepłego, herbaty, kawy, wreszcie lampkę wina, choćby najgorszej lury.

Usta jego rozchylały się lubieżnie, cmokały na jedną myśl o lampce dobrego wina i ten tego.... kawałeczka czegoś.

— Ta bestja nabożnisia, ma chorego pana, a łazi już do dnia po przybytkach pańskich, bodajby sam Lucyper na cnotę ci nadeptał.

Szukaj wiatru w polu.

Rozpoczął poszukiwania i znalazł za biurkiem przy oknie butelkę wina węgierskiego.

— Mam cię, tłuściocho, tylko mi nie rycz, bo łzy piękności szkodzą, nic ci się wreszcie złego nie stanie, najwyżej dasz mi gęby.

Oglądał butelkę okiem wytrawnego znawcy.

— Od Feliksa w Pińczowie, a więc piękna Pińczowianka, znamy się na tem, może być niezłe, spróbować nie zawadzi.

Wrzosek wyciągnął jak długi swą krótką, pękatą figurkę, a opierając ręce na opasłych kolanach, przyglądał się z lubością i wprawnie mlasnął językiem.

— Przeczuwam coś dobrego! kolorek co się zowie, bukiet też nie zawiedzie.

— I tyś do mnie cherlaczku.....

— Niechże kolega da spokój, z łaski swojej, bo, dalibóg, gotów jestem rzucić kolegę na łaskę losu i pójść sobie do domu.

Siedział nad którąś tam lampką, gdy Łowicki wszedł od strony kuchni w płaszczu i kapeluszu na głowie.

— Spóźniłem się trochę, nie?

— Jeśli mowa o butelce, nie, bo ledwo rozpoczy-

nam robaczku, więc i dla ciebie zostanie coś mętów na dnie.

— Nie zwróciłem uwagi na butelkę, wino przeznaczone zapewno dla chorego.

— Dawaj mu wino, to ci takie brewerje będzie wyprawiał, że i cało nie wyjdziesz. Jestem zupełnie znużony, bo sam jeden przemęczyłem się z chorym prawie przez calusieńką noc, ta kwoka nabożnisia ani zajrzała. Nie mało się też strachu najadłem, bo chorego ciągle zmory prześladują, krzyczy i miota się. Czasem porywa go złość, cisnął n. p. we mnie tą nieszczęsną butelczyną, lecz złapałem w czas i wyratowałem szlachetny płyn od poniewierki.

— Może kolega teraz odpocznie, bo i chory ciszej się zachowuje.

— Nie, braciszku, takiego sępa, jak ja i to po przejściu tylu calamitates w imię miłości bliźniego nie spłoszysz z tego ścierwa, zawartego w brudnem żydowskiem szkle.

— Za zdrowie chorego i nasze kawalerskie!

— Niechże kolega da spokój.

Łowicki spoglądał na Wrzoska z wyraźnem politowaniem.

— Patrzcie mi go, z kolegi Dobrodzieja wieczny tragik wałęsający się na koturnach po podziemiach żalów dziejowych — fe, nie rozumiem takiego usposobienia, żeby to we wszystkiem szukać udręczenia dla siebie i otoczenia. Trzymaj się braciszku nerwu życia, a ten nerw jedyny, to ten płyn szacowny — Wrzosek mlasnął językiem, wskazując wzrokiem na pełną lampkę — i metal — wziął się za kieszeń, dwa najszlachetniejsze, najgodniejsze przyjaźni indywidua na nędznym padole płaczu i narzekania.

— Słyszałem już nieraz wywody kolegi, w które on ostatecznie i sam nie wierzy. Ot, szukanie szału, dla zapomnienia.....

— Patrzcie i we mnie wmawia nieszczęście, jak w żyda chorobę. To już coś nowego.

Wrzosek chodził ociężale po pokoju, a Łowicki usiadł przy biurku i przeglądał jakąś książkę.

— Strzyka mi w lewej nodze, to oznacza, że muszę się napić czegoś ciepłego. Królestwo za szklankę czarnej kawy z prawdziwym benedyktynkiem, wykrzyknął pieszczotliwie i pociągnął z lampki.

Chory wytężał wzrok w stronę, gdzie mu się objawił Wosiński.

— Boże, i tyś do mnie z pretensjami cherlaczku, cóżem ci zawinił!

Przy biurku, na dawnem miejscu Wosińskiego, stał blady uczniaczek w mundurku, zapiętym na wszystkie guziki i, patrząc z wyrzutem na Ossowskiego, płakał rzewnie.

— Cóżem ci zawinił cherlaczku, że tak rzewne łzy wylewasz... co? nie wysłuchałem należycie twej skargi, nie chciałem wejść w twe położenie, a tyś tych podłych »drobi« nie rozumiał po moskiewsku i nie umiałeś sobie dać rady. Boże, cóż teraz poradzę, jestem sam chory, niedołężny.

— Widzi kolega, ot tak calusieńką noc rozmawia z tymi wisusami i to samymi nieboszczykami, aż strach kości przejmuje.

— To okropne, widocznie niegodnie spełniamy swe obowiązki, jesli nam te wisusy, jak kolega ich nazywa, nawet umrzeć spokojnie nie dadzą swemi wyrzutami. A niesprawiedliwie wydalony Zbrzeziński nie przyjdzie tak skarżyć się kiedyś?

Chory płakał cicho, chowając twarz w poduszkę.

Znów niespokojny wzrok wytężył.

— Cóż ja ci Łoziński, cherlaczku biedny, poradzę, krzywda ci się stała, prawda, prawda, zgadzam się... wypędzono cię niesprawiedliwie, mówiłeś, biedaczku, w klasie i na korytarzach po polsku, boś inaczej nie umiał,... a nikt cię nie bronił, nawet ja, twój klasowy gospodarz, twój opiekun... Nauczyciele Polacy nie wypędzali ciebie za język polski, wdali się w maleńki kompromisik z sumieniem, zgodzili się, z małym wyjątkiem, na wydalenie ciebie, cherlaczku, niby ze względu, że

masz złe stopnie i nie możesz być dobrym uczniem, a tybyś się poprawił, bo uczyłeś się pilnie...

— Słyszy kolega, ten umysł wyzwolony już z ziemskich więzów, mówi nagą prawdę — Boże, to okropne... przed kilku dniami powtórzyło się to samo ze Zbrzezińskim... Słyszy kolega!

— A daj mi tam, Łowicki, święty pokój... Wrzosek duszkiem wypił szklankę wina i butelkę do ust przyłożył.

Łoziński płakał rzewnemi łzami i z wyrzutem pokazywał swe ręce, pocięte dratwą... w niektórych miejscach sączyła się krew.

— Ojczym zbił cię i do szewca oddał, ciemny człowiek, nie rozumiał, co za katusze ci zadawano, miał cię za hultaja, a tyś, cherlaczku, uczył się pilnie, lecz nie rozumiałes wielu rzeczy, bo język obcy!... Topolnicki surowy, jak kat, beczał w klasie, jak stary kozioł i stawiał ci same pałki, niecnota. I cóż ci poradzę teraz... odejdź, cherlaczku, daj mi umrzeć spokojnie.

Chory miotał się, — na jego chude... policzki wystąpiły wypieki.

Wrzosek znalazł drugą butelkę i pił bez upamiętania.

Te monologi, czuła, płaczliwa modulacja głosu chorego i piorunujące okrzyki rozpaczy napawały obecnych zgrozą.

— Łowicki — spoglądacie na mnie ze wzgardą, a siebie masz za świętego, klękaj, składaj łapy nabożnie i wyrzucaj z gardła korne modły uwielbienia, a dalibóg nie jesteś lepszy od nas wszystkich — czepiał się Wrzosek, a po drugie wyleją cię z budy.

Napastowany milczał.

— Łowicki, ja ci prawdę mówię najświętszą i powtarzam, że nie o wieleś lepszy od nas... Nie wielka bieda, że ja z tymi łajdakami w karty gram i pijam dobre wino, bo przy tej okazji, czasem coś dobrego dla uciśnionych braci da się zrobić; że tym psubratom urządzam spektakle w swym domu i jadłospisy układam dla tych psich ogonów; że u tego chamskiego

pępa dyrektora, ledwo słonko wyjrzy, zjadam najprzedniejsze nowalijki — nie w tem, bratku, sens naszej podłości, a w tem, że my, jednostki, przedstawiające światło światłości, zgadzamy się na taki porządek rzeczy, uprawniamy te wszystkie zbrodnie, które się odbywają w naszych szkołach, zaszczycamy swą obecnością te katownie; my, Polacy, prawimy dzieciom polskim morały w obcym języku, nieraz zmuszeni, niby okolicznościami, karzemy dzieci..., horrendum! wyznaczamy kary za używanie przez nich języka rodzinnego.

— Takiej podłości nigdy nie spełniłem, kiedyś, gdy dokumenty te ujrzą światło dzienne...

— Czekaj, nie przerywaj — za to tfu! — na nas!

Wrzosek plunął z taką furją, że chory aż drgnął.

— Oplwany przez siebie samego, mam na tyle czułe sumienie, że zgryzoty topię w kieliszku, a przez złość objadam tych pasibrzuchów, którzy się krwią naszą tuczą.

— Odejdź cherlaczku, daj mi umrzeć spokojnie...

. . . .

Wrzosek zatracał już wszelką cechę wykwintności.

— Bodaj ich cholera... kolega myśli, że ja nie cierpię, nie ściskam pięści, że dusza moja nie wylewa gorzkich łez żalu i poniżenia.

Łowicki ze zdziwieniem spoglądał na Wrzoska, bo nigdy nie widział rozczulonego zjadacza trefnych nowalijek.

— Nie w tem moja podłość, że Piątek u Fuksa mnie funduje i że tej starej bestji Zipkowi płacenie odkładam ad calendas graecas; nie wielka to rzecz, za to ich synkom, osłom dardanelskim, psia kość, trójki funduję... łapa łapę myje, ot i wszystko... jeśli podłość moja nieco dłuższa, to najwyżej na psi ogon!

Ostatnie porównanie zrobił z wielkiem rozczuleniem płaczliwym głosem i zaryczał, jak żubr.

. . . .

Gdy powstał z fotelu nieco wytrzeźwiony, ujrzał bladą twarz Ossowskiego, wysoko leżącą na poduszkach i płonącą gromnicę.

Ksiądz Dańczak klęczał przy łóżku umierającego, odmawiając głośno modlitwę za konających, którą Łowicki szeptem powtarzał.

Usta Ossowskiego poruszały się konwulsyjnie...

— Odejdź, cherlaczku, daj mi umrzeć spokojnie...

. . . .

VII.

Po śmierci Ossowskiego Łowicki wrócił do domu zupełnie wyczerpany.

Tosia i Stasieczka jeszcze spały.

Scena z Wrzoskiem nie dawała mu spokoju. Przekonał się, że w duszy, najbardziej obojętnych na pozór ludzi, odbywa się tragiczna walka, rozpaczliwe borykanie z niewolą i spodleniem.

Mózg opłątały wężowemi sploty odgłosy przejsć, przeżytych osobiście i przez kolegów, a myśl ogarnęła cały obszar katowanej Ojczyzny.

Niewola nowoczesna z całym swym aparatem najbardziej wyrafinowanych męczarni wżarła się w duszę Łowickiego, zadając dotkliwe rany.

— Czyż Pani nie dała ci pieniędzy na pieczywo, wykstusił z wysiłkiem, ujrzawszy Basię.

— Pani kazała iść do Pana.

Zajrzał do portmonetki i przekonał się jeszcze raz, że nie było tam nic, oprócz kilku recepisów i pozwu Altmana, który wyjrzał z bocznego przedziałka z groźną i wyzywającą miną.

Łowicki drgnął — położenie przedstawiało mu się w całej grozie.

— Weź dzisiaj bez pieniędzy.

— Nie dadzą proszę pana!

— Jakto, nie dadzą!

— A ot, nie dadzą i tyle!

Basia spojrzała impertynencko, z głupim, krytycznym wyrazem w wyłupiastych oczach.

Medytował, jak sobie poradzić, lecz rada nie przy-

chodziła. W duszy, gdzieś głęboko, jakby po za sobą, słyszał płacz stworzenia, pozbawionego pazurów i ostrych kłów do walki z strasznym potworem o paszczęce, najeżonej długiemi zębami, o łapach, zaopatrzonych w ruchliwe, rozchylone, a chciwe krwi kleszcze lub potworne ssawki... czuł w duszy ten płacz coraz częściej w zetknięciu się z ludźmi i życiem.

— Myśl o procesie z Altmanem prześladuje mię złośliwie, zawzięcie, jak mucha na jesieni, przekształca się w najrozmaitszy sposób, wywołuje przykre i bolesne wizje, chłoszcze, rani niemiłosiernie, odbiera chęć do wszystkiego.

Czuł niezwalczoną potrzebę samotności, chciałby się zaszyć w najciemniejszy kąt, nie słyszeć nic, potargać wszystkie więzy, które go przykuwały do rzeczywistości.

— Jeśli nauczycielstwo nie daje możności egzystencji, a połączne jest z upodleniem, nie pozostaje nic, jak porzucić tę pracę.

Szamotał się bezsilny, z rozpaczą, a żylaste dłonie życia ściskały mu gardło.

— Jeżeli człowiek nie ma dosyć czelności i nie potrafi wyzyskać warunków, wchodząc na każdym kroku w bolesny kompromis z sumieniem, będzie wieczna bieda. Mochnacka kobieta praktyczna i oszczędna, a nie umie dać rady, przemęczyli się tyle lat, a teraz czeka ich nędza.

— Proszę pana, czy mam iść po pieczywo?

W głosie Basi dźwięczęła wyraźna nuta ironji i lekceważenia.

Łowicki opamiętał się, lecz nie przychodziło mu do głowy, u kogo mógłby pożyczyć choć rubla.

— Fedkowski nie ma, Załęski też, w kasie nie dostanę nic, bo dyrektor zabronił wydawać pożyczki mniejsze w ciągu miesiąca, wiedząc, że potrzebującymi są Polacy, jako przeważnie źle uposażeni, rujnowani na każdym kroku i przy lada sposobności... Do Mińskiego nie mogę się zgłosić, a Sosnowskiemu jestem winien. Cóż począć??

Narzucił automatycznie wyszarzałe palto i wyszedł.

Przed samym domem na ulicy zastąpił mu drogę Biesiekierski i zmusił do powrotu.

— Dobrze, że spotykam pana profesora, o mało nie spóźniłem się.

Biesiekierski bódł Łowickiego z wyrzutem załzawionemi oczyma i nerwowo skubał rzadkie swe szczeciniaste faworyty.

Delikwent nic nie odpowiadał, spoglądając ponuro w przestrzeń.

— Czuję, że pan profesor znów znajdzie jakiś argument i nie zapłaci we wskazanym przez siebie terminie, a tylko do dzisiejszego dnia zgodziłem się czekać. Trudna rada, trzeba pamiętać, że komorne to pierwsza i najświętsza rzecz, a ja jestem zmuszony czekać i to jeszcze tyle czasu.

— Panie Biesiekierski, rzeczywiście nie mogę dziś zapłacić, bo nie mam grosza przy duszy — niechże pan zgodzi się poczekać!

Biesiekierski ze zdziwienia, czy przerażenia szeroko otworzył usta.

— Co, jeszcze mam czekać? nigdy, przenigdy — teraz to już chyba pójdziemy do sądu.

Łowickiego na myśl o nowym procesie przebiegły zimne dreszcze.

— Pan nie zrobi mi tej przykrości, panie Biesiekierski — rzekł groźnym i zarazem błagalnym głosem.

Faworyty Biesiekierskiego nasrożyły się, cała jego postawa przybrała groźną postać rysia, gotującego się do skoku.

— Jakto, nie zrobię panu przykrości, a pan profesor czy oszczędza mój spokój? muszę podatki płacić, żona ma nieuregulowane komorne za magazyn, co — mam oczyma świecić przed takim Wolbergiem... tak — mam się jemu pokłonić i o zwłokę prosić, mam się jemu przyznać, żem głupi i trzymam niewypłacalnych lokatorów.

Nieruchomy, z pokorą słuchał wyrzutów, czem zachęcony Biesiekierski jeszcze bardziej się srożył.

— Daję panu profesorowi trzy dni czasu na wyszu-

kanie pieniędzy, łatwo to jednak nie pójdzie, bo wszyscy w mieście głoszą, że profesor traci posadę. Kto chce być patryotą, powinien mieć pieniądze, żeby ludzi nie zarywać...

Mina Biesiekierskiego nie wróżyła nic dobrego, trzasnął w sieni drzwiami, że aż tynk runął ze stukiem na ziemię.

— Płynę na okręcie, który lada chwilę może zatonąć, bałwany piętrzą się, zalewają pokład, kadłub napełnił się wodą, ramiona zdrętwiały w niemocy, pompy nie działają, — niema ratunku. Burzliwy horyzont nie pokazuje nic... a szalupy potrzaskane. Kapitan stoi bezradny, przestał wydawać rozkazy.

W duszy Łowickiego obudziła się energja, a złość buchnęła czerwonym płomieniem, — szarpał kajdany, raniąc własne ciało. Nie mógł się opanować i uderzył pięścią w stół.

— Łowicka wystraszona stanęła na progu.

— Co się stało, co ci jest?

— Chciałem zabić muchę, która mi dokuczała.

— Zelku, któż zabija muchę kułakiem!

Udawał wesołego i roześmiał się na fałszywą nutę.

— Tobie śmiać się nie chce, udajesz.

— Gdzie tam, jestem zadowolony, że dziś nie trzeba gnić w tej podłej budzie, a potem postanowiłem nie zwlekać dłużej z podróżą do Sosnowca i Dąbrowy, muszę się ratować, bo za ostatnią sesję i sprawę Załęskiego, jak sama dowodzisz, wyleją mię przecie.

— Owszem, jedź, jedź czemprędzej, i ja będę pracowała, założymy z Załęską księgarnię.

— A jednak ludzie, taki Chmielowski, dowodzą, że trzeba wytrwać na stanowisku, czekając jaśniejszych chwil. Bo cóż będzie z dziećmi, jak się znajdą w otoczeniu obcego języka, obcych twarzy, kto spojrzy ze współczuciem na cierpienia ich, kto szepnie słowo pociechy i podtrzyma ducha, upadającego pod zarazami jadowitych szyderstw.

— Nie chcę, nie chcę, jedźmy stąd, i tak sterałeś już zdrowie, ach Boże, Boże!

Śmierć Ossowskiego, przykre przejścia z Biesiekierskim obezwładniały.

Próbował pracować po powrocie z miasta i wziął się do farb.

Na płótnie zarysowała się zamglona, ciemna przestrzeń, coś w rodzaju olbrzymiego cmentarzyska przyrody. Jak zajrzeć, ciągnie się mroczne spalone rżysko, w zeschłej trawie nie krążą soki ożywcze, wicher pogardliwie przeleciał ponad głowami wydziedziczonych i postrącał krople rosy, bo niósł w świat daleki — płacz jesieni. Woda wsiąka w czarną ziemię, i sączy się ospale rozlewną potarganą strugą ku oparom, co się ścielą nad pochylonem pasmem szeleszczących pieśń szuwarów. A dalej, jak okiem zajrzeć, zakończona bezsilnym światłem, wyłania się czarna próżnia, czy trzęsawisko — groźnie, jak rozpacz i rozchyla usta do pieśni śmierci i zniszczenia.

Niebo bezmiernym całunem przytłacza wszystko.

Nerwowemi ruchami rzucał farby na płótno — potem odszedł i obejrzał pracę.

— Pawliszak twierdzi, że mam zdolności wielkie, a ja czuję, że potrafię malować tylko na własnej duszy, a gdy rzucę farby na płótno, ludzie widzą li, że walę mokre w mokre i stwarzam, bez technicznych zalet, nudę i próżnię.

— Jesteś facet niezupełny, niezgodny we wszystkich swych częściach, ni poeta, ni malarz, — pokurcz artystyczny, odbity w politycznem zwierciadle polskiego patryotyzmu.

Łowicki stał przerażony, w duszy nurtował tak wielki ból, że nie umiał zdobyć się na oburzenie.

Roześmiał się sucho.

— Trudna rada, duszy swej na strzępy nie potargam, a tyś nie zdolen zajrzeć w głąb, i tak nic byś nie wyczytał, bo masz za nizki łeb i oczy świecące zwierzęcemi blaski.

— Chcesz być lokajem aniołów i duchów, a oni dawno już dali ci abszyt. A co, gniewasz się, bom przejrzał cię nawskróś. Polityka nie pozwala ci być artystą,

a artystyczne majaczenia pobudzają do uśmiechu poważną i stateczną twarz polityki; a po nad wszystko unosi się cienka nuta szpitalnej poezji z wypiekami suchotnika i brzdąka na anemicznej lirence.

Łowicki przechodził piekielne katusze, kurczył się i wyprężał pod razami, które padały smagając na głowę, plecy i ramiona.

— Gadaj, co ci się podoba, każdy sam wie, co warta jego dusza!

— Żebym chciał grzeszyć niedelikatnością Wrzoska, przyrównałbym twą duszę do psiego ogona, bo ta część psa najmniej ma stałego kierunku.

Ze wszystkich kątów wyszczerzał zęby śmiech sarkastyczny, słaniał się po pokoju...

Smagany porwał za kapelusz i wybiegł na ulicę.

Przy koszarach w Siedmiu Kamienicach roiło się od żołdactwa, harmonika w takt skocznej pieśni rzucała swe piskliwe, chrypiące tony, a śmiechy wyuzdane i brudne przekleństwa kalały powietrze.

Niezwalczona tęsknota ciągnęła go do pól pożółkłych, lasu, mieniącego się barwami rozlicznemi, nieprzejrzanej dali i czystych, niepokalanych blasków.

Gdy się znalazł za miastem, pierś podniosła się do dzielniejszego oddechu, nozdrza rozdęły się, jak u rumaka, który, pędząc smutny żywot w stajni, poczuje tchnienie stepu — swobody.

Słońce przebiegło już większą część swej krótkiej jesiennej drogi, znacząc ją na niebie przejrzystemi, lekką purpurą zabarwionemi chmurkami.

Całe brzemię Altmanów, Biesiekierskich i innych dręczycieli ducha spadło z ramion.

Słońce coraz bardziej chyliło się ku zachodowi, rosło, stawało się jaskrawo-ognistem.

Szedł prędkim krokiem.

Niebo przejrzyste, głębokie wyrzucało, jak przez otwarte na rozcież drzwi, długie snopy światła i rozpromieniało pasmo świetlanych włókien przy zetknięciu się z ciemną linją widnokresu, gdzie się zarysowała daleka czarna sylwetka kilku chałup, wysoki żóraw przy

studni, czy krzyż na starem cmentarzysku i grupa samotnych drzew.

Zapatrzony w dal świetlaną wykonywał, niesiony zapałem, ruch naprzód, biegł ku jasności.

Wyczerpany, zabłocony usiadł na urwisku nad wodą przy mogile dwunastu poległych, a wzroku nie mógł oderwać od pałającego widnokresu.

Jednostajny plusk wody, miarowy ruch koła młyńskiego i ostry przeciągły zgrzyt osi wprawiały w stan uśpienia — serce i dusza pogrążały się w dziwnym uczuciu wzlotu wyobraźni, niecielesności.

Wstęgi ogniste na przestrzeni wód zaszkliły się zimnym, srebrzystym odcieniem — las wsiąkał w tajemniczy mrok i odbijał ciemną warstwą od jaśniejącego ponuro widnokręgu.

We wsi zaszczekały psy — po za borem ozwały się też głosy...

Łowicki siedział nieruchomy, odrętwiały... u ramion nie było skrzydeł, a nogi ciążyły ziemskim kurzem i błotem.

Zbiedzony, zziębnięty wracał do domu.

IX.

— Najzupełniejszy zamęt pojęć etycznych i zupełny zanik poczucia własnej godności i poszanowania godności innych przybiera u rusyfikatorów coraz wstrętniejszą formę.

— Któż z nas nie doświadcza na sobie skutków takiej gospodarki — cedził przez zęby Dłuski.

— Wszystkich owiewa duszne piwniczne powietrze, a jadowite, cuchnące wyziewy zasłaniają wszystko, co lepsze, szlachetniejsze w istocie ludzkiej, a zaniechaliśmy najbardziej nawet biernej obrony. To wstrętne!

— Jesteśmy niestety bezsilni.

Łowicki podniósł dłoń, drżącą z oburzenia.

— Każdy osobnik, należący do świata urzędowowychowawczego, od najwyższego urzędnika do ostat-

niego pionka wchłania pełną piersią jad celowego szowinizmu, kaleczy duszę naszej młodzieży, oddaje się prawdziwej bachanalji najróżnorodniejszych bezeceństw.

— Nam szkodzą, to prawda, zabijają ducha, lecz i siebie zniepraw iają systematycznie. Kiedyś to wszystko na nich samych wywrze straszną zemstę.

— Wielka mi pociecha, że i siebie zniepraw iają, spełniając czynność kata nad naszym duchem i ciałem. Musimy stawić opór, należy się wziąść do bardziej czynnej obrony, zgnieść zmorę rezygnacji, podlenia się systematycznego, w imię jakoby niezwalczonej siły wroga. Kolega nieraz mówił o szukaniu hasła, któreby mogło rozproszyć tę ciemnię, co nas otacza, szukajmy więc broni skutecznej, a i hasło się znajdzie.

— Któż tego nie podziela, lecz zawsze zmieńmy temat rozmowy, bo teraz i ściany mają uszy.

Spojrzał podejrzliwie na rząd kasztanów, pokrytych jeszcze gnieniegdzie pożółkłemi liśćmi.

— Chciałem opowiedzieć koledze o burdzie, którą urządził inspektor z Flegonowym u kolegi Mochnackiego. Będzie o tym zapewne mowa, więc dobrze wiedzieć.

— Potym, potym! — błagał Dłuski.

Zaszył się skurczony w swe krótkie futerko i milcząc dreptał za Łowickim.

W kancelaryi było już kilku nauczycieli. Topolnicki chodził dużemi susami, węsząc wroga, a gdy ujrzał Sosnowskiego, splunął w kąt i już nie mógł się uspokoić... niespostrzeżenie zerkał na jego kalosze, w które wczoraj naplwał w najohydniejszy sposób, jako zawodowy astmatyk.

— U nas w kancelarji dzieją się złośliwe figle, ktoś mi wczoraj przebił cylinder obsadką, — rzucił Łowicki.

— A mnie ktoś w kalosze naplwał, skarżył się płaczliwym, falującym głosem Sosnowski.

Wszyscy domyślali się, czyje to figle i podejrzliwie obserwowali Topolnickiego, który jeszcze większemi susami zgarbiony biegał naokoło stołu.

Ponury, chrapowaty głos dzwonu szkolnego rozległ się głucho na korytarzu.

W klasach panowało wielkie ożywienie. Chłopcy zbijali się w większe i mniejsze grupy i pilnie rozprawiali półgłosem.

Wszystkich oburzało rozporządzenie władzy szkolnej, że wianki mają mieć na wstęgach napisy rosyjskie.

— Nigdy, przenigdy! — rozlegało się coraz głośniej.

Inspektor chodził po klasach, uprzedzał, nakłaniał do uległości, zapowiadając najsurowsze kary dla opornych.

— Panie inspektorze, koledzy w naszej klasie nie chcą kłaść żadnego napisu na wstęgach, nie chcą nawet wstęgi, będzie sam wianek.

Chłopak o zuchwałym wyrazie twarzy wyprostował się i czekał odpowiedzi.

— Jakto żadnego napisu,— nasrożył się inspektor — wstęga musi być, a napis tymbardziej. I śmiesz mi jeszcze wygłaszać zdanie twych kolegów buntowników. Dwanaście godzin kozy »za dzierzość«. Wydałem wyraźny rozkaz, jakie mają być napisy i nic nie cofnę ze swych rozporządzeń.

W klasie szóstej, do której wszedł w czasie lekcji, uczniowie zwrócili się o pozwolenie umieszczenia na wstędze rzymskiej szóstki i litery k.

— Dziwię się, że uczniom klasy VI mogą przyjść do głowy podobne pomysły. Cóż to oznacza VI k. »można podumać, szto eto oboznaczajet sześć kuric«, cóż w tym za sens. Rezonować nie pozwalam, ma być napis rosyjski, złożony z ośmiu wyrazów, nic nie można ani dodać, ani też ująć, taką jest niezłomna wola dyrektora.

Odezwało się nieśmiało kilka zdławionych głosów.

— Przytym oznajmiam, ciągnął inspektor, przecierając flegmatycznie okulary, że każdy kto się będzie wdawał w niepotrzebne rozprawy, zadawał mnie zbyteczne pytania, podlegnie karze dwunasto-godzinnego aresztu. Także i pan, panie oponencie, zjawi się w niedzielę dla odsiadywania kary.

Uczeń z ironicznym uśmiechem ukłonił się, nie mówiąc ani słowa.

W klasie powstał pomruk, spojrzenia latały ogniste, przerzynając powietrze zygzakami, piersi podnosiły się. Wstał drugi uczeń, zadając pytanie dlaczego napisy nie mają być polskie.

— Co, co! — oburzył się inspektor — dwanaście godzin kozy, a za taką »dzierzość« jeszcze sprawowanie zmniejszy się za drugi kwartał o dwa stopnie.

Pomruk stał się groźniejszym, krew biła w skroniach z impetem, wejrzenia świeciły się, jak iskry elektryczne, wściekłość i żal rozsadzały piersi.

Inspektor chciał się cofnąć, czując w powietrzu błyskawiczne pociski nienawiści, lecz potym zatrzymał się, znajdywał bowiem rozkosz w pastwieniu się, poniewieraniu.

W klasie naraz groźnie wstało kilkunastu uczniów, zapytując chórem, dlaczego napisy nie mają być polskie.

— Ossowski Polak, i my Polacy! — krzyczano zewsząd.

— Ciało będzie wystawione w kościele! — rozległo się, jak echo.

Inspektor sponsowiał.

– »Ossowskij czinownik ministierstwa narodnawo proswieszczeńja, a wy urażency priwislinskawo kraja« — rzekł tryumfująco, wiedząc, że zadaje ciężką ranę w samo serce.

Wtedy wszyscy groźnie powstali.

— Nie, my Polacy! — rozległ się jednogłośny okrzyk rozpaczy.

— Co to, bunt, bunt!

Wyleciał, jak z procy, zatrzasnąwszy drzwi z hałasem.

Dyrektor na wieść o rokoszu w klasie VI, zjawił się z powagą, udekorowany orderem za spełnianie funkcji kata w ciągu lat 20.

— Inspektor doniósł mnie, że w waszej klasie kompletny bunt, nie chcecie spełnić woli władzy, woli cesarza... taki czyn będzie poczytywany za zdradę państwa! Ostrzegam, że kary będą bardziej surowe, niż się

wam zdaje, cała klasa, oprócz kilku »błahorazumnych« może być wydaloną z wilczym biletem. A może nawet sprawę taką, będzie rozstrzygał sąd kryminalny, tu pachnie Sybirem. Ostrzegam!

Nikt się nie odzywał.

— Kto jest tym śmiałkiem (»dzierznowiennyj«), który wyjawił protest przeciw rozporządzeniu władzy, woli monarszej?

Cała prawie klasa wstała. Pomiędzy »buntownikami« był jeden rosjanin.

Dyrektor, ujrzawszy go, zbladł ze złości i oburzenia.

— Co i ty, ruski człowiek, przyłączyłeś się do buntu, może nie zrozumiałeś mego żądania. Co to jest!

— Owszem, zrozumiałem należycie wszystko!

Dolna szczęka dyrektora latała, jak w febrze.

— Więc i ciebie buntownicy oplątali swemi zdradzieckiemi siećmi... ciebie, ruskiego człowieka.

— To nie buntownicy, to moi koledzy, którym się dzieje krzywda. Nie chcę być podłym, jam syn uczciwego człowieka. Nie chcę być podłym, — powtórzył drżącym głosem.

— Boże, jakież poniżenie dla ruskiego człowieka — politowania godzien twój ojciec, nieszczęsny... wychować takiego syna!... Boże!

Dyrektor skrzyżował ręce na piersiach i stał w nieruchomej pozie, osłupiały z bólu, który mu serce rozdzierał.

Lecz syn marnotrawny nie objawiał skruchy.

— Siadaj, żebym cię nie widział, bo widok twój serce mi zakrwawia.

Policzki marnotrawnego syna pokryły się lekkim rumieńcem, w oczach malowało się niezłomne postanowienie.

— Pan dyrektor każe mi wydać papiery, nie chcę być dłużej w tym gimnazjum.

I zebrawszy swe książki, wyszedł cicho z klasy.

Dyrektor stał wciąż nieruchomy z założonemi na piersiach rękoma.

— I ty Brutusie... — drżało w powietrzu.

W klasie zapanowała cisza... słychać było oddechy zmieszane kilkudziesięciu piersi... przyspieszone tętno krwi w skroniach.

X.

W mieście powstała zawierucha.

Na stancjach uczniowskich wrzało, zbierano się u kolegów, mieszkających u rodziców — ludzi niezależnych, lub też u kolegów na krańcach miasta, dokąd nie sięgało czujne oko policji gimnazjalnej.

W internacie, jak tu nazywano konwikt rządowy, przyszło do zajścia z dozorcami, którzy, zgodnie z poleceniem władzy, starali się przeszkodzić wszelkiej wymianie myśli pomiędzy uczniami, powierzonemi ich pieczy. Donosili o każdym kroku inspektorowi, a wspólną, ożywioną rozmowę, mianowali otwartym buntem.

Klasy przepełniły się odsiadującemi karę za różne przestępstwa, wymienione w specjalnej surowej instrukcji; dozorcy z delikwentami co chwilę kursowali pomiędzy konwiktem i gimnazjum.

Inspektor był czynny, co się zowie, a dyrektor niezłomny w raz powziętem postanowieniu.

Rodzice ze sfery urzędniczej, zatrwożeni o los dzieci i własny, starali się uspokajać rozgorączkowane umysły, nakłaniali do uległości, używali wszelkich wpływów i środków dla zażegnania burzy, która groziła nie na żarty, bo w powietrzu drgały zygzakowate błyskawice rozpaczy, a niebo zasnuło się groźnie brunatnemi chmurami żalu, gniewu i oburzenia.

W gimnazjum odbywała się burzliwa sesja.

Z widnokręgu życia miejskiego znikły wszystkie tematy, których i tak było nie wiele, a wydłużyła się jeszcze bardziej czarna, ponura plama, jako ciemne odbicie rządów Apuchtina i Hurki.

Opinja co do praktycznego załatwienia sprawy

o wieńcach z rosyjskiemi i polskiemi napisami rozdzieliła się. Powstały dwa obozy — czerwoni i biali.

Młodzież szkolna i urzędnicza wysilała się, by przekonać wszystkich o konieczności stanowczego oporu, i złożenia polskich wieńców od każdej klasy, nie zważając, że krok ten może pociągnąć za sobą nie mało ofiar. Drudzy zgadzali się na ofiarowanie wieńców z rosyjskiemi napisami przez rosyjską i żydowską młodzież w imieniu choćby całej klasy, a sami do składek mieli należeć tylko wtedy, jeśli władza szkolna sama zajmie się zbieraniem takowych. Pomysł ten przypadł do gustu tylko małej garstce młodzieży, lecz żywo był popierany przez większość rodziców, którzy chcieli wyjść niby z honorem i zadosyć uczynić zarazem wymaganiu władzy gimnazjalnej.

Wielu ojców, spotykając niezwalczony opór w synach, postanowiło osobiście złożyć składkę na ręce inspektora.

Synowie ich nie dadzą nic, więc i koledzy nie mogą mieć pretensji, a oni robią to przez pamięć na zasługi nieboszczyka. Cóż w tym karygodnego.

Gdy młodzież o gorętszym poczuciu narodowym przekonała się, że nie zdoła zapobiedz udekorowaniu w jej imieniu trumny profesora Polaka wieńcami z napisem w języku prześladowców i gnębicieli, nie mało bowiem znalazło się zaprzańców, postanowiono złożyć osobny wspólny wieniec od młodzieży polskiej. Radosna wieść przyniesiona przez delegatów, że garstka profesorów Polaków nie przyłączyła się do ofiary wspólnego wieńca od ciała nauczycielskiego, lecz ofiaruje swój własny z polskim napisem, wpłynęła na umysły kojąco, lecz nie ostudziła zapału kilkunastu, którzy postanowili walczyć do upadłego.

Zebrano się, jak zazwyczaj, na naradę u Sępa.

— Panowie, Plichta ma głos, uciszcie się!

Przy stole stał wysoki barczysty uczeń klasy VII i spoglądał na zebranych ponuro i złowrogo z pod ciemnych, krzaczastych brwi.

Nastała zupełna cisza.

— Koledzy — zaczął donośnym, lecz drżącym ze wzruszenia glosem, — zawsze twierdziłem, że u nas źle się dzieje, teraz przekonaliście się chyba, że w gimnazjum naszym panuje nastrój najpodlejszy, jaki sobie tylko wyobrazić można; — jesteśmy podłą zgrają ludzi, dążących za wszelką cenę do zdobycia świstka, zwanego patentem dojrzałości — w zaprzaństwie, który ma nam w przyszłości zapewnić możnosć dalszego podlenia się w imię pełnego brzucha.

— Ależ to obraza, odezwało się kilka niechętnych głosów.

— Nie przerywać, nie przerywać, niech mówi, nasrożył się Maciesza.

— Nie mówię, a krwią serdeczną wypisuję te słowa na sponiewieranej czci naszej.

— Przypatrzcie się, do czego doprowadziła uległość wszelkim rozporządzeniom władzy, brak stanowczości i męstwa w zakreśleniu granicy, przez którą plugawa stopa ciemiężcy nie powinna przekroczyć. Boimy się ofiar i grzęźniemy coraz głębiej w cuchnącym bagnisku kompromisów z sumieniem.

— Niema u nas odporności, bo upadliśmy duchowo, zmaleliśmy, skoszlawieli w pogoni za bytem materjalnym; łatwym użyciem. Znaleźli się między nami, bracią rycerską dla obrony ojczyzny, i biorą przewagę, szykowcy mundurowi, którzy imitują poruczników pruskich lub moskiewskich, eleganci dążący do świecenia rękawiczkami z szerokiem wyszywaniem i śpiczastemi lakierkami. Coraz mniej oddajemy się pracy dla uszlachetnienia swej istoty duchowej, grzęźniemy w małostkach życia, stajemy się marnemi istotami, dla których szczyt marzeń stanowi karjera, a jako przejście pośrednie, zdobycie patentu.

— Każdy z nas, po przejściu dwuch wybitnych faz podlenia się, wychodzi z gimnazjum z nadszarpaną duszą, na co wogóle za mało zwracaliśmy uwagi, a należyte wyświetlenie tego faktu wykaże, dlaczego my, młodzież polska, nie jesteśmy w stanie przeprowadzić zbiorowemi siłami jakiejbądź czynności, często bardzo niezbędnej

dla obrony czci i godności narodowej. Pierwszy z tych okresów podłości zaczyna się w życiu malca po wstąpieniu do gimazjum i trwa mniej więcej do klasy trzeciej... Któż z nas niema na sumieniu różnych świństw z tego okresu. Taki nauczyciel wstępnej klasy, szpieg Rubarko, rozpoczyna swą działalność oprawcy z wielką wprawą, a ponieważ ma do czynienia z zupełnie nieświadomemi dziećmi, znieprawia ich doszczętnie już w krótkim przeciągu czasu, zabija w nich uczucie religijne, zobojętnia dla rzeczy swojskich, zaszczepia kłamstwo, przewrotność, wyrywa niemiłosiernie wszystko, co szlachetniejsze w sercu dziecka.

I, zaiste, zbiera obfite żniwo z swego posiewu. Malce w gniewie oskarżają siebie o mowę polską przed belframi, donoszą na swych kolegów, szpiegują z namowy mistrza starszych i zdają mu potym relacje. Mamy teraz świeży kwiatek, wyrosły na tym dobrze nawiezionym gruncie, jeden z pensjonarzy Sosnowskiego zagroził pani profesorowej, że pójdzie do dyrektora i opowie o sobotnich wykładach literatury i historji polskiej i kto wie, czy nie spełnił już tego ohydnego czynu. Zapewne nie jeden z was pamięta, jak podobny wypadek zdarzył się przed laty na stancji profesora Mochnackiego, za co go i teraz jeszcze władza dusi i prześladuje.

Jeśli dzieci pod kierunkiem i wpływem uczciwej rodziny polskiej, gdzie się przeciwdziała rozkładowi, tak nizko upadają i z upodobaniem wchłaniają jad niewoli, cóż się dziać musi z biedakami, co rosną pod opieką dozorców internackich rozpustników, opojów; otoczeni pieczołowitością gospodyni internackiej, podłej kochanicy dyrektorskiej.

Zaciskają mi się pięści, włosy na głowie stają z oburzenia, gdy pomyślę o tym, a czuję, żeśmy zupełnie bezsilni i to przeważnie z własnej winy, bo opuściliśmy ręce i nie chcemy przeciwdziałać złemu.

Trzykrotne pukanie do drzwi przerwało mówcy.

Kilkunastu chłopców zerwało się — wystraszeni wzrokiem — szukali kryjówki.

— Nie bójcie się panowie, toć przecie nie Flegont... a jeśliby i on, więc cóż — rzucił z goryczą Wasiutyński, zawadjacki blondynek, który nieodstępnie stał przy Plichcie, spoglądając nań z uszanowaniem, jak na mistrza.

— Nie bójcie się, jesteście u mnie bezpieczni, ten jucha nie zjawi się tu po cięgach, które oberwał odemnie, gruchnął zamaszystym basem Dołęga, przezwany Sępem.

— Gadajcie-ta Plichta!

— To łatwe spadlanie się malców jest rzeczą smutną, ciągnął mówca, lecz zawsze można znaleźć usprawiedliwienie jakieś, wytłumaczyć to smutne zjawisko niezupełnym rozwojem władz umysłowych, ich wiekiem dziecinnym, niezrozumieniem ohydy tego, co czynią, ale czym usprawiedliwić drugi okres podlenia się już nie dzieci, a młodzieńców w rozkwicie władz umysłowych i uczuć, mężczyzn odpowiedzialnych za swe czyny!

Od trzeciej klasy chłopcy nabierają świadomości, przebłyski której zjawiają się już w drugiej, a czasem, względnie do rozwoju umysłowego, i wcześniej; w klasie czwartej do uświadomienia ogólnego przyłącza się moc jeszcze większej odporności, gdyż w wieku tym budzą się żywsze uczucia patrjotyczne; w piątej uczucia te krystalizują się, uszlachetniają krytycyznem, a w VI nabierają świetlanego połysku, pod wpływem budzenia się młodzieńczych ideałów i dążności ku nim w górnym locie. Cała istota młodzieńca przeobraża się, staje się jasną, promienną, roztacza światło i ciepło. Ta jasność promienna w kl. VII zaczyna jednak gasnąć, nie zdolna jeszcze stracić całej swej energji, lecz w klasie VIII, niestety z bardzo już nielicznemi wyjątkami, traci szlachetny ogień kryształu, zamienia się w mdły, niewyraźny, zaćmiony, brudno-żółty połysk zwyczajnego kawałka szkła... zbitej butelki od piwa, której miejsce na śmietniku lub w rynsztoku.

Kilku ośmioklasistów oburzyło się.

— Zanadto sobie pozwalacie kolego!

— Niech mówi, nie przerywać, krzyczano groźnie*

— Nikogo nie chcę obrażać, nie stosuję słów mych li tylko do obecnej klasy VIII, stwierdzam objaw, który obserwowałem nie ja jeden, z którego smutną prawdziwością zgadza się taki Łowicki. Czymże usprawiedliwimy zanik uczuć szlachetniejszych, ducha ofiary w dwuch wyższych klasach, a przeważnie w ostatniej, czym się dzieje, że młodzież polska jest pozbawioną głowy, kierownictwa najbardziej dojrzałych i życiowo doświadczonych kolegów. Dlaczego duszę swą zaprzedali w jasyr, zawarli umowę z szatanem, bezbronni oddają się mocom piekielnym. Mówcie, bo krwią serdeczną w oczy wam chlusnę, z rozpaczy łeb sobie rozwalę o ten mur.

W głosie Plichty drżała nuta wielkiego bólu i żalu, przeszywał obecnych wzrokiem i włosy odgarniał z czoła, które pokryło się kroplistym potem.

— Karjera pachnie, patent olśniewa, uśmiecha się majestat sytego brzucha, śpiewał rytmicznie ośmioklasista Łoziński — święta prawda, ja sam spodlałem w VIII, Rubarce i Flegontowi łapę podaję.

— Nie wpadaj w cielęce zapały, karcili go koledzy.

— Czyż i w obecnym wypadku, my starsi przyczyniliśmy się do stargania nowych kajdan, które teraz z naszej winy dźwięczeć nam będą u rąk i nóg i duszę ściskać rozpalonemi kleszczami. Czy staliśmy na wysokości zadania, czy spełniliśmy godnie to, co było naszym najświętszym obowiązkiem. Nie, pierwsza ósma klasa w osobie nieobecnego, jak zawsze, Pawła Stępińskiego rzuciła myśl kompromisu, którego inaczej nazwać nie można, jak niecnym i niegodnym młodzieży polskiej.

Kto chciał narazić się władzy, pokierować młodszemi kolegami? Nieliczna garstka; i to psuliście nam robotę ironicznemi półsłówkami, krytyczną miną, lekceważącemi ruchami, wyniośle pełni bezwstydu, mianowaliście nas narwańcami.

Składajcie sobie ogólny wianek, od naszej klasy siódmej, jakoteż od VI będą wieńce, jak się należy, i są już gotowe, a jeśli każda nie zdobędzie się na taki czyn,

znajdą się koledzy, co siłą uczucia sprawią cud i zmienią napisy, oddane w mowie ciemiężców, na mowę ojczystą! Rozumiecie panowie, siłą — uczucia! a jeśli trzeba — więc i siłą pięści.

— Zobaczymy, co z tego wyniknie... kilkunastu wydalą z wilczym... ot i wszystko, narzekali rozważniejsi zasępieni i smutni.

— Niech, psiakrew, wydalają! mając nawet obrożę na szyi, nie pozwolimy deptać siebie w błoto.

— Panowie, kto wedle słów kolegi Plichty zgadza się działać siłą uczucia, a w razie potrzeby i siłą pięści — zostanie na naradę, krzyczał Maciesza, cały rozgorączkowany.

— Narada odbędzie się za pół godziny, wołał głośno Wasiutyński z wysokości stołu, bo niezgodny tłum sprawiał straszny rejwach — należeć może, kto chce, lecz zastrzegam, że każdy, co przyjmie udział w naradzie, przez to samo zgadza się na wszystko, co postanowimy większością głosów i pomocy swej nie ma prawa odmówić.

— Koledzy, opamiętajcie się, przeczuwam coś niedobrego, błagał ośmioklasista, kandydat do medalu.

— Nie podoba się wam, więc fora ze dwora, a ducha nie gaście, obruszył się nań Maciesza.

— Koledzy, zgoda... naprawmy zło, które stało się dzięki naszemu tchórzostwu, jeszcze mamy czas, nalegali niektórzy, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty.

— Ależ wianki już gotowe, przerwał niecierpliwie przyszły medalista.

— Cóż z tego, że gotowe, z rosyjskiemi napisami będą od Rosjan, a żydom wolno i po hebrajsku wyrażać swe uczucia.

— Niech już będzie tak, jak jest, pal ich tam sześć, nie ubędzie nas, odezwał się znów niechętny głos, a inni potakiwali.

Opozycja była w mniejszości, »trzeźwi« zaczynali brać górę.

— Wczoraj wymyślaliśmy ojcom naszym, że zdeptali wszystkie ideały narodowe, że dla nędznego ka-

wałka chleba byli gotowi na wszelkie poniżenie, że przez swoją bierność, brak oporu, wydali nas na pastwę ciemiężcom — a cóż należy powiedzieć o polskiej młodzieży narodowej, bo za taką się mamy, która głosi, że nie ubędzie nas, jeśli zgodzimy się na poniewierkę swych najświętszych uczuć.

Połubiński zagryzał wargi, a wzrokiem ciskał pioruny.

— Przecież będzie wianek od młodzieży polskiej wszystkich klas, poco wymagać rzeczy niemożebnych; łatwiej położyć cichaczem jeden wianek, niż dziewięć.

— Nie należy właśnie kłaść cichaczem, a otwarcie; na rozporządzenie dyrektora, które się opiera na bezprawiu gwiżdżę, plwam i jeszcze gorzej...

— Chodzi o uniknięcie ofiar, większość była tego zdania.

Plichta wstał, cały w ogniu.

— Unikanie ofiar niepotrzebnych, jest obowiązkiem każdej rozumnej akcji, lecz jeśli uczciwość narodowa wymaga ofiary, podłością jest siedzieć z założonemi rękoma w obawie walki.

Z goryczą wykrzywił usta.

— I co to za wielka ofiara, być wylanym z tej podłej budy, ciągnął zapatrzony w przestrzeń — zobaczycie, przyjdzie czas, że młodzież nasza na tyle zmężnieje, przejrzy, iż sama, przy pierwszej lepszej sposobności tłumnie porzuci progi niecnej katowni, jaskini bezeceństw. Ofiaruję swe usługi wszystkim klasom. Ostatecznie znajdzie się nie mało kolegów, którzy nie cofną się przed żadną ofiarą, a w dobrej kompanji zawsze weselej. Hej, bracia, kto ze mną!

Plichtę otoczyło całe grono kolegów, na twarzach których malował się zapał, gotowość do czynu.

— Widzicie, tak źle nie jest, damy sobie radę.

Niektórzy zabierali się do wyjścia, drudzy ociągali się niepewni, co czynić i starali się przekonać kolegów o niemożności oporu w innej formie, jak przez ofiarowanie wspólnego wieńca.

— Wianek od nas będzie, czego chcecie więcej, honor wyratowany, tego nikt nie zaprzeczy.

Wywiązał się spór ożywiony.

— A po co dawaliście składki na moskiewskie wianki, po co! — krzyczał zapalczywy Maciesza i do oczu skakał drągalowi w mundurze na jasnej podszewce.

— To nie wasza rzecz, dość, że należę do naszego wianka.

— Tak, każdemu po świeczce, i panu Bogu i djabłu.

— Co tu blagować, wianek polski od garstki, a na tamte ze strachu dawali wszyscy, bo zbieranie składek dyrektor poruczył Rubarce i Flegontowi, a nawet i sam jucha, zbierał. Co tu blagować, po co te wykręty!

— Plichta ma rację, spodleliśmy doszczętnie. Ja nie dałem, więc mój stary zaniósł dyrektorowi. Podły jestem, przyznaję, żem się zgodził na to. Za karę zostanę z wami i spełnię wszystko, co każecie, żeby nawet przyszło w pysk kogo lunąć, narzekał strapiony Godlewski, i tak się dziwacznie jął wykrzywiać ze smutku i utrapienia, że widzowie pomimo woli wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Wam śmiech, a mnie gorycz duszę zalewa.

— Nic, porządny chłop jesteś, nie masz czego ryczeć, huczał Sęp tubalnym głosem i z przyjaźnią klepał strapionego po ramieniu.

Trzeźwi, widząc swą porażkę, zaczęli się wynosić.

— Nie on jeden poczuwa się do winy, lecz co nam robić. Zobaczycie, jaki los spotka tych, co odmówili składki. Wyleją, a gdzież się będziemy uczyć? O zagranicy bez pieniędzy ani myśleć! — biadał chudy, wymizerowany Czaplicki, który matkę i dwie młodsze siostry utrzymywał z korepetycji. Ja drżę o tę budę a w duszy czuję wstyd, żem taki małoduszny. Bierzcie i mnie, zrobię, co każecie, choć na śmierć!

W głosie Czaplickiego przebijała stanowczość, gotowość niesienia największej ofiary.

Maciesza porwał Czaplickiego w ramiona, a potem

wlazł na stół i tak głośno wymyślał moskalom i całemu miastu, że aż Sęp musiał go mitygować.

— Słuchaj, Maciesza, nie wrzeszcz, bo dalibóg biedy narobisz, wyleją mię ze służby, a ja mam trzy grosze w kieszeni i długów co niemiara, a zarwaliście mię jeszcze na swej bibule.

Przy współudziale Sępa naradzano się długo. Już kurjer śród nocnej ciszy, gwiżdżąc przeraźliwie, ruszył w stronę granicy i zaszył się w ciemności, a dwa okna, wychodzące na plant kolejowy, wewnętrznego pokoju mieszkania Sępa, w którym mieściła się kwatera kółka patrjotycznej młodzieży, migotały jeszcze światłem. Śród ciemnego wąwozu plantu zrzadka drżały świetlne plamy, a za mostem ku dworcowi kolejowemu całemi rzędami błyszczały jaskrawo, mieniąc się różnemi barwy. Z wąwozu wiało chłodem, a wiatr pod mostem borykał się z ciemnością, zrywał pożółkłe liście z drzew poblizkiego ogrodu szpitalnego i ciągnących się rzędami wzdłuż ulicy już prawie nagich kasztanów.

Niebo, zasnute ciemną oponą chmur, rozdartych w kilku miejscach promieniami poświaty, ukrytego w głębi księżyca, zamglone ciężką powłoką oparów, które martwym blaskiem naśladowały światło śród tej ciemni, wyłoniło skrawek ciemnego lazuru, na którym błyszczały jak zapowiedź lepszej doli, dwie samotne gwiazdy — czyste i promienne.

XI.

— Powiadam Panu, że nic dobrego nie przyniesie nierozumny upór... kilkunastu, a może i kilkudziesięciu zwichnie sobie karjerę, ot i wszystko, cały rezultat akcji patrjotycznej, zrzędził rejent Wyszyński, drepcząc po salonie na rozpływających się, rzekłbyś, gumowych nogach.

— Ha, Panie Dobrodzieju, młodzież, to nie my starzy... u nich polot myśli, Panie, górny, co się zowie, Dobrodzieju, gdzie oni tam będą się liczyli ze skutkami,

które pociągnie za sobą zapał patrjotyczny, upór, jak pan rejent się wyraża. Było się też młodym. Młodości, ty nad poziomy — i t. d. Panie Dobrodzieju! W tym sęk! śpiewał przymrużając oczy Łempicki, nizki, krępy jegomość z miną prawdziwego szlagona i zadarł głowę do góry, która u niego z natury w tył się podawała.

— Bo też dziedzic zawsze trzyma z temi warchołami! Panie profesorze, zwrócił się do Wrzoska, czyż nie prawda, że należy nam młodzież mitygować, łagodzić, a nie jak pan dziedzic deklamować o młodości i usprawiedliwiać wszystkie wybryki.

— Wie pan rejent, mało mię to obchodzi. Tyle zażyje się biedy z temi wisusami w szkole, że mam już dosyć, po gardło, po same uszy. Pal licho i wianki i napisy, cała sprawa nie warta funta kłaków. Niech sobie piszą chociażby i psim ogonem i po chaldejsku i po turecku, jak się komu podoba — co mię cały interes obchodzić może. Niech się głupcy biją, niech się świat poleruje.

Niektóre panie, które nie miały jeszcze czasu przyzwyczaić się do niezbyt salonowych wyrażeń Wrzoska, któremi on gęsto sypał, szczególniej, gdy nie był w humorze, kręciły nosem, usłyszawszy o psim ogonie, a gospodarz obruszył się na indeferentyzm kierownika młodzieży.

— A, myślałem, że profesor rozstrzygnie nasz spór, jako człowiek kompetentny w sprawach wychowania.

— Tak mię interesują te, tak nazwane sprawy wychowania, jak Szanownego rejenta sprzedaż domu, przy której pośredniczy. Co to wreszcie za sprawa wychowania branie się za bary o wieńce i napisy na nich. Śmierć kolegi Ossowskiego tyle mię kosztowała spokoju, tyle się nacierpiałem, spędziłem niejedną noc bezsenną przy chorym, że chciałbym już zapomnieć o całej biedzie. Łowicki mniej przeszedł, a zbladł i spochmurniał.

Rozmowę przerwało przybycie nowych gości. Posuwistemi krokami wsunął się jakiś jegomość z miną bankiera, wygolony à la Rotszild, w towarzystwie szpako-

watej matrony w dużych okularach, w szyldkretowej oprawie, zaświecił biały habit zakonnika, a potym zjawiło się dwóch młodych obywateli z napuszonemi minami, których gospodarz witał z wielką uniżonością.

Gości przybywało coraz więcej.

Zaszeleściały jedwabie mężatek, żywe barwy strojów panieńskich pociągały wzrok, a po nad tę mieszaninę szmerów i barw, które zlewały się, tworząc przedziwną całość, zakrólował dyskretny, lekki i ponętny szept jedwabnych halek, umajony delikatnym zapachem wykwintnych perfum.

Dźwięczne, głębokie tony, lub dystyngowane słowicze falsety mowy kobiecej zawibrowały w powietrzu, w towarzystwie lotnych fal śmiechu, które podnosiły się śpiewnie, poruszane zefirem dobrego tonu i zlewały się z miarowemi głosami różnych odcieni rycerzy w czerni i jaskrawych krawatach lub o brzęczących ostrogach.

W salonie większym i mniejszym Wyszyńskich zebrała się prawie cała śmietanka grodu, słynącego z cudów, z przymieszką grubszych ryb ze świata urzędowego, urozmaicona przedstawicielami cudzoziemskich kapitałów.

Komu dopiekły rozprawy o wieńcach, napisach — mógł teraz w salonie Wyszyńskich zażyć prawdziwego wypoczynku. Rozmowa toczyła się pusta, co się zowie, salonowo-światowa, ludzie w bezgranicznej próżności starali się przedstawić w jak najkorzystniejszym świetle, oddawali sobie wzajemnie reweranse, kiwali głowami, uśmiechali się bezmyślnie dla przyzwoitości, — kłamali ruchem, głosem i językiem, ale bawili się wyśmienicie.

Po chwili w przyległych pokojach rozstawiono zielone stoliki i rozpoczęła się nowa odmiana bezmyślnego zabijania czasu, gra w karty, ohydna rozrywka nowoczesnych jaskiniowców.

— Patrz pan, co za szumną minę ma ten bohater z pod zdechłego zająca, — zwrócił się prawie szeptem doktór Bański do Rylskiego, właściciela fabryki przetworów chemicznych.

— Kto taki?

— A któż, dyrektor gimnazjum, ta persona grata u Apuchtina.

— Cóż się znowu przytrafiło tej zacnej osobie — dziwił się Rylski.

— Pan chyba udaje, wiadomość obleciała już całe miasto.

— Słyszałem coś nie coś, lecz szczegółów nie wiem. Tyle miał już kawałów, co się zowie; zwłaszcza za czasów swego inspektorstwa, że i spamiętać trudno.

— Miał nie lada kawały, lecz ostatni nie zajmie pośledniego miejsca w jego repertuarze, bo to już nie heca zwyczajna, lecz łajdactwo wyższego rzędu. Wyobraź pan sobie, pojechał do aptekarza w Bendzinie na bibkę, a biby ten facet wyprawia przednie. Powracając złapał jakiegoś wyższego urzędnika akcyzy z Piotrkowa, który wiózł grubą sumę pieniędzy rządowych.

— Cóż, ukradł mu pieniądze?

Głośniej wymówione sensacyjne zapytanie Rylskiego ściągnęło kółko zaufanych.

— Po co miał wulgarnie kraść, a od czegóż sztos i inne sztuki karciane. W wagonie dla zachęty pozwolił frajerowi wygrać, a potym w mieście, w towarzystwie kilku kompanów po sutej libacji, orżnął go do suchej nitki.

— Czy to nowość dla tego pana?

— Urzędniczyna dawaj rozpaczać, chciał sobie w łeb strzelić, lecz potym zmiarkował coś i zażądał zwrotu przegranych pieniędzy.

— To ciekawe i cóż się stało?

— Przewodnik młodzieży jako najszczęśliwszy gracz pocieszał go, że się odegra i chciał wszystko w żart obrócić. Zapewne przypuszczano, że ofiara, powróciwszy do domu, po wytrzeźwieniu, kulkę sobie w łeb puści i sprawa skończona. Ale ten swoje, oddawajcie pieniądze, bo to rządowe, tyś mię spoił... zaskarżę do policji, że dyrektor gimazjum ogrywa na kolejach ludzi i to jeszcze urzędników, wiozących rządowe pieniądze. Mnie będzie źle, powiada, żem przegrał, lecz i tobie

nie »zdobrować«. Prędzej w łeb nie strzelę, aż ty »sukinsyn« z miejsca nie polecisz i nie pójdziesz pod sąd.

Dłuski z obrzydzenia nerwowym ruchem wyciągał pąlce, które trzeszczały rozpaczliwie, a szlagon jeszcze wyżej zadzierał głowę.

— Wynikła straszna heca, musieli mu ostatecznie zwrócić co do gronia monetę, lecz za karę spuścili biedaka ze wschodów, tak że nos sobie rozkrwawił.

— A dalej co? — nalegał zaciekawiony Rylski.

— Ba, cóż miało być. Zjawiła się wprawdzie policja, sporządzono protokół, lecz u nich bratku, ręka rękę myje, utarli nos całej sprawie i sza! ani słychu!

— Boć dygnitarza, Panie Dobrodzieju, nie wolno i nie godzi się kompromitować za lada słabostkę, dowodził szlagon.

Dłuski ze zdziwienia, czy niesmaku podnosił prawe ramię, a potem skurczył się i drżał jak w febrze.

— Widzi kolega, kto rozporządza naszym losem i młodzieży — zwrócił się do Mińskiego.

— Widzę i słyszę, a cóż poradzimy na to!

— Boże, to okropne — deklamował Dłuski w osłupieniu, urywając każdy wyraz, przeciągle i dobitnie akcentując ostatnią zgłoskę końcowego.

Tymczasem bohater epopei »z pod zdechłego zająca« zamaszyście ciskał w przyległej jaskini karty na zielony stolik i sypał dowcipami z gęstą miną.

— Są różne stopnie tego, co nie uchodzi, wycedził przez resztki zębów adwokat — szopenista Doliński, a czy godzi się obchodzić imieniny, gdy ciało człowieka, z którym się było w tak zażyłych stosunkach, leży na katafalku.

— No, to rzecz poglądu — rzucił ktoś obojętnie — Ossowski nie należy przecie do rodziny gospodarstwa.

— Ależ ze względów ogólno-ludzkich! był przecież tak częstym i mile widzianym gościem w tym domu — cedził sycząc ten sam głos.

— Ktoby na podobne finezje zwracał uwagę w wieku pary i elektryczności.

— W wieku volapük'u raczej, powszechnego języka,

który nas zbliży, stworzy jedną rodzinę z całej ludzkości; oddałbym pierwszeństwo zdaniu kolegi Dolińskiego, poprawiał delikatnym głosem suchy, mały staruszek w wysokim kołnierzu i staroświeckim krawacie.

Grupa rozproszyła się. Bański znalazł partję przy zielonym stoliku, Doliński snuł się, jak duch z pokoju do pokoju, szukając Dłuskiego, który się był wymknął po angielsku; zwolennik powszechnego języka przysiadł się do pani Byszewskiej, zwolenniczki elekto-homeopatji, a Rylski emablował wintującą panią Stolarską, której stały adorator, gruby pułkownik dragoński z miną opryszka, pewny swych przywilejów, wodził rej w sąsiedniej jaskini, gdzie gra szła najgrubszym kuszem.

Gorączkowa atmosfera karciarni, zaprawiona zapamiętałością, przesiąknięta dymem tytuniowym i ostrym odurzającym zapachem rumu, przenikała do salonu, gdzie się unosił fantastycznemi obłoczkami lekki, gryzący oczy dymek flirtu.

Tu towarzystwo podzieliło się na kółka większe i mniejsze. Toczono rozmowy i dyskusje przeróżnej treści i o sztuce i o literaturze, ma się rozumieć nadobnej, lecz z każdego zdania przeświecała nużąca powierzchowność, płytkość, brak przejęcia się żywiej czemkolwiekbądź.

Nikt nie snuł z duszy tego, co mówił — najwyżej śledził, czy mu do twarzy przybrana poza, czy nie może czasem zaszkodzić w opinji możniejszych, lub wobec rządu, jeśli w pobliżu znajdowała się jaka figura urzędowa.

Ostatecznie każda rozmowa prędko schodziła, w braku treści, na tory zwyczajnej plotki. Dowcipkowano złośliwie, szkalowano nieobecnych ze swego towarzystwa, lub takich, którzy wskutek warunków majątkowych, bo śmietanka oprócz innych smakołyków przyjmowała nawet ostrygami, nie mogli należeć do grona patrycjuszów gastronomicznych.

Najbardziej zaś znęcano się nad ludźmi, którzy wskutek odmiennych zasad lub przez dumę wyrzekali się zaszczytu obcowania z wybrańcami losu.

Mały salon Wyszyńskich, gdzie skupiała się zazwy-

czaj młodzież, różnił się nieco przyćmionym światłem i rozełkanym echem drżeń serdecznych, rozlanych w eterycznych różowych falach wiedeńskiego abażuru. Pasterki i pasterze w czułych, powiewnych pozach gruchali, zaprawiali się w kuciu wykwintnych ploteczek i szermierce językowej.

— Powiedz mi pan, co to za człowiek profesor Łowicki, musi być odludkiem i dziwakiem, śpiewała pani Bielska, ładna, okrągła brunetka, zwracając się do Elsnera, kandydata do posad sądowych, który porzucał karjerę urzędniczą dla zbierania, jako śpiewak, laurów na deskach teatru wielkiego.

Elsner ruszył ramionami, lecz przypomniał, że podobne ruchy nie uchodzą i dla zamaskowania poprawił swój jaskrawy krawat niedbałym ruchem brody z dołu ku górze, co mu nadało minę kozła, gotującego się do skoku na przeciwnika.

— Z Łowickim nie łączy mię bliższa znajomość, lecz, zdaje się, że pani prawdziwie określiła go, jako dziwaka i odludka. Nikomu się nie udziela; zaszczyca swą znajomością i przyjaźnią niewielu, i to największych dziwaków w mieście.

— U kogo mianowicie bywa... wie pan, mnie interesuje Łowicki, lubię ludzi niezwykłych.

— Może go pani spotkać u Mochnackich, bo ze starym żyje w wielkiej przyjaźni, wreszcie u Sosnowskich lub Nagórskich.

— Proszę go wciągnąć do naszego kółka, rozruszamy odludka.

— Ależ droga pani, to człowiek żonaty, husyt, purysta, idealista, nawet socjalista, jak twierdzi pani Byszewska. Nie miałaby pani pociechy, głowy mu pani też nie zawróci.

— Zanadto pan sobie pozwala! lecz mniejsza o to, powiedz mi pan lepiej, czy prawda, że Mochnacki ma suchoty i w dodatku traci posadę. Pani Rompalska twierdzi, że stancję swą roznamiętnił patrjotyzmem, a dyrektor dowiedział się o tem.

— Podobno. Była u Mochnackich rewizja, a Łowi-

cki, który był obecny, niegrzecznie obszedł się z inspektorem, jak twierdzi Iljadow... wyrzucił go z mieszkania, czy coś w tym rodzaju.

Pani Bolońska, wdowa po rejencie i aptekarzu, nie wielkiego rozumu, lecz wszystko wiedząca i pełna jeszcze pretensji do życia, snuła się po całym pokoju i wszędzie musiała wściubić swoje trzy grosze.

— Tak Mochnacki, jak i Łowicki są dziwakami, wtrąciła się do rozmowy, i należą jakoby do sekty patrjotycznej, która stara się wyrugować z serca prawdziwą wiarę w Boga, a każdemu nakazuje jako dogmat wiary odbudowanie w sercu Polski w jakiś tajemniczy i mistyczny sposób.

— Skąd pani ma tę wiadomość, przerwał pochmurnie, z widoczną niechęcią Elsner.

Lecz podwójna wdowa nie dała się zbić z tropu.

— Skąd wiem — słyszałam o tej nauce od mego kuzyna, który był jej zwolennikiem, lecz teraz ma dobrą posadę rejenta, wreszcie ożenił się bogato, więc wszystkie bałamuctwa prędko wywietrzały mu.

— Wie pani, mnie interesuje ta sekta, gruchała Bielska. Jakem bawiła za granicą z mężem nieboszczykiem, bywałam na nabożeństwach menonitów, ogromnie mię to interesowało. Niech pani wyobrazi, modlą się, drżąc na całem ciele, z wzrokiem pogrążonym gdzieś w zaświaty. Lubię ludzi natchnionych.

Wzrok Bielskiej świecił fosforycznym blaskiem.

Bolońska nie taiła ironicznego, złośliwego uśmiechu, który wykrzywił jej zacięte usta, obnażając dwie olbrzymie złote plomby.

Po północy podano kolację — w salonach i karciarniach zawieruszyło się. Mężczyźni nie dawali się długo prosić i chętnie porzucali zielone stoliki, wszyscy bowiem wiedzieli, że wspaniałe przekąski przeniosą ich szlachetne podniebienia do siódmego nieba gastronomji, a kolacyjka będzie jednym wielkim hymnem na cześć szczęśliwości ziemskiego żywota.

Potrawy... a... a... a... delicje, język cmoka pomimo woli, a trunki najpierwszej marki, nektar boski.

Oprócz panów znalazło się niemało amatorek ostrych przekąsek, które i trunkami nie gardziły.

Uprzejmy gospodarz, z córką i najstarszym synem, akademikiem. pod kierunkiem pani rejentowej usadowili po długiej pracy wszystkich gości klasycznie, jak się wyraziła Rompalska. Każda bowiem pani miała najmilsze sąsiedztwo, a każdy przedstawiciel płci brzydkiej bawił i usługiwał swej sąsiadce z lewej strony, nie z przymusu, lecz »con amore«.

Na młode małżeństwo, aptekarza i aptekarzową, którzy żadną miarą nie chcieli się rozdzielić i popsuli nieco szyki klasycyzmu, patrzano, jak na zmurszałych przedpotopowców, z wyniosłym sarkazmem i pogardą.

Zapanowała lukulusowa atmosfera.

W powietrzu rozpryskały się całą kaskadą nieustające głosy, dźwięki polskiej mowy mieszały się z rosyjskim, natchnione bratnią zgodą przy biesiadnym stole — chociaż wprawne ucho odczułoby, że i tu nie splotły się w zgodny akord, lecz zachowuje swą osobowość wyniosły i pewny siebie głos pana i skomlenie niewolnika, który czuje swą niemoc i pogodził się już z kajdanami, a nawet pobrzękuje niemi chętnie dla zabawy pana i jego dzieci.

Francuzczyzna uprzyjemniała miękkiemi tony pieniącą się falę dźwięków, rzucając minorowe trele w stugębną otchłań biesiadnego wyuzdania i harmideru.

Zaczęto wreszcie wygłaszać mowy — płaskie, schlebiające; powstał rumor, wstawanie, przesuwanie krzeseł, bezmyślne trącanie się kielichami i wykrztuszanie z siebie jałowych wykrzykników, które rodziły się na języku i tonęły w ślinie zapomnienia, wydzielanej obficie łechtliwemi smakołykami i trunkiem.

Głosy coraz bardziej zbliżały się do krzyku, nogi zawzięcie i z fantazją szorowały podłogę.

. . . .

A w wilgotnej suterenie, o jaki sążeń z czemś niżej, konała suchotnica, żona stróża — kurczowo ściskała gromnicę i błędnym, wystraszonym wzrokiem spoglądała ku sufitowi.

Oczy konającej zaszły mgłą, widziała wieżę Jasnogórską, Matkę Boską z Dzieciątkiem na ręku i kapłana z kielichem, który odpędzał od jej łoża zgraję szatanów, wyjącą przeraźliwie na widok krzyża.

Konała długo, męcząco.

Rozdzierający duszę krzyk osieroconych dzieci przedarł się do biesiadni i złączył się z rozpasanym śmiechem pani Stolarskiej, która gziła się i przekomarzała, biorąc na kawał stałego adoratora, wspierana przez kilku czasowych z Rylskim na czele; z wściekłym wybuchem wesołości całego zacnego grona, wywołanym jakimś tłustym dowcipem.

. . . .

Nastrój biesiadny dosięgał szczytu, gdy w tym stało się coś niezwykłego, bo całe towarzystwo oniemiało.

Dyrektor, który wygłaszał mowę na cześć solenizantki z wysoko podniesionym kielichem szampana w dłoni, stał z otwartemi ustami, nie mogąc wymówić słowa, kilku młodych rzuciło się do salonu — powstał niezwykły popłoch, jak w czasie pożaru, twarze powyciągały się z przerażenia lub nabrzmiały krwią w niemej i bezsilnej wściekłości.

A na alei wyrywał się śpiew z kilkunastu młodych piersi coraz rozgłośniej — i płynęła śród nocnej ciszy zgodnemi głosy pieśń legjonistów; każdy dźwięk nabrzmiewał natchnieniem, uskrzydlał się potężnym, czystym uczuciem miłości Ojczyzny i drgał w powietrzu z dziwną, mistyczną siłą niespożytej potęgi i mocy, a tak rzewnie i kornie, że pieśń przeobrażała się w modlitwę ludzi wolnych, lecz smutnych.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami!

uderzyło w same okna, jak taranem — tak, że mówca podał się w tył i wychlusnął część płynu z kielicha na ziemię, rzekłbyś czynił zaklęcie, dla odpędzenia zmory, która go dusiła.

Duch Banka nieproszony zjawił się śród przerażonych biesiadników, nie przeto, by daremnie szukał prze-

znaczonego dla siebie miejsca, lecz, żeby zamanifestować, że mocen jest przebywać śród żywych, by przypomnieć o swej krzywdzie sercom oddanym, zaprzańcom cisnąć w oczy strzępy ich podłości, a drżenie wzbudzić w duszy katów, napiętnowanych niewinnie przelaną krwią.

Ściany rozwiały się... w górze błysnął gwiaździsty skrawek błękitu...

Przez pokój przesunął się cień wyniosłej niewiasty w czarnej powłóczystej szacie. Na jej głowie świeciła aureola z gwiazd, na nogach i rękach dźwięczały kajdany, a przed nią, gdzieś ze stropu nieba, biegła jasna smuga, rozpromieniona, pałająca skrzydlatemi sercami. W każdym sercu tkwił miecz, lub bił ku górze żywy, olśniewający płomyk w postaci ognistej dłoni z mieczem płomiennym.

Mówi ojciec do swej Basi
Cały zapłakany;
Słuchaj Basiu, pono nasi
Biją w tarabany!

unosiło się z wiarą, otuchą i nadzieją.

Nastrój biesiadny znikł doszczętnie — gospodyni napróżno zapraszała gości do stołu, przy którym na półmiskach stygło mięso zamordowanej sarny.

Jedni Francuzi z fabryk byli obojętnemi widzami ogólnego popłochu i nie domyślali się, co za dramat rozegrywa się przed ich wzrokiem.

Za twoim przewodem
Złączym się z narodem!...

huknęło już przy ulicy Teatralnej. Głosy Plichty, Macieszy i Godlewskiego złączyły się razem i grzmiały groźnie, jak trąba sądu ostatecznego, a głęboki baryton Wasiutyńskiego wtórował im z zapałem, zbierając w jedną wiązankę dźwięków czyste, nieskazitelne młode głosy ofiarników.

Doliński drżał, jak w febrze, zapatrzony w sufit i nie odpowiadał na zapytania Rylskiego, który czuł niezwalczoną potrzebę podzielenia się z kimś nawałem myśli; zwolennik powszechnego języka mrugał nerwowo wilgotnemi powiekami i błagalnie spoglądał na Łempickiego. Ten, pogrążony w sobie, przypominał stare dzieje, błogosławił w duchu śmiałych wojowników i, zakreśliwszy krzyż w stronę rozlegającego się śpiewu, drżącą ze wzruszenia ręką, osunął się bezsilny na fotel i oparł na ręku rozpalone czoło. Bański stał pochmurny, i ze zdziwieniem spoglądał na to zbiorowisko osowiałych ludzi, a pani Bielska zaszyła się w najciemniejszy kąt małego salonu i płakała spazmatycznie, słysząc natchnione głosy ludzi, którzy, jak się domyśliła, należeli do sekty budowniczych Polski . . . .

. . . .

Dla władzy gimnazjalnej posłano po doróżkę.

Oficerowie zbroili się groźnie i zabierali do wyjścia.

XII.

W trzeciej alei tłumnie — publiczność oczekuje na eksportację do kościoła św. Zygmunta śmiertelnych szczątków Ossowskiego.

Miejscowa śmietanka, dbała jak zawsze o swe przywileje, zajmuje najlepsze ze względów optycznych miejsca, urządziła wystawę strojów jesiennych i bawi się wyśmienicie. Mniej uposażona inteligiencja uznaje bez szemrania to pierwszeństwo, z szacunkiem i lękiem usuwa się na bok z suchszych miejsc, a szare tłumy zaległy rozmiękłą część alei i ulicę.

Ludzi pociągało widowisko, tłumy rosły.

Dla wygody wytwornej publiczności cofnięto nawet karawan, by nie przeszkadzał obserwować wchodzących i wychodzących; krytykowano stroje, udzielano sobie różnych wiadomości.

Niecierpliwie oczekiwane duchowieństwo nie zja-

wiało się, a widowisko zaczynało nużyć swą jednostajnością.

Policja i żandarmerja, zaalarmowane nocnym pochodem ze śpiewami rewolucyjnemi, były w pełnym rynsztunku na swych stanowiskach, w magazynie solnym stały w pogotowiu rota strzelców i pół szwadronu dragonów, a przed magistrat zatoczono sześć dział.

W pamięci starszych siepaczy ożyły wspomnienia z dawnych, dobrych lat, marzono o nowym łupie, bo z Warszawy, dokąd poleciał w nocy jeszcze telegram o gotującym się buncie młodzieży szkolnej w połączeniu z robotnikami, kierowanym jakoby przez ligę patrjotyczną, odebrano rozkaz z zaleceniem największej czujności i bezwzględnego stłumienia rozruchów w samym zarodku, przy pomocy siły zbrojnej.

— Zobaczycie, da Bóg, znów będziemy mieli robotę, zwrócił się, zacierając czerwone ręce wachmistrz żandarmski, z nabrzmiałym od wódki nosem, do starszego strażnika Anisimowa.

— A cóż, ja nie od tego, daj Boże! odrzekł śpiewającym głosem otyły stróż porządku, dawno już u nas nie skrzypiały szubienice, kruki zmarniały w całym kraju, bo brak im ścierwa ludzkiego.

Pilnie śledzono ruchy starszych uczniów, którzy zbierali się coraz tłumniej, a przytym nie spuszczano z oka i najmłodszych, bo obawiano się, że mogą spełnić jaki czyn karygodny z polecenia starszych kolegów.

Dozorcy gimnazjalni i konwiktowi zapracowywali się, myszkowali wszędzie, podsłuchując, zabraniali zbierać się młodzieży w jednym miejscu.

— »Gaspodá nie sabiraćsia skopom«, krzyczał zajadłym głosem Flegontow, ujrzawszy Macieszę w towarzystwie kilku kolegów.

Chłopcy spojrzeli groźnie, z nienawiścią, lecz rozeszli się.

— »Osłusznikow prikazaáno arestawáć«, dodał dla nadania sobie powagi, czując na sobie wzrok, pełen piekącej nienawiści i wzgardy.

Krew w żyłach ziębił ten wzrok młodzieży, ciskany

z siłą piorunową na dozorców, na nauczycieli Rosjan, którzy w tym dniu solennym niczym się nie różnili od tamtych, i na przedstawicieli władzy szkolnej, przejętych do głębi doniosłością katowskiego rzemiosła.

— Bodaj was wszystkie siarczyste, jęczał z wściekłości i żalu Plichta.

Ściskał pięście i przeszywał wzrokiem najwyższej wzgardy dyrektora, który dysputował, żywo giestykulując z oficerem żandarmerji.

— Wy, szpicle, podli ciemiężcy! krzyczał w duszy Wasiutyński i z bólu wewnętrznego zagryzał wargi, że aż krew wytrysła i spływała wązką strugą na podbródek.

Stał się nieczułym na cierpienie fizyczne.

— Trzymaj mię, Bolek, za połę, ale mocno, bo dalibóg nie wytrzymam, rzucę się na tych podłych gnębicieli.

Maciesza blady, z wzrokiem rozgorączkowanym, rozpierał tłum, powstrzymywany przez Godlewskiego.

— Nie warjuj, słyszysz, możemy prowadzić tylko walkę podjazdową, a ty zaraz wszystko stawiasz na kartę.

Bezstronny sędzia, choćby i Rosjanin, gdyby mu dano moc zajrzeć w głąb duszy młodzieży, nad którą przez tyle lat znęcała się cała zgraja niecnych siepaczy, prawdziwych wyrzutków własnego społeczeństwa, barbarzyńców, mianujących siebie pedagogami, wzdrygnąłby się ze zgrozy i oburzenia, i zamyślił długo i boleśnie nad dolą i przyszłością własnego narodu.

— Co za posiew straszny, gadzinowy, co za obmierzła czynność katowska, która jednak znajduje śród narodu rosyjskiego zwolenników, gorliwych wykonawców najpotworniejszych zbrodni.

Czy potrzebną jest dla zdrowego rozwoju rosyjskiego społeczeństwa ta najwyższa uczelnia bezeceństw, przemocy i bezprawia, którą urządzano na całym obszarze Królestwa Polskiego.

Działacze rusyfikatorzy, zaprawiwszy się do rzemiosła katowskiego, zasmakowawszy w zbrodni, a najwię-

ksza zbrodnia — to gnębienie ludzi, wydzieranie im z duszy najświętszych uczuć, kiedyś, jak wilcy i szakale rzucą się na swój własny naród, gdy nastanie odpowiedni czas.

Trzewie tych potworów, rozparte żerem potwornych przywilejów, będą szukały nowych ofiar, nowego łupu, a mózgi, wyjałowione w szkole nieprawości i wielkiego bezprawia, potworzą idealne formuły zbrodniczego wyzysku i rozpocznie się wielka bachanalja, jak długa i szeroka »matuszka Rasieja«.

Z dzieci tych działaczy powstała już cała zgraja zdemoralizowana, niezdolna do pracy, która tylko czyha na krwawe łupy, wyzysk i zdradę.

Smietanka odczuwała nudy, bo widowisko niczym się jakoś nie urozmaicało.

Cóż to za wstrętna rzecz, np. taki pogrzeb, narzekała Stolarska, nie pamiętam tak nudnej ceremonji ostatniej posługi.

— Rzeczywiście, Ossowski za życia był dosyć zabawnym, lecz po śmierci zupełnie skapcaniał, dowcipkował przyszły aktor.

— To dobre! cóż robić. Gdyby mógł zatańczyć od pieca lub opowiedzieć kilka zabawnych dykteryjek, nie chowalibyśmy biedaka.

— Róbcie, co chcecie, niech wreszcie Ossowski zatańczy od pieca, bo ja nie chcę nudzić się, zrzędziła Stolarska.

— Boże mój — wyczerpałem wszystkie środki, zużytkowałem cały repertuar najzabawniejszych rzeczy, które miałem do dyspozycji. Jeśli tak dłużej potrwa, będę musiał uznać, że sytuacja rzeczywiście staje się złowróżbną, deklamował Rylski, upajając się dźwiękami swego krasomóstwa i zrobił pomimo woli spostrzeżenie, że Stolarska zanadto rozstawia nogi, a pani Bielska ma zaplombowane dwa zęby.

— Szepnij pan nieboszczykowi, żeby zrobił nam niespodziankę i zmartwychwstał, to dopiero będzie spektakl, radził Elsner, widząc niekłamaną rozpacz Rylskiego.

— Daj pan spokój, i po śmierci nic zabawnego nie wymyśli.

— Proszę! po śmierci człowiek przez uduchowienie staje się doskonalszym, nabywa zalet, których nie posiadał za życia. Spróbować przecie nie zawadzi.

Stolarzowej podobał się niesmaczny koncept, kułakiem zakrywała usta, pokryte różem, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Dajcie państwo spokój, karciła Bielska, z odcieniem smutku w głosie — niesfornym zachowaniem się zwracamy na siebie uwagę publiczności. Czyż godzi się wobec majestatu śmierci pozwalać sobie na tak niewczesne żarty.

— Proszę pani, cóż to za majestat, zgnilizna, gryzienie piachu, robactwo, które wypełnia usta, nos. Brrr!

— Jaki pan cynik.

— A pani wczoraj odrodziła się przez łzy. Myślałem, że pani się rozpłynie na podobieństwo jakiejś bogini starożytności, a pani powstała z piany łez, w odmiennej, natchnionej postaci.

— Nudzi pan mnie nie na żarty, nie lubię ludzi płaskich.

— Trudna rada, nam nie tak łatwo zaokrąglić się; wreszcie podaję dłoń do zgody, a dla przebłagania wskazuję mistyczną postać natchnionego budowniczego.

Łowicki z Kołodziejskim weszli do bramy.

— Ci nie boją się trupa.

Po długim oczekiwaniu duchowieństwo zajechało dwoma parokonnemi doróżkami.

Ceremońja eksportacji poszła teraz w przyśpieszonym tempie.

W bramie zarysowała się czarna trumna ze złoceniami i z groźną powagą wypłynęła na ulicę.

Bielska płakała, Stolarzowa ukwefiła się w sztuczną powagę, a panowie wydłużyli miny.

Trumna z wysokiego karawanu karcąco przemawiała do tłumu o znikomości rzeczy doczesnych.

— »Sic transit gloria mundi«, wyszeptał zbielałemi

wargami zwolennik powszechnego języka, a Łempicki smutnym kiwaniem głowy potakiwał mu.

Dyrektor i pomocnicy jego w mundurowych czapkach na głowie, zwoływali młodszych uczniów.

— »Bieritie wienki, skoriej!«

Chłopcy usuwali się z bojaźnią i niechęcią.

— »Pastojcie, pastojcie, budiet wam«! rozlegały się groźby.

— »Po kłasam, po czetyrie czełowieka«, szczekał pijanym ochrypłym głosem Rubarko.

Gdy nastała stanowcza chwila i zaczęto wynosić wianki, chłopcy, których przeznaczono do niesienia ich, przedstawiali straszny obraz przygnębienia.

— Słuchajcie chłopcy, niech się nikt z was nie waży nieść, to hańba i wstyd, wy Polacy.

Kilku malców trzymało już wianki i sami nie wiewiedzieli, co mają począć.

— Panie, nam kazał Flegont, tłumaczyli się pisklliwym głosem, ujrzawszy groźną minę Macieszy.

— Rzućcie to zaraz, rzućcie w błoto, syczał Maciesza, ściskając ze złości zęby.

Krzyż wysunął się naprzód, księża zaintonowali pieśń żałobną.

Wianki pośpiesznie układano na trumnie, a Plichta z Maciesza przykryli je polskiemi i karawan ruszył.

Młodzież szła w ordynku czwórkami kwaśna, nachmurzona w przeczuciu nowego prześladowania, śledztwa i kar.

Słońce skryło się za chmury, powiał wiatr i niemiłosiernie szarpał i targał chorągwie żałobne.

Gdy kondukt zbliżył się do kaplicy gimnazjalnej, zapłakała rzewnie sygnaturka, wyliczając smutnym drżącym głosem ciężkie krzywdy, które pomału zniepra-wiały duszę nieboszczyka, żaliła się długą skargą starganych nadziei Wosińskiego, i kwiliła żałośnie, jak Łoziński, którego wyrzuty zatruły ostatnie chwile niewolnika i niezmiernym żalem wykrzywiły usta zastygłe na wieki.

XIII.

Łowicki starał się odpędzić zmorę smutku, który wyciągał ku niemu grożnie swe czarne ramiona, zaopatrzone w mnóstwo ruchomych ssawek i jurnie szukał żeru w duszy.

Daremnie.

Oto wszystko ból mi sprawia serdeczny i duszę szarpie... i te gmachy narodowe, zamienione na koszary butnych żołdaków, co ciału grożąc ścianą najeżonych bagnetów, duszę poniewierają smutkiem bezsilnym; a czasem, gdy słońce zgaśnie i łany pokryją się mgłą, całe jestestwo napawa się jadem, brakiem wiary w przyszłość jaśniejszą — błękitnych niebios, nie przytłoczonych ciężarem chmur; i te postacie obmierzłe rozwiązłej czeredy rządców wielkich i małych, chciwych łupu i wykwintnego jadła, a bluzgających jadem na wszystko, co nasze, co oblane krwią ofiary i miłości; i te wystraszone twarze rodaków, co straciły już przyniesiony na świat wyraz grozy i zgrozy, a nawet przerażenia, przyoblekają się w szatę pobłażliwej grzeczności, gdy usta przybierają wyraz służalczej obłudy i każą oblicze czarną plamą żałoby, bezwstydu, poniżenia... zaprzaństwa; i męczeństwo dzieci naszych i młodzieńców, od których życie wymaga doświadczenia mężów dojrzałych, a radnych, a los wystawia na próbę szlachetności... i smutkiem okala dusze, przeznaczone na przybytek uczuć jasnych i siłę; i to rozsiewanie rozpusty wschodniej i hańbienie dziewcząt naszych, które miały być matkami przyszłych pokoleń, a oto stały się raną cuchnącą na ciele narodu.

Moloch niewoli żąda ofiary z tego, co jest najdroższem, pożera cześć i krew, trawi nieczystym płomieniem najżywotniejsze siły duszy i ciała.

— Biedne dzieci, biedna młodzież — drgało w powietrzu echem, pełnym niewyraźnych zgrzytów goryczy, zapamiętałej złości, oburzenia i subtelnych szmerów wzgardy.

— Tokarz i Pasierbiński odważyli się robić na mej lekcji uwagi i do tego jeszcze po polsku!

— Ha, łajdaku, szpiclu, psubracie, syczało gdzieś nad piecem, za taki utwór literacki, ty, Polak, powinieneś dyndać na latarni, boś wart stryczka.

Łowicki zerwał się i nerwowym krokiem, rzutami ciskał siebie z kąta w kąt.

— Takiemu koledze podajemy rękę, a niektórzy zaskarbiają nawet jego łaskę, bo przez to zaprzaństwo dzierży on w swej dłoni ułamek prawowiernej wszechmocy rządowej.

W pokoju rozległ się śmiech, pełen sarkazmu.

— Cóż znowu! uchodzi w mieście za porządnego i trzeźwego człowieka; nie popełnił nawet tak wielkiej zbrodni, cedziła pewnym siebie głosem postać pękata w wygodnych miękich mesztach i śpiczastym włóczkowym kołpaku na głowie, z którego cyplu zwieszał się błyszczący order na długiej kolorowej wstążce.

Dręczony zrobił ręką energiczny giest i postąpił ku pękatemu jegomości.

— Jesteś podły, nikczemny, bodajbyś sczezł!

— Cha, cha, cha, śmiała się bezczelnie zmora, pokazując swe pożółkłe, nadpsute smakołykami zęby. Pokażę ci potomków męczenników, którzy jednak, nota bene, nie chcą przelewać swej szlachetnej krwi dla zachcianki łyków radykalizmu.

— Odejdź, nie rozumiem znaczenia twego dowcipu!

Jegomość udekorowany orderem, przybrał wyzywającą postawę...

Dzwony na Jasnej Górze ozwały się głosem pogrzebowym, dźwięki łamaną falą zawisały w powietrzu, wznosiły się wyżej i biły serdecznym łkaniem o stropy niebios.

— Na dzwony was stać, na nic więcej; jesteście perditi, straceńce, z awanturniczego żywota podobni do braci Lisowczyków.

— Stać nas jeszcze na długie życie krwi i ofiary! sczeźnij, kreaturo podła, zgiń, przepadnij w wiecznych

ciemnościach razem ze swą szatańską złością, marnemi wyroczniami, które ducha w nas nie zabiją.

Głosy dzwonów potężniej zakołysały się w powietrzu i z rozmachem śpiewały światu jakąś wielką skargę. Szeregiem szła garść młodzieży o bladych, dziwnie natchnionych obliczach, wysoko chwiał się sztandar ze znanym godłem, a gdzieś daleko na żytnim łanie, w lesie, na rozłogach, i nade drogą płakały, unosiły się z otuchą i wiarą dźwięki pieśni.

— Widzisz ty to, kreaturo nikczemna.

— Cha, cha, cha, wielka mi rzecz.

— Nad wałami Jasnej Góry objawia się, podły niedowiarku, król-zakonnik otoczony rycerstwem i błogosławi pracy tej młodzieży naszej, a wojownicy pozdrawiają ich, jak braci. Widzę — wszyscy łączą się razem, formują hufiec. Śród rycerzy i młodych bojowników bieleją kmiece sukmany... coraz ich więcej, krępacze w śpiżowej dłoni pracowników podnoszą się do góry. Niebo zasłane ciężkiemi chmurami, lecz słońce lada chwilę gotowe wejrzeć i oświetlić łany, powracając ziemi życiodawczą siłę.

— Śmieszne widzenie, przytym kłamstwo wierutne! Pękaty jegomość wskoczył na krzesło i przywarł łeb do okna, by obejrzeć wały Jasnogórskie.

— Precz, kreaturo ohydna, bo swym orderem stłuczesz mi szybę, i żona mi się przeziębi lub dziecko, a ja nie mam pieniędzy, by kazać nową wstawić.

— Widzisz, nie masz pieniędzy, a takiś hardy, pyszałku. Któż cię z rodaków poratuje! Ty jeszcze nie znasz polskiej duszy.

— Wynoś się do licha, to nie twoja rzecz, morały mi prawić... A że teraz pola, jak nićmi pajęczemi na jesieni, zasnute smutkiem i pozbawione mocy kiełkowania; że wzrok nie zdoła przebić tych chmur czarnych, ciężkich jak ołów, by się pokrzepić blaskiem ciepła świetlanego; że dusza narodu wstąpiła jakby do otchłani, sklepionej w mrokach własnego jestestwa, gdzie rozlegają się jęki i narzekania, a rzadko słowo pociechy; że oblicze narodu, jak całunem przyoblekło się goryczą,

że ucho posłuch daje podszeptom zwątpienia... to tylko dopust Boży, który minie, jak mija noc, niedola, wobec wyzwolenia z więzów cielesnych.

Pękaty jegomość złośliwie naśladując ruchy Łowickiego, przerzucał swą potworną postać z jednego kąta w drugi, miotał się z oburzenia i wściekłości.

— Tyle wiary, tyle sił tracić daremnie na manowcach w pogoni za chimerą. Człowieku, opamiętaj się, bo zgubisz siebie, żonę i dziecko!

— A precz mi z oczu, judaszu! precz, bo wezmę się do kija, krzyknął Łowicki nieludzkim głosem.

Do pokoju wbiegła Stasia.

— Ja się boję, bardzo się boję!

Łowicki oprzytomniał się i z ojcowską czułością przygarnął płaczące dziecko.

Słońce, chyląc się ku zachodowi, zdołało po całodziennej pracy rozproszyć powłokę chmur i wyjrzało uroczyście, by życzliwym uśmiechem pozdrowić świat i znów zjednać sobie zasępionych przyjaciół.

Troska o los dzieci, co się gotowały na nocną wyprawę, nie opuszczała Łowickiego.

Malców zmuszą do uległości groźną postawą oprawców, starsi będą szukali zbawczych wybiegów, gdy poczują w duszy lęk przed wrogiem. Jedni sponiewierają duszę przez prawdę, gdy zaczną zeznawać przed wrogiem, co słyszeli lub widzieli, a inni będą płaszczyć się i oszukiwać, jak prawdziwi niewolnicy.

A najlepsi, krew ze krwi, kość z kości — zginą. Bo wróg, widząc ich szlachetną postawę, czując, że serca mężnego nie ima się strach, zgnębi ich w kazamatach, zdławi w kajdanach; pogrąży w ciemnościach źrenicę, która nie bała się światła i słońca, wyrwie serce, co nie zabiło drżeniem lęku i bojaźni.

— Co tato mówi?

— Mówię, dziecko, rzeczy smutne.

— Smutne!

— Najsmutniejsza rzecz na świecie — niewola, a my niewolnicy.

— Niewolnicy!

Stasia, słysząc drżący głos ojca, powtórzyła ostatni wyraz i zapłakała.

— Dzisiaj w mroku nocy dzieci nasze będą rozkuwały kajdany, bośmy stracili siłę, i nie zdołamy już walczyć z otwartą przyłbicą.

Stasia zakryła twarz drobnemi rękoma i oparła je na ramieniu ojca — z dziecinnych jej piersi wydobywał się świadomy siebie płacz bólem doświadczonego człowieka.

Łowicka cicho, jak cień weszła do pokoju.

— Ludzie pod wpływem ciągłego strachu i niepewności o jutro szaleli i dziczeli. A czy teraz jest inaczej?

Ojciec lękał się własnego syna, syn ojca, brat brata, bo system najpodlejszych donosów i szpiegostwa szedł w parze z brutalnym, nie liczącym się z niczym okrucieństwem, wieńcząc swój łeb ohydny nizkim zjednywaniem wroga, za jakąbądź cenę.

A czy teraz jesteśmy mniej pokalani, czy rany zabliźniły się już, czy nie bardziej się jątrzą, wydzielając cuchnącą ropę. Jeśli się zasklepią, więc tylko niezdrową powłoką dzikiego mięsa.

Pełna energji i smutku twarz pułkownika Chmielińskiego z ponurem współczuciem spoglądała na pasowanie się niewolnika.

Łowicki przykuł wzrok do twarzy nieszczęśliwego wodza.

— Przed tobą kruszyły się dzidy kozackie, a pociski żołdaków padały bezwładnie, jak płaty śniegu, lecz wreszcie ległeś bezsilny w drodze ku ostatniemu schronisku przed zajadłością tyrana i jego siepaczy — w lasach iłżeckich. Szesnaście pocisków przeszyło to serce szlachetne na polu walki — na samotnym, rozmiękłym rżysku.

Wzrok wodza spoważniał.

— Ty mię rozumiesz, bo przed tobą nieraz spowiadałem swą duszę!

Łowicka westchnęła głęboko i pochyliła głowę w niemocy.

— Bratem ci chcę być i wytrwam, a, że nie mogę być mścicielem, serce się krwawi.

Słońce ogniem blasków zalało park Jasnogórki i zawiesiło na ścianach świetlane plamy, wieńcząc na obrazie krwawą aureolą głowę męczennika.

XIV.

Krzyż na kościele św. Zygmunta odznaczał się niewyraźnie, zimnym odcieniem, gdy dolne kształty tonęły w mroku śród urywanych szmerów odwiecznych drzew.

Na rynku cisza... tylko od strony dzielnicy fabrycznej rozlegają się samotne odgłosy pracy i zlewają z gwarem nocy, niknąc chwilami w kaskadzie ostrych zgrzytów grzechotki stróża nocnego.

Miasto śpi — przypadkowe głosy ludzkie lub śmiechy, rażące śród ciszy, wyrywają się z piersi śpiącego, jak niespokojne, senne majaczenie.

Gdzieś na błoniach za Wartą zapiał pierwszy kur.

Kilka cieni przesunęło się przez bramę na cmentarz kościelny... tłumione, krótkie oddechy i szepty świadczyły, że się gotuje coś tajemniczego pod osłoną nocy.

Cienie przy murowanym ogrodzeniu chyłkiem pojedyńczo przesuwały się ku bocznym drzwiom, wiodącym do zakrystji.

Przy murze czerniła się jak nieruchoma statua wysoka postać.

— To my!

— Złóżcie przysięgę, że nie wydacie mię, gdy wezmą was na spytki.

— My bojownicy świętej sprawy, a nie zdrajcy.

Wzrok młodzieńców skierowany na niedowiarka przebijał ciemności.

— Wybaczcie, mam żonę i troje dzieci, a brat mój za jedno podejrzenie już dwa lata gnije w cytadeli, szeptał smutny głos.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały sennym zgrzytem, a ostre,

metaliczne echo buchnęło ku zakrystji, uderzyło w nizkie sklepienie, rozniosło się długą falą po świątyni, załomotało na chórze czarnemi skrzydłami, i z kornym westchnieniem pochyliło czoło u stopni wielkiego ołtarza.

Cała wyprawa była już w kościele.

— Sz—sz—sz!

Płomyk w lampie, płonącej przy Najświętszym Sakramencie, zachwiał się i strzelił ku górze, rzucając snop światła na zimne wieko trumny. Ścieląc się na dnie, uwydatniał różowy kolor szkła, ciskał gorące smugi na błyszczące przedmioty i pokrył rumieńcem współczucia i litości marmurowe oblicze Chrystusa.

Ku stropom biegły przyciszone kroki promieniami tajemniczych, pełnych grozy, zamierających dźwięków; ręce w trwodze znieruchomiały w powietrzu, podnosząc się z drżeniem ku górze, gdy głośniejsze nieostrożne stąpnięcie rozdarło ciszę świątyni. Głuchy odgłos kłębił się, jak wicher w polu, tarzając się po kamiennej posadzce, zamaszyście spadał ze ścian i sufitu, zatrzymywał się coraz głośniej i dłużej w załomach, aż się rozległ głuchym rzutem w najdalszym pustym kącie pod chórem.

Wszyscy uklękli i przeżegnali się, kierując wzrok ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie się znów czerniła nieruchoma postać Ukrzyżowanego.

Maciesza wszedł na stopnie katafalku i zdjął pierwszy wianek.

Każdy z bojowników zajął swój posterunek, u wielu ze wzruszenia drżały usta i ręce, lecz wszyscy zdołali prędko się opanować, natchnieni wielką ideją, której służyli.

Mechaniczna czynność zdzierania i naklejania liter, przekształciła się w umyśle młodzieży, przybrała idealną postać walki.

Nie zeznawali już, co czynią, przed sobą mieli wielkie zadanie kruszenia kajdan, które oplotły wężowemi sploty ich dłonie, krępowały ruch nóg, ciężarem swym przytłaczały cały naród.

Wszyscy odczuwali w głębi duszy, że ta walka jednoczy ich z krwawą pracą męczenników, co o głodzie, i chłodzie, bez obuwia, w łachmanach, bez broni prawie rzucali się, niesieni siłą ducha — na bagnety i działa... przelewali krew ochoczo, nie czując bólu, konali z wzrokiem wlepionym w dal, gdzie przyświecał wielki ideał wolności.

Trumna, przyjmując pierwszy przeobrażony wianek, wydała ciche westchnienie, które echem zawisło w powietrzu.

— Lżej mu!

— Duszę tę znieprawili, — natchnijmy ją wiarą, że wolności nie zgnębi przemoc.

Gdzieś przy kościele żałośnie zakwilił puszczyk, a potym donośnym głosem zapiał drugi kur.

Świątynia, której mury w ciągu wieków były świadkiem wielkich wzlotów myśli, natchnienia, postanowień szlachetnych i ofiary czystej, ożyła wiewem nieziemskich czystych tchnień, a ból i skarga opuściły łono głazów i niosąc siebie w ofierze Najwyższemu, wielkim głosem uderzyły o wyniosłe sklepienie.

Na posadzkę upadło kilka łez zwątpienia, które nie zdołały utorować sobie drogi ku szlakom gwiaździstym — jedna upadła na metalowe wieko trumny i zapłakała głośno.

Kościelny dygotał na całym ciele i z przerażenia garnął się ku zimnym murom.

Śledził ruchy młodzieży i czuł, że serc ich nie ima się strach.

— Za Polskę! za Polskę! — powtarzał drżącemi ze wzruszenia ustami.

Hasło to ogłosiło zimne, wilgotne echo i gorącym uczuciem stokrotnie odezwało się w sercu ofiarników.

XV.

Rubarko pierwszy dowiedział się o cudownym przeobrażeniu wianków.

Zdając raport o tak doniosłym zdarzeniu, był zmieszany i plątał się.

— Mów wyraźniej, bo doprawdy nic nie rozumiem, krzyczał dyrektor, przeczuwając, że stało się coś bardzo niedobrego.

— Nie z mojej winy, Aleksandrze Sawiczu, honor ruskiego człowieka buntownicy uczniowie zdeptali nogami.

— Wyraźniej, bo doprowadzisz mię do wściekłości!

— A ot, na trumnie »Władisława Adámowicza« niema ani jednego wianka rosyjskiego.

— Jakto niema ani jednego wianka!

— A bo niema, Aleksandrze Sawiczu, i basta!

— Gdzież się podziały, co to za brednie, »ty sumá sasziołl«

— Niema ani jedniusieńkiego, Bogiem się klnę; jest dużo wianków, lecz same polskie.

Dyrektor uderzył siebie w czoło.

— Ot kanalje, do czego to już doszło, dam że ja im!

Dyrektor, czując plamę na swej nieskazitelnej służbie, podbiegł ku nieszczęśliwemu Rubarce i robił mu najboleśniejsze wyrzuty, podsuwając kułaki pod nos.

— Co teraz powie kurator, i mnie i ciebie wypędzą ze służby, nie przeżyję takiej hańby.

Inspektor, dowiedziawszy się o wszystkim, osłupiał, zgrzytał zębami ze złości, w końcu nie chciał dać wiary w możliwość tak ohydnej zbrodni.

— Poruszyć wszystkie sprężyny, aby wyśledzić winnych, bij, zabij, bo ja muszę mieć ich w ręku, zwrócił się do czarnego kruka złej wieści.

Rubarko mignął ku korytarzom, jak wyżeł ku kniei — cały plan śledztwa pierwiastkowego miał ułożony.

W klasach i na korytarzach panował hałas, bo młodzież miała iść do kościoła parami i zebrała się, jak zwykle dla kontroli.

— Rubara — psia wiara! rozległy się na korytarzu pełne nienawiści okrzyki.

— Dam ja wam, dam — mruczał w bezsilnej wściekłości.

Po skończeniu hałaśliwej kontroli chłopcy wysypali się na główny korytarz.

Inspektor w pełnym uniformie, udekorowany orderami za liczne zasługi, lustrował szeregi jednego z karnych bataljonów gimnazjalnych.

— Dzisiaj nad ranem jacyś złoczyńcy znieważyli świątynię, sprawa musi was żywo obchodzić, bo znieważona świątynia należy do waszego wyznania, zwrócił się do uczniów wyższych klas.

Jak pociskami raził szeregi nienawistnym wzrokiem, błyskawicznie przerzucał go z twarzy na twarz, w śmiałków wpijał się ostrzem swej władzy nieograniczonej i wysysał krew serdeczną, by w czasie oszołomienia zmusić do podłości; pokornym nie dowierzał, zapuszczał żądło do głębi duszy. ziębił i przerażał, napawał się bladością lub wywoływał drżenie i tajemnicze rumieńce.

Wszystkie spostrzeżenia notował pilnie.

Czynność tę z małemi zmianami powtarzał przed każdą klasą.

— Ja nic nie wiem i jestem zupełnie niewinny, rozległo się pośród uczniów klasy drugiej.

— A skąd wiesz, że mam na ciebie podejrzenie?

— Pan inspektor zapisał moje nazwisko, rzekł malec i wybuchnął płaczem.

— Toś ty taki ptaszek, podglądasz, co ja piszę. Pogadamy jeszcze, tymczasem posiedzisz po kościele w kozie.

— Ja nic nie wiem, co było w kościele, zanosił się chłopiec.

Dla steroryzowania młodzieży inspektor krzyczał bez ustanku, wyznaczał wielką ilość surowych kar za różne drobiazgi, źle przyszyte guziki, zmięte czapki, brak żołnierskiego krawatu, który był u młodzieży w szczerej nienawiści i znikł w kancelarji, majestatycznie poruszając głową, osadzoną na grubym karku

Pochód ociężale ruszył ku kościołowi, gdzie oprócz publiczności zastano już dyrektora, policję i żandarmów.

Wiadomość o zniknięciu wianków lotem błyskawicy rozeszła się po mieście i okolicy, kościół nie mógł zmieścić ciekawych, tłoczono się na cmentarzu i ulicy. Władze policyjne naradzały się z dyrektorem, inspektor zawzięcie konferował z żandarmem; w kościele rozlegał się groźny pomruk kolonji rosyjskiej, która boleśnie odczuwała despekt i urazę swych uczuć narodowych.

— Śliczne skutki ceremonjalnej polityki, niema co!

— Stan oblężenia, sto szubienic... ot odpowiedź na taki bunt, krzyczał komisarz i groził kułakiem w stronę ołtarza.

— Ależ kogo pan będziesz wieszał, oponował liberalny dyrektor banku, znajdź pan winnych, a władze potrafią ukarać.

— Przy takich ceremonjach trudno znaleźć winnego, to sprawa uczniowska, daj mi pan prawo wziąć na tortury najbutniejszych, a zaraz się dowiem.

— Ależ, panie Iwanie Iwanowiczu, jesteśmy u schyłku XIX wieku!

— Co mię może obchodzić XIX wiek, tu sprawa jasna, trzeba znaleźć buntowników, wykryć »kramołę«, a pan oddaje się deklamacji, narzekał zapalczywym głosem komisarz i z lekceważeniem machnął ręką.

— Według mego zdania należy najprzód ratować honor i cześć wielkiego narodu, tłumaczył inspektor; wianki zawieziemy do gimnazjum i zmienimy napisy, a z pogrzebem niech zaczekają, nie wielka rzecz.

— Bez pozwolenia proboszcza tego zrobić nie można, a on odprawia teraz nabożeństwo żałobne.

— Też polityka, pytać o pozwolenie »miatièżnawo ksiendzá«.

— Inaczej nie można, obstawał przy swojem naczelnik powiatu.

Po żałobnej mszy księża zbliżyli się do katafalku dla dokończenia ceremonji, lecz i to nie przerwało głośnych sporów.

Gdy zaintonowano »Salve Regina«, śniady, ruchliwy komisarz nerwowo kiwał głową, zaprzeczając wywodom naczelnika żandarmów, a potym z całą wściekłością ob-

ruszył się na Mochnackiego, który zwrócił mu uwagę, że w kościele, w czasie nabożeństwa należy zachowywać się przyzwoicie.

— »Wot jeszczò, szto za dzierzość!« krzyczał zaperzony.

Publiczność z niechęcią zwracała się w stronę dysputujących.

W kościele powstała dziwnie ciężka atmosfera, kapłan sprawujący obrząd pogrzebu, chudy, schorowany staruszek, przerwał na chwilę śpiew; z wyrzutem łzawym wzrokiem starca błagał o ciszę.

Po pogrzebie odprowadzono uczniów do gimnazjum, gdzie rozpoczęło się śledztwo.

Dyrektor i inspektor, przy współudziale nauczycieli Rosjan, utworzyli dwie komisje i wszelkiemi sposobami starali się wymuszać zeznania. Jednym grożono, drugich pobudzano do uległości obietnicami ulg i protekcji.

— Mochnacki wiedział o wszystkim, są tu zeznania trzech kolegów, zaprzeczać niema sensu.

Badany milczał.

— Czekamy na odpowiedź!

— Nie wiem nic.

— A więc dobrze, nie wymagamy żadnych zeznań, proszę tylko wyjaśnić, kiedy zmieniano napisy, nad ranem, czy w nocy?

— Nie wiem.

— Mochnacki wie, że ojcu jego zabroniono utrzymywać stancję uczniowską, otóż Mochnacki może dopómóc choremu ojcu, bo jeśli zezna szczerze, prawo utrzymywania stancji będzie przywrócone. Daję na to dyrektorskie słowo honoru.

— Ja nic nie wiem, wykrztusił z wysiłkiem badany wysoki, szczupły czwartoklasista.

— Mochnacki nie chce dopomóc ojcu, za taką czarną niewdzięczność może cię spotkać kara Boża.

— Pomagam ojcu uczciwie korepetycjami, rodzice moi nie przyjęliby pomocy, kupionej hańbą syna i podłością.

— Co, co — więc wymagamy od ciebie podłości,

jak śmiesz wyrażać się w podobny sposób! »Inspiektor, wy słyszali szto on skazał?«

— Nie dziwię się, bo dobrze znam i ojca i syna.

— Jeśli mamy takich synów nauczycieli, więc cóż się dziwić innym.

— Zgnijecie z głodu, bo twemu ojcu nie wiele już brak, ledwo dycha, dodał inspektor i z pogardą wydymając usta, zmierzył wzrokiem wątłą postać.

— Pan jest podły, krzyknął katowany i wybuchnął nerwowym płaczem.

Siepacze rzucili się ku swej ofierze, grożąc pięściami. Mochnacki opuścił klasę, ocierając chustką łzy, które mu gradem spływały po twarzy.

— Cała rodzina »atjaweennyje miatieżniki«, a tu taki człowiek służy

Dyrektor zapalił papierosa i zamyślony przecierał okulary.

— Aleksandrze Sawiczu, trzeba zmienić taktykę i teren, zwróćmy uwagę na najmłodszych i to takich, którzy mają braci w wyższych klasach.

— Dobrze, proszę się rozporządzić.

Inspektor wyszedł i wrócił po chwili z uczniem kl. I-ej.

Nim zadano mu pytanie, zaczął płakać i wyjął z kieszeni brudną chustkę do nosa dla ocierania łez.

— »Ty poczemu rewiòsz, Maliniak?«

— Bo mnie straszno! wyrzekł śród płaczu.

— Czego ci straszno? zapytał dyrektor łaskawym głosem.

— Ja się boję pana dyrektora, wyjąkał malec nieśmiało i zaryczał na cały głos.

— Jak będziesz mówił prawdę, nic ci się złego nie stanie, a jak zaczniesz ukrywać, będzie źle.

Patrzał wystraszony przed siebie, gryząc koniec brudnej chustki.

— Ty z łaciny i z ruskiego masz same pałki, a chciałbyś mieć same trójki, co?

— Chciałbym mieć, bo za pałki ojciec mię bije.

— A widzisz. Mów prawdę, a zasłużysz na trójki, zgoda?

— Dobrze.

— Pamiętaj, jak nie powiesz wszystkiego, co wiesz o wiankach, wypędzę cię z gimnazjum, a ojciec ci tego płazem nie puści.

Malec zaryczał jeszcze głośniej i dla przebłagania chciał całować ręce dyrektora.

— Ty wiesz, co było dziś w kościele z wiankami?

— W kościele były tylko polskie wianki.

— A czy to dobrze?

— Nie dobrze, bo pan dyrektor kazał, żeby były ruskie.

— A znaleźli się tacy, którzy mnie, swego dyrektora, nie usłuchali! Ty znasz ich.

— Znam.

— Zuch jesteś i »czestnyj malczyk«, a któż to taki?

— Maciesza.

Dyrektor zatarł ręce i poklepał malca przyjaźnie po ramieniu.

— Z której klasy, mów wszystko, ja, dyrektor, nie pozwolę ciebie krzywdzić.

— Z wstępnej klasy.

— Skąd wiesz?

— Zaszedłem do nich przed kościołem i słyszałem, jak Maciesza mówił do Kuklińskiego, że na ruskie wianki trzeba plwać.

Badając Maliniaka zręcznie dowiedzieli się wielu cennych szczegółów; zaraz też sporządzono listę skompromitowanych.

Inspektor był przekonany, że starszy Maciesza należał do głównych wodzirejów, i natarczywie nalegał na wybadanie jego małego braciszka.

Wezwano Macieszę.

Mały, różowy chłopczyk z ruchliwą i figlarną miną wszedł śmiało do klasy.

Dyrektor kazał mu podejść bliżej ku sobie, i zmierzywszy groźnie wzrokiem, zapytał grobowym głosem.

— Ciebie kto nauczył plwać na ruskie wianki?

Dziecko milczało, mrugając powiekami.

— Mów, jeśli pan dyrektor ciebie pyta, krzyknął inspektor i uderzył malca kułakiem w plecy.

— Nikt mię nie uczył.

— Jakto nikt, uczył ciebie twój nadobny braciszek.

— Nie, Stasiek mię nie uczył.

— Jak śmiesz kłamać, uczył ciebie, wiemy o tym.

— Nie uczył mię, nie uczył, twierdził uparcie.

— Czekaj, za kłamstwo dostaniesz rózgami. »Pazwać Osipa«.

Maciesza poczerwieniał, lecz nie zapłakał.

— Mama nie pozwoli mię bić, odrzekł z dumą, i z pewnością siebie.

— Wielka dla mnie rzecz twoja mama, jak będziesz plwać na ruskie wianki i jeszcze kłamać, zawiozą ciebie do Warszawy i powieszą.

— Tatuś nie pozwoli mię powiesić i mama, bronił się malec rezolutnie, lecz w oczach zabłysły mu łzy.

— Mów prawdę, bo zobaczysz, będzie źle, nalegał inspektor, trzęsąc dziecko za ramię.

— Stasiek mię nie uczył i nikt nie uczył, nikt, nikt, nikt, powtarzał nerwowo.

— Ten ma twardy kark, przejdzie swego braciszka, narzekał dyrektor z goryczą. Cóż to za podły naród, takie dziecko i już zdemoralizowane do szpiku kości.

Sledztwo ciągnęło się długo, nużąco, lecz nie dostarczyło spodziewanego materjału. Na wielu uczniów wyższych klas padało podejrzenie, lecz pewnych, niezbitych danych, któreby stwierdzały winę, nie było. Szczegóły rozpraszały się, nie trzymały kupy i ginęły ostatecznie w mroku domysłów i przypuszczeń.

Wskutek niepomyślnego wyniku sesję karną odłożono na kilka dni w oczekiwaniu pomyślniejszego zwrotu. Na razie uczniów, mających opinję opornych, postanowiono wydalać za najlżejsze podejrzenie z wilczym biletem, żeby inne zakłady naukowe uchronić od ich zgubnego wpływu.

XVI.

Od Jasnej Góry na dwuwiorstowej prawie przestrzeni ciągną się środkiem ulicy cztery rzędy kasztanów, formując cieniste, urocze aleje, które napełniają słuszną dumą mieszkańców świętego grodu.

Przyroda zgodnie z kalendarzem obchodzi dziś święto; słońce świeci jasno, zalewając powodzią światła ulice i aleje, bo rzadkie, pożółkłe i skurczone liście nie dają już cieniu.

Spóźniona kompanja z kilkudziesięciu pątników w szarych sukmanach przeciąga z czarnym krzyżem na czele; smutna, monotonna pieśń o zmiłowanie Boże i łaskę kornemi głosy płynie ku Jasnej Górze; zamiera u podnóża śród drzew parku, to znów donośnie się rozlega odbita o ciężkie mury wałów i ściany świątyni.

Dźwięk pieśni wyrywał się z duszy pobożnych uroczyście, przy wtórze nieśmiałych lękliwych głosów opornych unitów, którym nieludzkie prawo zabroniło w niedoli szukać ukojenia... siły ducha, gdy ramiona zwieszały się bezładnie, a wzrok się gubił w strasznej, beznadziejnej próżni.

W alejach ożywiony ruch, jedni dążą na Jasną Górę, drudzy wracają z arystokratycznej mszy w kaplicy gimnazjalnej. Śliczne, jasne przedpołudnie ściąga na aleje coraz liczniejsze tłumy.

Elsner w otoczeniu pań przedefilował pewnym siebie krokiem i z lekceważeniem podniósł lewe ramię, bo widocznie nie był w humorze, gdy pani Stolarska w towarzystwie opryszka z brzęczącemi ostrogami, z córką u drugiego boku znikła w obłokach kurzu, drepcząc patetycznie drobnemi kroczkami.

— Bodajbyś sparszywiała, zaklął ktoś z grupy spacerujących studentów.

— Kręci kuprem i w takt głową porusza, podła hetera — dodał drugi.

Spotkali się z Maciesza, Wasiutyńskim i Godlew-

skim, którzy szli, dumnie świecąc czapkami bez oznak przynależności do karnego bataljonu gimnazjalnego.

— I cóż poczniecie teraz, biedacy — zapytano ich z współczuciem.

— Biedacy! niech sobie kolega nie pozwala. Damy sobie radę i bez tych podłych świadectw, który każdy z nas okupuje poniżeniem swej godności ludzkiej. Teraz dawajcie jak najwięcej bibuły, bo mamy multum czasu, oświecimy cały powiat, nam już zabrakło.

— Polska ludowa, jednolita, silna — cóż to za wspaniała idea i jedynie zacna, deklamował z uczuciem Maciesza.

Co nam obca przemoc wzięła, siłą Maćków odbierzemy, zanucił Wasiutyński.

— Ostrożnie tylko, bo mają was na oku.

— Pal sześć, raz kozie śmierć.

Okręcił się kilka razy, łapiąc powietrze w takt skocznego oberka.

Pomaszerowali zwartym szeregiem ku Jasnej Górze, dokąd, gdy byli uczniami gimnazjum, musieli przekradać się chyłkiem, bo władze szkolne, w obawie przed polską propagandą, karały najsurowiej za każdą bytność w murach klasztoru.

Zwolennik powszechnego języka z idealnym wyrazem oblicza, siedząc w alejach całemi godzinami, przyglądał się swym zwyczajem sprawom tego żywota i układał aforyzmy dla wzbogacenia literatury esperanto.

— Ludzkość odżyje i szczęście zaświta,
Gdy przemoc, ginąc, zębami zazgrzyta

oddał uniwersalnemi dźwiękami aforyzm w notesie oprawnym w skórę prawdziwego krokodyla.

Był zadowolony i uśmiechnięty.

Na nieszczęście spotkał badawczy wzrok malutkiego żandarma z zadartą głową, który wybrał się najniewinniej na przechadzkę z żoną pod rękę.

Przekreślił starannie udatny dwuwiersz, nie dowierzając tajemniczej zasłonie, esperanto, i szukał natchnie-

nia w falach słowiczych głosów pań, które rozsiadły się na sąsiedniej ławce.

— Kiedyż pasterskie znów życie nastanie,
Baranków pasać będą nasze panie...

Pisał z zadowoleniem i w chwili zaniku natchnienia śmiało patrzył w oczy naczelnikowi powiatu, który też zjawił się w alejach zażyć wczasu, pobrząkując ostrogami.

Zato mecenas szopenista mógł śmiało z natchnieniem rozprawiać o smyczkach roboty senatora Skowrońskiego w Rzymie, z których jeden miał szczęście posiadać na własność.

Aleje przemieniły się w prawdziwy salon, ruch się wzmagał i ożywienie, bo na scenę zjawiła się najprzedniejsza »śmietanka« po skończeniu w klasztorze tak zwanej eleganckiej mszy.

Wszędzie rozlegały się śmiechy, pełne werwy i energiczne wykrzykniki.

— Czego te bestje cieszą się, młodzież naszą katują, jak za czasów Nowosilcowa, a oni bawią się w papuzie konwersacje, syczał Sęp i z niesmaku wykrzywił swą kwadratową twarz z pogardą, potrząsając głową.

Łowicki wzruszył ramionami, nie podnosząc wzroku, który był utkwiony w ziemię i westchnął.

— Co przytym za mieszane towarzystwo, to już czelność posunięta do ostatnich granic.

Zgarbił się, ręce oparł na lasce i z oburzeniem mierzył wzrokiem przechodzących.

— Polska, to ołtarzyk przybrany poetycznie kwiatami, na którym się bieli posąg męczennicy z sercem przebitym trzema mieczami. Patrjotyzm, widzicie, zawiera się w pietyzmie dla ojczyzny umęczonej. Wszelki czyn narusza powagę i spokój tego wielkiego uczucia, bo Polska nie z tego świata.

Usta Łowickiego wykrzywiły się lekkim uśmiechem bólu i sarkazmu.

— Więc mam schlebiać moskalom, spadlać się kłamstwem; stać się istotą zupełnie bierną względem szatań-

skich zamysłów rusyfikatorskich, a będę w zupełnej zgodzie z obowiązkami dla mej narodowości, jeśli urządzę sobie taki ołtarzyk.

— Zupełnie.

Sęp stał zacietrzewiony.

— Spróbuj pan wystąpić czynnie, współrodacy potępią taki krok, nazwą śmiałka awanturnikiem.

— Więc młodzież bez żadnego oporu ma wydać siebie na pastwę demoralizacji, nie ma przeciwdziałać dążnościom niwelacyjnym tej zgrai wyfraczonych barbarzyńców.

— U nas przecie utarło się zdanie, że głową muru nie rozwalisz i pod względem oporu stawianego wrogom. Trzymaj się takiej taktyki, żeby brutalną dłonią nie zburzyć ołtarzyka i nie narazić na szwank karjery. Mniej gorliwa większość uznaje, że dla zachowania odporności wystarczą uczucia religijne, a prawica wierzy tylko w pełny brzuch.

— Ależ to niewiarogodnie smutne!

Łowicki wstał i nerwowym ruchem uderzył końcem laski w kamień, który w podskokach frunął na środek alei i trafił w nogę panią rejentową Wyszyńską, idącą w towarzystwie męża i dyrektora gimnazyum

W żarze dysputy nie zauważył bolesnego kwiknięcia poszkodowanej i wyniosłego spojrzenia jej małżonka.

— »Adín iz naszich rewolucjonnych uczicielèj«, zrobił dyrektor ruch głową w stronę amatora kamienowania bliźnich.

— Ależ panie dyrektorze, to jakiś prostak, nawet nie przeprosił, lamentowała oburzona ofiara skarżąc się panu dyrektorowi, co ją spotkało.

— To zemsta, że arystokracja miasta żywi dla nas ruskich ludzi przyjazne uczucia; w swoim czasie przypomnę o tym.

— I cóż na to poradzić? naród tyle razy tracił najlepsze jednostki, ciągnął Łowicki, zabrakło nam serc, przepełnionych ideałami wolności. Drzewo zwalone burzą, poszarpane, zdławione przemocą trąby powietrznej, leży zmurszałe i gnije.

— Kto z nas bez winy, rozprawiamy stłumionym głosem, prawie szeptem, a powinniśmy krzyczeć wielkim głosem na alarm, oszaleć, a nawoływać do walki, wskazywać niebezpieczeństwo, piętnować podłość, nie zważając na to, że padniemy ofiarą, bo niema walki bez ofiar.

Maciesza wracał z kolegami z klasztoru.

— Patrz pan, to nowe szlachetne ofiary, każdy z nich ma wilczy bilet w kieszeni. Zamknięto dla nich wszystkie drogi, a kto pomyśli o losie młodzieńców, kto ułatwi wyjazd za granicę, bo to sami biedacy.

— Zrobimy składkę.

— Pan chyba żartuje, da kilku biedaków, a potentaci nakryją się ogonem, bo wszystkie ich potrzeby moralne zaspakaja czczość duchowa i dobrobyt.

Sęp był niepocieszony.

— Plichtę wydalono już z miasta; ojciec Macieszy stracił posadę, a taki rejent nie chce mu dać papierów do przepisywania, bo się boi, żeby go nie posądzono o sprzyjanie podejrzanym osobistościom.

— Tak giną bez ustanku najlepsi, ludzie steroryzowani, boją się oddychać, żeby nie zdradzić swych przekonań i uczuć.

Nastała długa męcząca pauza.

—Mochnackiego wyrzucą literalnie na bruk, bo nie ma grosza przy duszy. A przytym, cóż tam za bezdeń goryczy, zwątpienia — stracił wiarę we wszystko i dlatego też nie czuje siły do dalszej egzystencji.

Aleją przechodziło kilku Paulinów starszej gieneracji, a potym przesunął się opasły pop z olbrzymim krzyżem na piersi.

Sęp plunął potrzykroć.

— Goryczą i niesmakiem napełnia nas widok księdza, który niegodnie spełnia swe posłannictwo, a na popów ludzie prosto plują i ciskają w nich przekleństwa, ciężkie, jak kamień, bo zaprzedani politycznym knowaniom policyjnego państwa, zdarli z siebie wszelki urok nietylko w naszych oczach, lecz i w przekonaniu swych własnych owieczek.

Łowicki rozumował na nadarzony temat, starał się oszołomić siebie.

Wogóle należy stwierdzić zjawisko, że duchowieństwo już w wysokim stopniu straciło wpływ na rozwój duchowy ludzkości i jeśli się nie odrodzi na zasadzie nowoczesnych ekonomiczno-społecznych warunków, straci go doszczętnie. Będą się tworzyły coraz liczniejsze sekty na tle etyczno-społecznym w dążności ku urzeczywistnieniu ideałów chrystjanizmu i zadadzą zupełną klęskę kościołom oficjalnym.

Dawni ludzie wskutek odmiennych warunków bytowania nie mogli z całą świadomością wniknąć w piekło narodowych i społecznych antagonizmów. Świat taksamo dźwigał na swych barkach wielkie brzemię krzywd przeróżnych, wyzysku, barbarzyńskiej niesprawiedliwości i wprost ohydnego okrucieństwa, lecz człowiek był w okresie korzenia się przed autorytetem, z lękiem, z jakąś tajemniczą bojaźnią padał na twarz przed wielkim objawem siły i we wszystkim widział palec Boży.

Teraz w pojęciach ludzi odbył się przewrot najradykalniejszy, unosimy się w olbrzymim przestworzu męczącej i błogiej zarazem świadomości, nauczyliśmy się analizować, i wszelkie autorytety znikły, jak ciężkie cuchnące opary po wyjrzeniu promiennych i ciepłych blasków słonecznych.

Człowiek zdarł purpurę z majestatu i przekonał się, że dostojnik drży, jak zwykły śmiertelnik od zimna i strachu; chciwy nowych doświadczeń, strzaskał złocistą karetę wszechpotężnego mocarza i stanął zdumiały, bo oto krew błękitna zabarwia śnieg na czerwono, jak zwykła krew żebraka, któremu pies pałacowy potargał chude lędźwie.

Lecz człowiek zawsze się ukorzy przed wielkimi czynami i będzie je opiewał, szukając w duszy natchnienia.

To też nasze czasy muszą się stać wiekiem wielkich czynów, lub wiekiem wielkiego rozlewu krwi, gdyż ludzkość walczy o wcielenie ideału wolności i przed niczym nie ustąpi.

Duchowieństwo powinno to zrozumieć i dążyć do wszechstronnego odrodzenia. Dotychczas koszlawieje w sojuszu z siłą fizyczną i unicestwia siłę ducha, która stanowi jego istotę. Trefny befsztyk ze stołu możnych tego świata wyzyskiwaczy, gwałcicieli praw przyrodzonych i zwyczajnych opryszków, owianych nimbem powodzenia, nie doda mu siły, bo moc i siła przedstawicieli Chrystusa zawiera się w walce o ideały, w potykaniu się o podniesienie ducha do górnych wzlotów sprawiedliwości, dobra i piękna. Miejsce duchowieństwa na czele ludzkości, mas pokrzywdzonych, które wypowiedziały walkę wyzyskowi pod wszelką postacią, bo tylko ten cuchnący wiew piekielnych mocy wtłacza nas w błoto i ciska w otchłań zbrodni.

Jednym słowem chrystjanizm praktyczny w obecnej formie nie może dłużej trwać, jeśli nie zdobędzie się na wielkie czyny, nie stanie na czele przeobrażającej się ludzkości, nie rozpocznie walki o nastanie Królestwa Bożego na ziemi, a nie o Królestwo ziemskie, godzące się z mordem, wyzyskiem, kazamatami i prostytucją.

Rozmowa trwała długo — męcząca, bo mówca szarpał swą duszę, a słuchacz głęboko odczuwał każdy ból i gorycz wołania.

Sęp wyczerpany, zgarbiony sadził olbrzymiemi krokami, żeby się wydobyć z zgniłej atmosfery miasta.

Opasły pop z potężnym krzyżem na piersiach nie dawał mu spokoju i szarpał za klapę surduta.

— »A szto wy znájecie politìczeskoje?«

Sęp przyśpieszył kroku.

— Jesteś unitą i winieneś posłuszeństwo naszemu kościołowi, który jest prawdziwie Chrystusowym; potrafimy złamać twój upór, patrz jakie dzielne mamy pułki jazdy.

Na drodze z Kłobucka pokazał się długi szereg jeźdźców, konie wyrzucały majestatycznie głowy w górę i opuszczały je miarowym ruchem.

— Odstąp popie, bo jak Bozię kocham, lunę cię w pysk!

Kopyta dźwięczały na szosie, kiedy niekiedy rozlegało się raźne parsknięcie.

. . . .

Łowicki siedział na ławce, rysując na piasku końcem laski dziwaczne figury.

— Bez pieniędzy nie mogę wrócić do domu, a zupełnie straciłem głowę; kredyt wyczerpany. Cóż pocznę?

Włożył rękę do kieszeni palta i poczuł w palcach wyprawną bransoletkę Tosi.

Mochnacki radzi dać w zastaw staremu Rudzkiemu; innego wyjścia niema. Tam chyba nie zginie, a bez zastawu nikt nie pożyczy, bo wiszę na włosku. Rodacy boją się takich ludzi.

Wstał, przeszedł kilka kroków i znów usiadł na ławce niezdecydowany, bezradny.

— Z bransoletką w kieszeni chodzę już kilka dni, lecz sprawa pożyczki nie posunęła się ani na jeden krok, bo wszystko wzdryga się we mnie, gdy pomyślę o poniżeniu, na które narażam się.

Odpoczywając dla nabrania otuchy na ławkach, rozstawionych w alejach, przeszedł ostatecznie przez most kolejowy i znalazł się przy cukierni Rudzkiego.

— Bez pieniędzy nie możesz wrócić, dokuczał mu natarczywie głos wewnętrzny, trzeba się raz odważyć, innej rady niema.

Zapalił papierosa, zaciągnął się kilka razy i przestąpił próg zaczarowanej cukierni.

Przechodził całe piekło.

— Wszyscy domyślają się, w jakim zamiarze przychodzę.

Miński z żoną wyszedł zamaszyście z damskiego pokoju, rzucił na bufet 25 rb. i oparty niedbale czekał na resztę.

Podał Łowickiemu protekcjonalnie rękę, a pani, zmuszając siebie wspaniałomyślnie do uprzejmego uśmiechu, zapytała o zdrowie żony i dziecka.

Łowicki przechodził niewypowiedziane męczarnie.

— Cóż ty bratku, na tyle spsiałeś, że łazisz po cu-

kierniach w zamiarze zastawienia staremu wyprawnej bransoletki? Winszuję, ale nie zazdroszczę!

Wzdrygnął się.

Miński najwidoczniej przeszywał go szyderczym wzrokiem, a żona jego ze zdziwienia i niesmaku wysoko podniosła gęste brwi.

— Tomciu, nie bądź że niedelikatnym — pan Łowicki ma przy duszy tylko dziesięć kopiejek, a ty, zamiast okazać mu współczucie, mrozisz drwiącym, wyniosłym wejrzeniem biedaka, który i tak jest bardzo zażenowany, bo paraduje w wyszarzałym palcie i ma wytarte łokcie w marynarce.

Pani ziębiła poniewieranego dumnym uśmiechem i zaglądała mu przenikliwym wzrokiem do kieszeni, przenicowała duszę, zgadywała najtajniejsze myśli.

Miński niedbale zagarnął kupę pieniędzy, poczym małżonkowie elegancko wypłynęli posuwistemi krokami z cukierni.

Dla zamaskowania swych zamiarów, Łowicki kazał podać szklankę herbaty i czekał stosownej chwili.

W cukierni roiło się od złotej młodzieży, wesołe żarty sypały się jak z rękawa; szachiści w przyległym pokoju wpadali w cielęce zapały — śpiewali na różne tony, wygwizdywali arje, tupali w takt nogami.

Gwar i śmiechy drażniły Łowickiego, na barkach czuł ciężar nie tak nad siły, ile zaopatrzony w ostre kolce, które wpijały się w ciało i sprawiały nieznośny, piekący ból.

Odkładając ciągle stanowczy krok, rozmawiał z Rudzkim o pogodzie, słuchał jego wywodów o przyczynie upadku cukiernictwa galanteryjnego i, nie mogąc się na nic zdecydować, dowiedział się, wychodząc z bólem głowy, że starsza panna Rudzka choruje z przeziębienia na serce i wyjeżdża dla kuracji za granicę, a sam pan Rudzki już od dwóch tygodni cierpi na katar.

Po długich, nużących, lecz daremnych poszukiwaniach złotego runa, wracał zrozpaczony późnym wieczorem do domu, z głową rozpaloną i uszami, pełnemi szwargotu.

Własnym kluczem cichutko otworzył drzwi i, nie mając siły, ani ochoty zapalać światła, usiadł na swym kawalerskim fotelu i pogrążył się w niewesołe rozmyślanie.

Łowicka z córeczką spała już dawno.

Lampka przed obrazem rzucała snopy światła — mistycznie, tajemniczo.

Wzrok utkwił w mgławych, migających blaskach, a myśl pracowała uporczywie nad zawiłym rozwiązaniem różnych zagadnień natury finansowej.

— Co pocznę z Biesiekierskim, chyba wyrzuci nas z mieszkania.

Zamknął oczy, lecz sen uciekał od znużonych powiek.

Piekarz stał nad Łowickim i z groźną miną, świecąc białkami oczu, wywijał jak maczugą, długim podolskim bochenkiem chleba; rzeźnik, tuż przy nim, ugodził ze złości olbrzymią polędwicą Basię w łeb i z łoskotem cisnął za uciekającą ćwiartką cielęciny.

— Bodajbyś skisła psiajucho, powiedz swemu panu, że jest oszustem i złodziejem, krzyczał rozwścieczony rzeźnik, a piekarz pokazywał coś na migi i jak zwierz dziki wyszczerzał długie, poszczerbione zęby, mlaskając czerwonym ozorem.

Biegł, zadychał się, dopadł domu, gdy w tem Biesiekierski wynurzył się z za krzaków i poruszając pokociemu długiemi, fałszywemi wąsami, skubał kosmyki siwych włosów pod brodą i zagrodził uciekającemu drogę, uśmiechając się ponuro, złośliwie i z wyrzutem.

— Jak się pan profesor miewa, proszę nie sadzić takiemi krokami, proszę nie uciekać, bo mamy z sobą rachunki do załatwienia.

Przybrał groźną postawę.

— Nie mogę dłużej czekać, rozdarł strasznym krzykiem powietrze i porwał Łowickiego za gardło.

Wrzosek pękał ze śmiechu, trzymając się za boki, a Topolnicki pchał na Łowickiego Altmana z pozwem w ręku.

Mińska z politowaniem przyglądała się tej ohy-

dnej scenie i z dystyngowanemi łzami w oczach szeptała do męża.

— Tomciu, bądźże delikatnym, nie spoglądaj tak szyderczo na pana Łowickiego.

Zerwał się na równe nogi.

Basia zawzięcie chrapała w przyległej kuchni... z ulicy dolatywało szczekanie psów. W sąsiedztwie podejrzliwie ujadał i zrzędził trelami cienki młody głos, — daleko borykał się w ciemności urywany bas kilku brytanów; w powietrzu wisiało kaskadą żałośne, wydłużone do nieskończoności wycie, pełne skarg i melancholji.

Doróżka dudniała gdzieś daleko po nierównym bruku.

XVII.

W gimnazjum nastały jeszcze cięższe czasy — młodzież żyła w ciągłym utrapieniu, oczekiwaniu śledztwa i kar, nauczyciele Polacy, których uważano za wrogów systemu rządowego lub prosto opornych, byli wystawieni na ciągłe szykany.

Bunt zdławiono, powydalano z wilczym biletem winnych i niewinnych, do reszty stosowano najsurowsze kary. W ciągu całego tygodnia wzywano rodziców i opiekunów, wymuszano ich zezwolenie na kary cielesne — w szkole świstały rózgi, jęki i płacz rozlegały się od rana do nocy.

Wielu chłopców, których rodzice nie chcieli zgodzić się na karę cielesną, w obawie jeszcze gorszych prześladowań, zabierano do domu, drudzy przenosili się sami do różnych miast Rosji, każdy, kto mógł, uciekał od wściekłej, rozjuszonej zgrai popowiczów, którzy na komendę swego herszta rzucili się hurmą do ataku w nadziei obfitego łupu.

I łup napływał niemały; rodzice, wystraszeni złowieszczym odgłosem ogólnej sytuacji politycznej, zbici z tropu grubijańskiemi wybrykami gawiedzi szkolnej w mundurowych frakach, nieśli, co kto mógł.

Na opasłym brzuchu najlepszego stylisty gimnazjal-

nego, który referował najzawilsze papiery do wyższego »naczalstwa« i cieszył się powagą należenia do stowarzyszenia obrony »w Prywislinji« elementu rosyjskiego przed naporem polonizmu, zawisł olbrzymi łańcuch szczerozłoty; inspektor dodawał sobie powagi starożytną szpilką brylantową w krawacie; u dyrektorskich dzieci zjawił się osioł z rzędem i misternie zbudowanym wózkiem, a tatuś dzięki obmierzłemu buntowi mógł przystąpić jako wspólnik do grona, które zakładało w jednem z miast Rosji fabrykę nożów; u reszty malowało się na groźnych obliczach zadowolenie, nawet coś w rodzaju wdzięczności dla młodych buntowników.

Ciekawi obliczali, ile grosza wpłynęło do szerokich kieszeni prawosławnych Lewitów, lecz byli przekonani, że obliczenia ich nieścisłością wywołałyby złośliwy uśmiech lekceważenia na twarzach obdarowanych.

Sekretarz odbierał ciągle jakieś zagadkowe długi od rodziców uczniów, tłumaczył zawzięcie prostym niedomyślnym ludziom różne zasadnicze prawdy z życia urzędniczego, jako przyjaciel i życzliwy dla ich synków.

Szeptał i naradzał się tajemniczo z Flegonowym, który paradował na angielskim rowerze i chwalił się kosztownym aparatem fotograficznym, wspaniałym prezentem wujaszka, bogatego kupca z Moskwy.

Wrzosek, słysząc opowiadanie szczęśliwego posiadacza, brał się za brzuch, by nie parsknąć śmiechem, bo wspaniałomyślny kupiec z Moskwy nigdy nie widział tego miasta, nie znał się zupełnie na handlu, lecz zato był amatorem polowania na dubelty, a w rozmowie z figurami urzędowemi do polskich wyrazów, dla przyzwoitości dodawał rosyjskie końcówki i przytem, o zgrozo, gęsto sadził jako przysłowiem wykrzyknikowym: »Panie Dobrodzieju, nóżki baranie!«

Brzęcząca pokora udobruchała nieco parobków gromowładnego Jowisza z Parnasu nad Wisłą, i na razie zaniechano nowej emisji wilczych biletów, lecz pedagogom i ich pomocnikom polecono najsurowiej wyrwać raz na zawsze z serc dziecinnych żądło patrjotyzmu.

Do operacji tej każdy brał się na swój sposób.

Iljadow n. p., który wykładał w wyższych klasach, kazał uczniom na każdą lekcję uczyć się na pamięć całe ustępy z staroruskiej i nowszej literatury, dając przytem do zrozumienia, że kto będzie miał dobre stopnie z rosyjskiego, może się śmiało nie obawiać niepowodzenia w innych przedmiotach, bo rada pedagogiczna należycie oceni prawowierną pracę i chętnie zgodzi się na wszelkie ulgi.

— »Choròsz po rúskomu jazykú, choròsz po wsiem predmietam«, mówił przekonywająco.

Niby w sposób naukowy zajadle i ciągle dowodził, że polski język jest tylko odmianą rosyjskiego, czyli zepsutym wielkoruskim językiem, tak samo, jak białoruski i ukraiński.

— Jaka nieodżałowana szkoda, że Mickiewicz nie przybrał swej natchnionej pieśni w szatę prawdziwie rosyjskiego słowa, wołał patetycznie i pogrążał się w smutku.

— Słowacki, ten prawdziwy mistrz formy, niezrównany wirtuoz języka, jakiemi skarbami mógłby wzbogacić rusczyznę, żeby nie uległ niesmacznej modzie posługiwania się narzeczem. Zrozumiano to dobrze zagranicą, niemieccy i francuscy uczeni najsurowiej potępiają zgubny prąd, który i w zachodnich literaturach rozwielmożnił się i kazi jednolitość formy ducha narodowego w jego najbardziej żywotnych przejawach.

Młodzież zżymała się, lecz najwyżej dochodziło do dysput ze śmielszemi i to w formie bardzo przyzwoitej. Polityk wiedział, że może sobie pozwolić, bo nienawistna mu klika polskich patrjotów tułała się po alejach z wilczemi biletami w kieszeni lub rozproszyła się po szerokim świecie, naglona do tego przez policję, która zawsze żyła w przyjaznych stosunkach z władzą gimnazjalną i brała w opiekę młodzież, opuszczającą progi uczelni z piętnem nieprawomyślności na czole.

Trzeba też oddać sprawiedliwość, że Iljadow brał się do rzeczy zręcznie, wywody swe umiał należycie

stopniować, w czas spostrzegał, że struna przeciągnięta i brał się do normowania napięcia jej kluczem pochlebstwa pod adresem jednego z poetów polskich, zawsze jednak z dodatkiem, że i ten zasłużony pieśniarz nie powinien był hołdować modzie używania narzecza zamiast prawdziwie literackiego, t. j. rosyjskiego języka.

Zajadły rusyfikaror prowadził propagandę nie tylko ustną, lecz i piśmienną, jego »zamietki« na ten temat uczniowie musieli uczyć się na pamięć i recytować, jak pacierz.

Oporni odbierali złe stopnie nie tylko z rosyjskiego, lecz i z innych przedmiotów, bo Iljadow umiał natchnąć swą wielką ideą przewrotową wielu zacnych kolegów.

— Czyż nie uprzedzałem, tryumfował Iljadow, kto niedbale pracuje nad rusczyzną, nie może mieć dobrych stopni i z innych przedmiotów, bo, kto nie oddaje się z zamiłowaniem studjom nad tym językiem i klasycyzmem, nie dba o rozwój swych władz umysłowych i nie może robić należytych postępów.

Dążność do wynaradawiania młodzieży polskiej stała się zadaniem życia niepospolitego działacza, szperał w dziełach filozofów, badał życie i dzieje, żeby znaleźć jaknajwięcej wątku dla snucia swych ideałów.

Oddał się wreszcie studjowaniu hipnotyzmu, i na zasadzie tajemniczej hipotezy potęgowania działalności nieświadomego »ja« przez usypianie czujności świadomych władz umysłowych osnuł cały system wynaradawiania, który nazwał »hipnotyczno-politycznym przymusem na rzecz rosyjskiej państwowości«.

Na poufnej sesji w mieszkaniu dyrektora zaznajomił ze swą teorją całe prawowierne ciało nauczycielskie i innych działaczy, którzy brali do serca sprawy wychowania młodego pokolenia.

Zdobył całą burzę oklasków.

Zgodnie z zasadą Iljadowa w dzieci polskie, począwszy od wstępnej klasy, trzeba wpajać, że należą do rosyjskiej narodowości, z czego też powinni się szczycić. Ażeby działać z dobrym skutkiem, każdy nauczyciel

zaznajamia się należycie z zasadami hipnotyzmu, a przedewszystkiem z zasadami Iljadowa.

Mistrz, który z polecenia dyrektora rozpoczął podstawową w tym kierunku pracę w wstępnej klasie, osiągnął tak znakomite wyniki, że dyrektor po dwóch seansach wysłał raport do Apuchtina i prosił o przysłanie delegata dla naocznego przekonania się o skuteczności godnej podziwu metody.

Stary wyga nie bardzo z początku dowierzał, lecz potym zaciekawiony, po długich namysłach wysłał swego pomocnika.

Seans hipnotyczno-polityczny w obecności tak wysokiego dygnitarza starano się przyoblec w uroczystą szatę: zdjęto płachtę u wejścia, która miała zastępować zamykające się automatycznie drzwi, wyszorowano podłogi, wreszcie od ogrodnika Zawady sprowadzono kwiaty egzotyczne i udekorowano wejście, u którego stała orkiestra uczniowska i chór śpiewaków, by dostojnie dźwiękami muzyki, a potym uroczystym śpiewem spotkać i uczcić przedstawiciela wyższej władzy.

Rubarko, który, oprócz stanowiska starszego strażnika gimnazjalnego, sprawował z zamiłowaniem i z powołaniem obowiązek nauczyciela wstępnej klasy, nie posiadał się z radości, że jego klasę spotyka taki zaszczyt, obstalował sobie nowy frak mundurowy i starannie proszkiem do zębów wyczyścił medal »za uśmireńje polskawo miacieżà«, wzięty w spadku po ojcu, giefrejterze koływańskiego pułku.

Gieneralicja w galowych mundurach, udekorowana orderami, w towarzystwie urzędowego hipnotyzera z zadumaną miną kałmuka, weszła ceremonjalnym marszem do wstępniaków.

Rubarko zwijał się, jak wąż, w ukłonach uderzał po oficersku nogą o nogę, ciskał w dół głowę na wzór miejscowej złotej młodzieży, którą pilnie obserwował i wyniósł wniosek, że »paliaki ważno kłaniajutsia«. Medal w szalonych podrygach podskakiwał do wysokości brody udekorowanego, spadał szalonym rzutem na me-

talowe guziki i wydawał dźwięki miłe dla ucha, głaszczące po sercu.

— »Zdarowo rebiata!« odezwał się wirbującym basem dygnitarz.

Chłopcy, stojąc, gromko jak bataljon żołnierzy wykrztusili gieneralskie pozdrowienie.

Po spełnieniu ceremonjału cała kompanja usadowiła się przy stole, nakrytym zielonym suknem.

Iljadow sztywny, jak Moltke pod Sedanem, wyprężył swą atletyczną postać.

Seans zaczął się.

Dyrektor z uprzejmym uśmiechem na rozpromienionej twarzy zwrócił się do dostojnego gościa z prośbą o wybór chłopca, na którym się mają odbyć ciekawe doświadczenia i podał mu spis uczniów.

— Jwàn Pagowskòj (w metryce Janusz Pohoski), rozległ się dźwięczny, ciepły bas dygnitarza, a okulary w złotej oprawie (rosyjscy pedagodzy w Królestwie innych nie noszą) rzuciły po klasie kilka dystyngowanych błyskawic, szukając nieznajomej twarzy wyzwanego.

Do katedry zbliżył się nieśmiałym krokiem wstępniaczek, mogący liczyć najwyżej dziewięć lat.

Iljadow podniósł złote okulary na czoło i wpatrywał się w chłopca zdwojonym wzrokiem, gdy rzeczywiste oczy hipnotyzera wżerały się w duszę dziecka, błyszczące szkła usypiały jego świadome ja.

W klasie panowała martwa cisza..... na bladych twarzach niektórych chłopców malował się niepokój, lecz większość zachowywała się dosyć obojętnie, z ciekawością śledząc ruchy pogromcy.

Męcząca sytuacya trwała z minutę.

— Ktoś ty, rozległ się głos Iljadowa, ponuro, jak z pod ziemi.

— »Ja rùskij czełowiek«, odparł piskliwie zapytany i zbladł.

— Jaki ruski człowiek, ciągnął Iljadow, mały czy duży.

— Mały ruski człowiek, odpowiedział już śmielej, lecz wzrok utkwił w ziemi.

— »Prekrasno, prekrasno«, śpiewał wysłaniec Okręgu i z zadowoleniem głaskał swą wypielęgnowaną brodę.

Iljadow zgarbiony ze wzruszenia przeszedł się po klasie i znów stanął w pozycji bojowej.

— A czy jest tu więcej ruskich ludzi?

Zapytany zamyślił się.

Kilku malców wyciągało ręce do góry, dając znać, że mogą i chcą odpowiedzieć na zapytanie.

Pomocnik kuratora zadowolony, że dzieci tak chętnie odpowiadają na drażliwe zapytania, zwrócił się do jednego z nich.

— »Nu, otwieczàj!«

— W klasie jest dużo małych ruskich ludzi, czyli dzieci, rzekł rezolutnie i wskazał ręką na całą klasę.

— »Maładziec«, wycedził dobitnie dygnitarz.

Malcy nie przestawali trząść rękoma, dla wykazania chęci uzupełnienia odpowiedzi.

— »Nu, szto jeszczò skażetie!«

— »W kłasie kromie ruskich dzieciej jeść jeszczo czetyrie jewreja,« krzyknęli zgodnym chórem.

— »Da, wpołnie prawilno, kromie ruskich dzieciej w kłasie czetyrie jewreja«, potakiwał dyrektor i z zadowolenia rósł, jak na drożdżach

Dygnitarz wyzwał jeszcze jednego ucznia i sam mu jął zadawać zapytania.

Delikwent, nic nie odpowiadając, stał cały czerwony przestępując z nogi na nogę.

— »Tiebie szto?« rzucił z niecierpliwością dyrektor, pełen obawy o dobry wynik seansu.

— »Ja, proszu gospodina, choczu na dwór«, rzekł jąkając się.

— »Wot ciebie i na! Stupaj!« rzekł po namyśle i uśmiechnął się w stronę dygnitarza, jakby przepraszając za naiwność malca.

Wyzwano nowego delikwenta.

Miał minę wystraszoną i szeroko otwarte oczy.

— Słuchaj, Bolek, jeśli cię wypędzą z gimnazjum, to ci jeszcze lepiej skórę orżnę, niż pan Rubarko, co cię po ojcowsku ukarał za plwanie na wianki, które

wam kazał kupić pan dyrektor, dla nieboszczyka profesora, grzmiał mu w oczach pieczołowity bas ojcowski w połączeniu ze wspomnieniem świstu rózgi w niedźwiedzich łapach Rubarki i strasznego bólu.

Dobrze pamiętał i zrozumiał naukę Iljadowa i postanowił wykręcić się od wypędzenia i bolesnych plag.

— »Kakòj gorod milejè wsiewò sierdcu ruskawo czełowieka?«

— »Bolszòj krasìwyj gorod, mátuszka Moskwà«, wyrzekł jednym tchem.

— A czy ty, jako ruski człowiek, kochasz Moskwę, ciągnął dygnitarz rozczulonym głosem, bo sam pochodził z tego miasta.

— »Ja ruskij czełowiek i lubliù matuszku Moskwu!«

Hipnotyzer zadowolony, ufny w zdolność chłopca kazał mu odmieniać: »ja ruskij czełowiek«.

— »Imienitielnyj — ja ruskij czełowiek«.

»Rodzitielnyj — mienià ruskawo czełowieka«, recytował Bolek zamaszyście, z gęstą miną, przekonany, że nie spotka się już ze złowrogiem basem rodzica i świszczącą rózgą pana Rubarki.

W czeredzie chłopców znalazło się nie mało spekulantów, którzy zazdrościli szczęścia kolegom, i gwałtem dobijali się o prawo głosu.

— »Mienià, proszu gospodina, mienia!« wołali błagalnie.

Marchewka przynosił do domu same pałki i codzień prawie odbierał plagi.

Zrozpaczony, że nigdy chyba nie napisze o własnych siłach dyktanda rosyjskiego na trójkę i nie nauczy się czytać z dobrym »udareńjem«, postanowił też zasłużyć się i zdobyć łaskę władzy.

Uparcie, energicznie podnosił ręce do góry, potrząsał wszystkiemi palcami, jak wiechą i wyciągał chudą szyję.

— »Nu, gowori, gowori!« wskazał na niego palcem dygnitarz.

— »Ja także ruskij czełowiek i »bardzo« lubliu ma-

tuszku Moskwu, matuszku Rosieju i gospodina Rubarko!«

Marchewka jednym tchem wypowiedział całe zdanie, szeroko otwierając usta i stał lekko zażenowany.

— »Maładziec, tože maładziec!«

Na pogodnem czole dygnitarza zarysowała się ledwo dostrzegalna podłużna zmarszczka, a usta uśmiechnięte sarkatycznie zadrgały nerwowo.

Iljadow dla uwieńczenia dzieła rąk swoich, wykazania mistrzowstwa w wynaradawianiu, wyzwał sam nowego ucznia i oznajmił rewizorowi, że dziecko to pochodzi z najinteligientniejszej i zupełnie niezależnej sfery, gdy w klasie rozległ się zrazu cichy, a potem głośniejszy, zanoszący się płacz jednego z uczniów.

— »A eto szto takoje?«

Chłopak zasłonił twarz rękoma, opierając łokcie na ławce i płakał coraz głośniej.

Bujne, rzęsiste łzy, podobne do tych, które wylewał Łoziński, gdy się objawił Ossowskiemu, spadały na ławkę.

Sąsiedzi płaczącego mieli miny rozczulone, a częste mruganie powiekami świadczyło, że są też blizcy płaczu.

Czy wziął zbyt do serca nędzną rolę kolegów, czy bolał nad zaprzaństwem ich, bo umysł niewolnika dojrzewa prędko i dzieciom daje doświadczenie męża dojrzałego, a może prosto pod ławką oberwał bolesnego szturchańca — dość, że płakał gorzko i rzewnie, zanosząc się głośno co chwilę.

Dygnitarz podszedł do płaczącego; odczuł w tych łzach protest narodu, który zmuszono do uległości szubienicą.

— »Szto z toboju, gowori!«

Płacz stał się cichszym... w dłuższych odstępach wyrywały się z piersi jęki, a potym znów ginęły w tłumionej skardze.

— To płacze cały naród polski! szeptał dygnitarzowi głos sumienia.

Dziecko, wciśnięte w ławkę, siedziało nieruchomie, nie odpowiadając na zapytania.

— »Wstań osioł«, krzyknął dyrektor zażartym głosem, czy nie widzisz, że pan pomocnik kuratora rozmawia z tobą.

· — Co się mu stało, zwrócił się do kolegów, »wy towariszczi, dołżny znać!«

Kilku chłopców podniosło ręce do góry i trzęśli niemi zawzięcie.

— »Nu«, zwrócił się do jednego z nich dygnitarz.

— »Jemu, proszu gospodina »smutno«, szto nie widzieł matuszki Moskwy!« wycedził ochrypłym głosem najmniejszy uczeń wstępnej klasy, przezwany przez kolegów samowarem.

Przyczyna ta widocznie nie trafiła do przekonania dygnitarza i innych uczestników seansu, bo nikt malca nie pochwalił.

Przykre zajście nastroiło wszystkich na nutę nieco pesymistyczną, nawet Ruberko nie tak się już cieszył z brzęku medalu »za uśmireńje polskawo miacieża«.

Nie zważając jednak na to, wyprawiono sutą ucztę, na którą zaproszono całe prawowierne ciało nauczycielskie. Wygłaszano mowy na temat zdobyczy, uskutecznionych potem i ciężką, pełną zaparcia się, pracą ruskich ludzi i ogólno patrjotyczne, poczem dygnitarz okręgowy udał się pełen otuchy kurjerem do Warszawy dla zdania sprawy o pocieszającej wieści niecierpliwie oczekującemu go hersztowi.

Po wysłuchaniu raportu Apuchtin wyrzekł pamiętne słowa historyczne, że nie przejdzie i dziesięciu lat, a matki polki nad kołyską swych niemowląt będą nuciły rosyjską pieśń — »aj da, luli, luli!«

XVIII.

Po wyjeździe dygnitarza okręgowego, Łowicki nie mógł się dłużej łudzić — był bez dachu, wyrzucony na bruk.

Z bólem przekonał sie, że większość kolegów Polaków i inni rodacy zaczęli go unikać, bo bali się ściągnąć na siebie zemstę za okazywanie współczucia jednostce wrogo usposobionej dla rządowego systemu.

— Jak sobie dać radę?

Prześladowany łudził się jeszcze nadzieją na lekcye prywatne, lecz i ta deska ratunkowa wyślizgnęła się z rąk tonącego; — stracił nawet te, które miał, rodzice bowiem nie chcieli narażać bytu swych dzieci, a byli przekonani, że władza gimnazjalna przy egzaminach nie oceni przychylnie postępów uczniów nauczyciela, usuniętego za szkodliwą działalność.

Położenie było groźne — poszkodowany znikąd nie mógł się spodziewać pomocy, jako obcy w Królestwie nie posiadał znajomości, które mogłyby ułatwić znalezienie pracy, a przytym był zadłużony po uszy, wskutek macoszego obchodzenia się władzy szkolnej i ciężkiej choroby Łowickiej, a potem Stasi.

— Co począć, zapytywał siebie, Bóg wie, który raz, lecz nie widział wyjścia.

Noc spędził bezsenną, snując różne plany.

— Daleko przenieść się nie mogę, o Warszawie ani marzyć bez grosza przy duszy, jedyna nadzieja na dostanie miejsca w fabryce tutaj, w Dąbrowie lub Sosnowcu.

Czuł z całą świadomością, że jako niespecjalista będzie miał setne trudności.

— Jestem jednostką zbyteczną, niepotrzebnym kółkiem w społecznym mechanizmie, a nie mogę się wysortować, bo jestem potrzebny dla nich.

Opanowała go trwoga — wytężając słuch, wsłuchiwał się w oddech śpiących.

— Może mi dopomoże znajomość rysunku, przecież w fabrykach są biura rysunkowe.

Wzrok zatrzymał na obrazach. Malował je, zmuszając się do natchnienia, wstając do dnia, żeby sprostać wszystkim wymaganiom pracy na chleb... zasępił się.

— Nie potrzebowałem zgłaszać się po wiadomość do zarządu, bo oto stały wysortowane, smutne. Konary

drzew wyciągały zrozpaczone ramiona ku niebu, na którym nie było ani jednego blasku, — ciepła... przed wzrokiem zawisła zimna, bezbarwna płachta i wyziębiła w duszy wiarę w jaśniejszą przyszłość, w wyzwolenie.

— Nie mam talentu, łudziłem się — jakież ciężkie, niemiłosierne rozczarowanie; może był, lecz skoszlawiał, bo natchnienie potrzebuje techniki, jak dusza ciała, aby przemówić.

— Te pnie, strzelające ku niebu, gałęzie pogmatwane, a wołające... miały świadczyć, że dążność do wolności zajrzała w zwierciadło duszy, lecz nikt z sędziów tego nie odczuł, bo całość owionął mróz zwątpienia, jak zimny wiew martwoty cmentarnej.

— Ten krzyż na samotnej mogile śród zbóż niedożętych i przysłoniętego mgłą obszaru ścierniska, co w dali znika, nie jest obrazem zwątpienia i rozpaczy, bo warkocz brzóz nie wylał ani jednej łzy prawdziwej, gorącej i słonej.

Sędziowie spojrzeli obojętnie na skrawek duszy ludzkiej, z której uczyniłem preparat anatomiczny, nie posiadając zdolności stróża teatru sekcji trupów.

— A to niebo nad stepem, oświetlone łuną żaru tęsknoty, dla widza jest sztalugą, zawieszoną płachtami o chłopskim guście, a dal głęboka podłużnym kawałkiem tacy lakierowanej na błękitno; a ten step u dołu, który miał być wyrazicielem bezmiaru przestrzeni, gdym się chciał oblec w ciężkiej chwili w szatę świadomego niebytu, nikogo nie wzruszył, bo jest zwyczajnym paśnikiem, zdeptanym przez bydło, które ma ledz na cmentarzysku ludzkich brzuchów, przeznaczonych do trawienia łez i krwi bliźnich, a chciwych ścierwa zwierzęcego.

— Straciłem zaufanie w własne siły, wstrętem napełnia mię praca, którą niegdyś poczytywałem za wyraz duszy!

Z spartych piersi wydarło się ciężkie westchnienie, głośne, jak jęk.

Daleko na błoniach odezwała się alarmującym głosem syrena fabryczna. Dźwięki wydłużone rozkładały

się na drobniejsze części, łączyły znów w jedną ruchomą płaszczyznę potężnych głosów, zataczały w powietrzu wibrujące trelami koła dośrodkowe i szybowały uroczyście śród mroku i ciszy.

Zawtórowały inne fabryki; dźwięki rosły, kojarzyły się w dziwne, pogmatwane zgrzyty niezgodnych akordów.

Ciężkie, przesycone wyziewami nocy powietrze niższych warstw zajęczało rozgłośniej i biegło ku ciemnym, wilgotnym błękitom na spotkanie tajemniczej pieśni.

Cała atmosfera drgała wielkim głosem.

Chmury zabarwione kłębami dymu, zawisły w niemocy nad budzącą się do życia przestrzenią, jak olbrzymie skrzydła ducha ciężkiej, nieprzespanej nocy i tłoczyły wysokie kominy fabryk.

Na wschodzie niebo bieleje.

Blady sierp księżyca, zasnuty jeszcze snem ziemi, przysłuchiwał się pieśni, która ludziom dobrej woli obwieszczała święte przymierze pracy i koniec mrocznej, mglistej nocy krzywdy i wyzysku.

Tonął myślą w tej modlitwie porannej najeżonych kominów i wychylających się z ciemności potwornych najeżonych kadłubów warsztatów, miotany wielkiem uczuciem miłości dla wszystkich pokrzywdzonych, dla których uznojonego czoła niemasz ukojenia.

Pracownicy, prócz tego hasła ciężkiej pracy słuchają wielkiej melodji ducha, lecz wzrok daremnie szuka nieba, cicho rozpostartego nad łanem życia. Wzrok zachodzi mgłą zwątpienia, bo oto pole nieuprawne, porosłe zielskiem, ściele się u stóp rolnika długim, szarym ugorem i daremnie z upragnieniem oczekuje siewu.

Człowiek pokrzywdzony wyrokiem losu czeka bez wytchnienia pieśni wyzwolenia.

A gdy dźwięki zwarły się do walki i rozdarły ciszę odgłosem fanfar hałaśliwych i rozpaczliwym szamotaniem się jęków, czuł, że w modlitwie sytych wiele złej, nieokiełzanej, gromowładnej potęgi i podłości, a gorycz beznadziejnego oczekiwania biła słupem ognistym z pieśni wydziedziczonych.

Po ciemnej, zimnej i wilgotnej nocy nastanie chwila świtania, bo taki jest wyrok nigdy nie milknącego mocarza światła i ciepła, lecz horyzont zwarty z ziemią ciężkiemi wyziewami nie przepuści blasków słońca, stęsknionego do oblubienicy.

Zawyje burza... stopami wichrów zgniecie siewny łan; połamie pnie odwiecznych dębów, i ogołoci z gałęzi resztki marnych szkieletów; pokotem rzuci u stóp swych prastary bór i na zawsze nagnie ku ziemi dumne czoło chyżych świerków, a gaj płaczących brzóz legnie nieprzespanym snem.

Ulewa zaniesie gruzy i rumowiska szczerym piaskiem mogilnym . . . .

. . . .

— Dziś muszę wychylić wstrętną czarę goryczy realnego życia, a potym staranie o nowy, może nie tak gorzki kęs chleba... precz z rozmyślaniem, potrzebuję siły!

Wzdrygnął się.

— Aby prędzej! Pragnę wielkiej ofiary, bo ona jest promiennym światłem, a ta droga, usiana drobnemi cierniami, tylko ból sprawia!

Zaczynało dnieć na dobre, klosz lampy, oświetlony wewnątrz czerwonym płomieniem, bladł, poskromiony w swej dumie krzewiciela światła.

— Kończąż się dni ciężkiego doświadczenia? a może się odnowią tylko pod inną postacią, bo życie niewolnika powinno być jednym pasmem niedoli, a gdy czoło zrzuci brzemię zmarszczek — jest wolny lub podły?

Przebiegł myślą dzieje swojego życia w szkole, całą gorycz obniżenia lotu.

— Podła katownia; biedne dzieci, pokolenie, oddane na pastwę znikczemnienia lub niedoli... nie... znikczemnienia i niedoli.

Ile istnień złamał nędzny, na polityce oparty system surowości szkolnej.

W powietrzu latają samotne błyski niechęci... Zdradliwa ręka kapłana myśli rzuca na kratkowany papier

dziennika jadowite, nad miarę wydłużone strzały; pociski w zygzagowatym locie rażą serca dziecinne, paczą charaktery, każą idealne kształty istoty ludzkiej i, jak drzewo podcięte, walą na ziemię w błoto.

— Karpiński drży z obawy o swą dobrze płatną stancyę, stanowisko swe ceni! Topolnicki sam przybrał minę kata i łasi się przed takim Flegonowem, który rozwaliwszy się w fotelu, daje mu posłuchanie. To też Massalski odczuł głęboko niesprawiedliwość i podłość rodaka, z nienawiścią wypluł przez zaciśnięte zęby słowo wzgardy: »zaprzańcze podły!«

W czasie badania był blady i cały drżący, lecz nikogo nie obwiniał, bo przed kim miał się skarżyć?

Na książkę, którą trzymał w ręku, upadły dwie duże łzy — żalu i nienawiści.

Delikatny welon żalu, tę zasłonę u portyku, wiodącego do tajemniczej ciszy ciepłych mroków świątyni, rozdarła brutalna ręka nienawiści, zburzyła w domu Bożym o wyniosłej wieży gotyckiej wszystkie ołtarze, pogasiła światła, podruzgotała posągi świętych, w strzępy potargała obrazy... tak, że modły zamarły w świątyni, a z krzyża na wieży znikła aureola świetlana.

O Boże!

. . . .

Energicznym ruchem przerwał medytacje.

— Nie powinni napawać się mą słabością, bo mam dosyć siły na zwalczenie wszystkich przeciwności, które staną jeszcze na mej drodze.

Na dworze szalała wichura, górne gałęzie drzew przewalały się, ciężko stękając, ostatnie pożółkłe liście kłębiły się na ziemi, ściętej mrozem, bujały, unosząc się długo w powietrzu i spadały jak płaty śniegu.

Łowickiemu sprawiało przyjemność borykać się z wściekłemi porywami wiatru, szedł raźnym krokiem podniecony, jak do boju.

Gdy się znalazł w sali sądowej, spochmurniał i ze wstrętem oddychał powietrzem, przesyconym mdłą wo-

nią stęchlizny, pomieszanej z ludzkim potem i jeszcze jakiemiś nieokreślonemi zapachami.

Namiętny, pełen niepokoju szwargot kilku młodych starozakonnych i modlitewny, proroczy głos starca żyda, z którym zdawali się o coś spierać, przerwało zjawienie się sędziego.

Młody, wymizerowany żydek w łachmanach obojętnie spoglądał na współwyznawców, Łowickiego i innych wchodzących do sali i uśmiechał się z bolesną ironją.

— O, ja nieszczęśliwa, cóż pocznę z swoim drobiazgiem, sierotami swojemi, zawodziła w kącie, nie zważając na obecność sądziego, niemłoda kobieta w chustce narzuconej na głowę.

— »Cisze, cisze«, upominał strażnik i groźnie marszczył podługowatą twarz, pokrytą ceglastemi plamami, tu przecie sąd, a nie cmentarz, zawodzić nie wolno.

Łowicki zaprzeczał w duchu stróżowi porządku, bo sala sądowa zrobiła na niego wrażenie grobu, pozbawionego tylko powagi i ciszy.

Sędzia sztywnie rozłożył przyniesione przez kulawego sekretarza papiery i ostrym rzutem palców odsunął rzeźbioną czy laną czarną ze złoceniami minjaturę Ukrzyżowanego Chrystusa.

— I co On tu robi, ten nieszczęśliwy czarny ze smutku Chrystus, czy nie wytoczyli mu czasem ludzie jakiej sprawy w carskim sądzie pokoju.

Łowickiemu zdało się, że sędzia, odtrącając krucyfiks końcami swych wypielęgnowanych palców, potargał przez to wszystkie więzy, które łączą chrześcjanina z nauką rzecznika biednych i uciśnionych, że ruch brutalny prawicy sędziowskiej miał znaczenie symboliczne.

Chciał w oczach sędziego wyczytać zaprzeczenie swoich domysłów, lecz ujrzał tylko dwa błyszczące szkła zamiast oczu.

— Gruba warstwa pokostu kulturalnego nie pozwala zajrzeć w głąb duszy ludzkiej.

Sędzia po raz drugi przywołał uderzeniem w dzwonek sekretarza, który znów przyniósł całą plikę papierów.

Krucyfiks musiał usunąć się jeszcze dalej, bo nie było dlań miejsca w sądzie.

Wysłuchał kilku spraw i ze zdziwieniem spostrzegł, że jedna ze stron miała zawsze wiele podobieństwa, n. p. do Mochnackiego lub jakiegoś innego osobnika, nieobdarzonego pazurami do toczenia walki życiowej, a druga do Altmana, dyrektora gimnazjum, Flegonowa, wreszcie do Mińskiego, — osobników mniej lub więcej krwiożerczych.

Sędzia sympatyzował zawsze ze stroną silną, zwracał się do niej z wyraźnym odcieniem uszanowania, gdy słabą najzupełniej lekceważył.

Płacząca kobieta w chustce na głowie, przyciśnięta do muru przez twardego wierzyciela, któremu zwróciła już dług, lecz nie odebrała rewersu, urywanym, drżącym ze wzruszenia głosem opowiadała swą biedę.

— A gdzie świadkowie, zapytał zimno urzędowy Salomon po rosyjsku, gdy mu przetłumaczono niezbyt dokładnie żale podsądnej.

— Boże mój jedyny! nie mam świadków, były przytem dzieci me, lecz czyż maleństwa rozumieją coś.

— Prawo wymaga świadków.

— Bogiem się świadczę, bo ludźmi nie mogę. Tak byłam rozczuloną, bo Bogdański, mój krzywdziciel, stracił syna, który służył w wojsku, i jechał na pogrzeb. On lamentował, i ja się rozpłakałam. Trzymał mój rewers w ręku, lecz widocznie w wielkiej boleści zapomniał mi oddać, a teraz djabeł go kusi, żeby duszę oczernić, aby ją potym wziął.

Tłumacz znowu przełożył słowa kobiety na język urzędowy.

— Cóż kiedy świadków niema!

— Miałam te 50 rubli com wzięła za wieprzka, więc zwróciłam. A teraz zkąd wezmę, na dziadym zeszła przez złość ludzką — i chałupę mi zabrali... wszystko!

Zanosiła się od płaczu, kryjąc twarz w chustce jeszcze głębiej.

— W imieniu mego klijenta zaprzeczam tym insynuacjom, rzekł wyniośle z zimną krwią adwokat.

— »Eto łoż i kliewieta«, dodał z sztucznym oburzeniem.

Sędzia zajrzał do księgi, wyrok był gotów.

Strażnik trącił biedaczkę w kark, a sędzia niecierpliwił się i przerwał na chwilę czytanie.

Łowicki, w głębi duszy przeświadczony o prawdzie zeznań nieszczęśliwej, bo w każdem słowie jej dźwięczała nuta uczciwości, nie mógł zostać niemym widzem i zwrócił się do sędziego.

Natręt spotkał się znów z powierzchnią dwóch szkieł w złotej oprawie, które błyskawicznie zakreśliły w powietrzu wielki znak zapytania.

— Czy pan jest adwokatem podsądnej.

— Nie jestem adwokatem, lecz czuję głęboko w duszy, że kobieta ta zeznała prawdę, że uiściła się już z długu. Czy pociągający ją do odpowiedzialności stwierdzi przysięgą sprawiedliwość swojej pretensyi?

Adwokat z lekceważeniem spojrzał na pochyloną postać Łowieckiego i ze zdziwieniem podniósł ramiona do góry.

— Prawo nie pozwala zmuszać do przysięgi, objaśnił Salomon.

— A pocóż ten krucyfiks w sądzie?

— Przysięgają świadkowie.

— A czyż świadkowie sami domagają się przysięgi, nie — sąd ich zmusza do tego, zdaje mi się...

Sędzia, wyprężając szyję, głęboko wciągał podbródek i głaskał go lewicą; cały nadęty ubrał się w niezrównaną sztywność rosyjskiego biurokraty i zwrócił wyniośle do Łowickiego, który z niesmaku wykrzywiając usta potępił w duchu swe własne żądanie przysięgi dla pozywającego, gdyż w jednej chwili stracił wiarę w zacność natury ludzkiej... i nie widział już żadnych regulatorów życia...

— Nie rozumiem do czego pan zmierza, i poco samowolnie przerywa sądzenie sprawy. Bardzo proszę zaniechać tych dysput, bo nałożę na pana karę.

Łowicki słyszał w sali nie płacz biednej wdowy z Częstochówki, lecz widział gorzkie łzy całej ludzkości, której życie wtłoczono w bezduszne formuły gwałtu.

— Mówię w imię uczuć sprawiedliwości, prawo nie

powinno dozwolić, aby ucierpiał niewinny, a sprawa ta nie została zbadana, bo pan, nie rozumie języka ofiary... bełkotał Łowicki coraz więcej tracąc grunt pod nogami.

Sędzia zmarszył się niecierpliwe.

— Proszę zaprzestać, nie pozwolę igrać z swoją godnością sędziego, wytoczę panu sprawę za obrazę »pri ispołnienji służebnych obiazannostiej«.

Strażnik poruszał groźnie wąsami i przybrał bojową postawę, czekając rozkazu.

— Że się też ludzie nie boją kary Bożej, nie mają litości nad biednym, płakała w nieutulonym żalu.

Metalowy Chrystus zwiesił głowę w niemocy jeszcze niżej, a tam wysoko nanowo przeszedł całą gorycz cierpień konania.

Niefortunny obrońca pokrzywdzonych zgarbił się i z wielkim smutkiem, ze wzgardą patrzał na błyszczące szklane powierzchnie, któremi były opancerzone oczy sędziego, gdy zadowolony z przebiegu sprawy adwokat z szyderstwem i zwycięsko mierzył natręta od głowy do stóp i bębnił palcami prawicy w zwój papierów, trzymanych w lewej ręce.

— Cóż ja biedna pocznę z swojemi sierotami, co...?

Łowicki wyszedł na korytarz i długo nie mógł ochłonąć.

Brud, który panował w sądzie, gwar, zaduch, stęchła od krzywd ludzkich atmosfera, napawały go wstrętem i obrzydzeniem.

Gdy powrócił do sali, sądzono młodego wymizerowanego żydka za kradzież butów ze śpichrza dostawcy Dody Zylbersztejna.

Przestępca zachowywał się zupełnie obojętnie, wodził apatycznym wzrokiem po twarzach obecnych i uparcie nie odpowiadał na zapytania sędziego.

— Sądźcie mnie jak się wam podoba, buty ukradłem, bom był chory i bosy — abo ja wiem... zimno zanadto dało się we znaki, tylko nie każcie mówić — błagał wejrzeniem.

Nerwowo kiwał głową i mruknął coś pod nosem, dla potwierdzenia, że się przyznaje do winy, a potym

z największym spokojem wysłuchał wyroku, skazującego na trzy miesiące więzienia.

Łowicki nie czekał już na swoją sprawę z Altmanem, otrząsnął proch z obuwia i opuścił salę sądową. Wszystko co widział i słyszał, napełniało odrazą do realnych objawów życia — czuł się wykolejonym, złamanym moralnie i fizycznie.

Dziwnie wymowne wejrzenie skazanego nie dawało mu spokoju... Stał przy ścianie i plwał krwią do brudnego łachu, wydobytego z kieszeni okrycia, które literalnie rozpadało się w strzępy.

— Tego człowieka trzeba nakarmić, przebrać w ciepłe czyste ubranie i umieścić w sanatorjum, a nie gnać do więzienia... gdzież sprawiedliwość... przebaczenie... miłość!...

. . . .

Biegł do domu, by wszystko przygotować do wyjazdu.

Energiczna figura sędziego coraz wyraźniej przybierała postać sępa, który zakrzywionym dziobem szarpał krwawiące ciało bezbronnej ofiary.

Wichura ucichła, śnieg pada dużemi płatami i zaściela ziemię miękkim, nieskazitelnie białym kobiercem. Świeże, czyste powietrze zachęca do oddechu, przenika organizm, napełniając duszę siłą i otuchą...

XIX.

Człowiek, nieobeznany z warunkami życia naszego, nie zdołałby stworzyć pojęcia o stanie duchowym młodzieży po wszystkich ciężkich przejściach prześladowania. Większość była zupełnie wyczerpaną i, chociaż głęboko odczuwała krzywdę i niesprawiedliwość, poddawała się biernie wszystkim rozporządzeniom i spełniała je, zacisnąwszy zęby, automatycznie. Nie stawiali czynnego oporu, odrabiali lekcje, na czas oddawali prace piśmienne, przychodzili pod przymusem na odczyty, którymi się teraz popisywali różni działacze szkolni, lecz

te objawy pracy, życia czynnego nosiły na sobie straszne piętno martwoty i rozpaczliwego przygnębienia.

Twarze posmutniały, śmiech rozlegał się rzadko i to jakiś nieszczery, bolesny.

Natury silniejsze długo kurczyły się w ciągłych zapasach, a potym tak zasmakowały w nienawiści, że uczucie to wsiąkło w ich istotę duchową, stało się składową częścią organizmu.

Wysiłkiem woli zmuszali siebie do wzięcia do rąk rosyjskiego podręcznika, przy samem dotknięciu już uczuwając dreszcze nienawiści, plwali na umieszczone w nich portrety działaczy państwowych, nie przebaczali nawet ludziom, którzy odznaczyli się na polu literatury lub sztuki, bo umysł przestał rozumować, a dusza wezbrana jadem nie widziała w życiu narodu gnębicieli nic, prócz podłości, krwawych łez uciśnionych i wyzysku.

Stan nerwowy, pochłoniętych przez nienawiść, doszedł do zupełnego wyczerpania, jedno brzmienie nazwiska rosyjskiego wyprowadzało z równowagi, sprawiało wrażenie niemiłego, przejmującego zgrzytu żelaza po szkle, szarpało niemiłosiernie nerwy.

Dosyć było, żeby Iljadow wymówił przy wykładzie literatury imię poety lub bohatera jakiego utworu, a w klasie słyszał się cichy, lecz wymowny pomruk, oderwany jęk, nerwowe zgrzytnięcie zębami.

I nieszczęśliwy Oniegin przybierał postać Aleksiejewicza lub Flegonta, myszkował na stancji w kufrach uczniowskich, łapał polskie książki, leciał z »donosem« do dyrektora, lub dowodził z katedry, że Kościuszko był na równi z Mazepą, którego do tego czasu wyklina prawdziwie Chrystusowy Kościół wschodni, zbuntowanym kozakiem i za karę odsiadywał więzienie w Petersburgu.

— »Nie płachowa gniezdà szestokryłyj ariòł...«

— Bogdajbyś, cholero, zdechł, jęczał Idzikowski,

I »szestokryłyj ariòł« upodabniał się do sępa, który zakrwawionym dziobem wyrywał krwawe wnętrzności, gasił wzrok, wyłupiając oczy, a ślepiami drugiego łba,

przybranemi w złote okulary rosyjskiego pedagoga, piorunował zahukaną klasę, wywijał jak sztyletem ostrym ozorem i miotał pełne bezeceństw oszczerstwa na wszystko co polskie, co wrosło w duszę, wsiąkło w krew.

Dyrektor na wykładach historji daremnie wysilał się dla uczczenia rosyjskich bohaterów narodowych na bujne kwiaty wymowy.

— Bohater w pojęciu waszem to kat, lada szpicel — taka dyrektorska psia morda — ot wasze bohatery, syczeli chłopcy, skupieni w wielkiej, wszystko pożerającej nienawiści.

— Wasze bohatery, to Iljadow i Rubarko, powracający dorożką w samych gaciach z lupanaru, gdzie w czasie bójki, którą może jaki płatny pop opisze »w bylinie«, postradali ubranie.

— Bodaj cię skurczyło, synu taki -- falowało w powietrzu, strzelało z pochmurnego wzroku, zadawało śmiertelne rany sercom młodym, które Bóg przeznaczył na siedlisko dla wielkich myśli, ideałów...

Gdy inspektor w czasie jednego z odczytów, na które, jak unitów na nabożeństwo, uczniów spędzano siłą, podnosił zasługi rosyjskich poetów i filozofów w ogólnoludzkim dorobku umysłowym, uczniowie wyższych klas, którzy przeszli kurs literatury, czytali Puszkina, Lermontowa, Turgieniewa, Dostojewskiego i Tołstoja, a wielu miało w ręku takiej miary filozofa, jak Sołowjow, spoglądali na prelegienta z gorzką ironią i lekceważeniem — do takiego stopnia zaślepiła zaciekłość, wywołana bezdusznym, katowskim systemem wynaradawiania w szkole i politycznego przymusu w imię tej samej zasady eksterminacyjnej.

— Filozofia wasza i poezja, to picie naszej krwi serdecznej!

Kuszłejko, pożerany nienawiścią, dostał żółtaczki i wyjechał na wieś, a Idzikowski nosił się z zamiarem samobójstwa, lecz przedtem postanowił zamordować kilku najwięcej mu nienawistnych z dyrektorem na czele.

— Zamorduję, zamorduję, powtarzał w chwilach naj-

większego żalu i rozdrażnienia i tracił prawie przytomność, bo pożerała go dzika chęć krwawej zemsty.

Wydalono wprawdzie najdzielniejszych w czasie bezwzględnego prześladowania po śmierci Ossowskiego, lecz za to pomiędzy obojętnemi znalazło się kilku, którzy poczuwając się do winy, zawiązali przez znajomych studetów stosunek z Ligą Narodową i z wielkim żarem przystąpili do nowej walki na śmierć i życie.

Wybrano znowu zarząd Koła patrjotycznej młodzieży i wznowiono wydawnictwo uczniowskiego tygodnika »Odrodzenie«.

Ponieważ smutne doświadczenie nauczyło, że obojętność społeczeństwa jest w stanie sparaliżować najszlachetniejsze zapędy młodzieży, niszcząc swym wpływem jedność i zgodę, postanowiono rozszerzyć program działalności, budzić zapał dla swojskich ideałów nie tylko śród młodzieży, lecz oddziaływać zarazem w tym duchu na społeczeństwo.

Pracowano wytrwale, lecz z wielką ostrożnością, bo władze, nie tylko gimnazjalne, miały czujne oko.

Uczniowie internatu, którzy do tego czasu nie brali czynnego udziału w pracy patrjotycznej kolegów, zajmowali teraz w kole wybitne stanowisko i wzięli sobie za zadanie zreformowania konwiktu uczniowskiego, tej jaskini zepsucia.

Starszych odciągano od rozpusty, pijaństwa i kart, a malców wzięto zupełnie pod swe kierownictwo.

— Bądźmy czyści, a będziemy silni. —

Była to jednak praca niełatwa, bo w suterenach domu internackiego, wynajętych przez inspektora jakby naumyślnie podejrzanym osobistościom, zagnieździła się rozpusta pod wszelką postacią.

Wychowawcy w wilję prawie każdego święta urządzali dzikie orgje, a starsza młodzież stłoczona w koszarach, w braku dozoru i kierownictwa, a przytym mająca tak ohydny przykład z góry i wszelkie udogodnienia, sprowadzała wódkę, grała do późnej nocy w karty, poczem następowały wycieczki do suteren, skąd niektórzy wracali nad ranem.

Po mieście chodziły z początku tylko głuche wieści o tem, co się dzieje w internacie, bo obie strony starały się ukryć prawdziwy stan rzeczy, lecz potym, gdy nastrój młodzieży wskutek działalności Koła zmienił się, i zbłąkani widząc całą ohydę bezdeni brudów, w których grzęźli, przyszli do opamiętania, powstały kolizje i szydło wyszło z worka.

Ludzie oniemieli z przerażenia, nikt jednak z mieszkańców z obawy o swój spokój i dobrą markę u rządu nie chciał przedsiębrać środków zaradczych, a ostatecznie nie wierzono w skuteczność obrony.

Małoduszni odczuwali całą grozę położenia, lecz tak już zżyli się z niewolą, tak mocno byli przekonani, że rosjaninowi w Polsce ujdzie wszystko, a największe bezeceństwo poczytuje się często za zasługę, iż machnęli ręką na obronę, chociażby i legalną, która nie pociągała za sobą odpowiedzialności, i gardłowali, jakoby społeczna oficyna zdrowia nie ma środków przeciw zbrodniom, spełnianym przez uprzywilejowanych opryszków.

Znaleźli się oportuniści, którzy nietylko przechodzili do porządku dziennego, słysząc o wprost ohydnych rzeczach, lecz wynajdywali w nich nie to, że stroną dodatnią, lecz zawsze pewną korzyść.

— Ha, trudno, twierdzili w naiwności ducha, jeśli inaczej być nie może, bo już widocznie Pan Bóg nas opuścił, niechże młodzież namacalnie przekona się o lichej wartości moralnej swych obcoplemiennych kierowników, a przez to nie tak będzie podlegać ich wpływom, zdążającym do wynarodowienia nas.

Na ciele chorego występowały czarne plamy, a otoczenie pogrążone w bagnisku bierności, zamiast stosować energiczne środki przeciw zakażeniu krwi, pocieszało siebie, że zepsuta krew tworzy oddzielne ogniska, co miało wpłynąć na ocalenie organizmu.

W gruncie rzeczy wszyscy byli przekonani, że dzieje się bardzo źle, że bez czynnej obrony naród dąży do zguby, lecz bierność, pacząca nasz charakter narodowy

i brak energii kołysały do błogiego snu, marnując czasem najlepsze siły, które ginęły w bezowocnem pasowaniu się, pozostawione same sobie.

Jednostki, które, nie widząc innego wyjścia, zalecały walkę, spotykały się z lodową powagą obojętności, ośmieszane ginęły w szarym tłumie malkontentów, napiętnowanych mianem awanturników.

A obrona czynna, chociażby przeciwdziałanie legalne, stawały się, w pełnem znaczeniu sprawą palącą, bo zgraja gimnazjalna, przeświadczona o zupełnej bezkarności, nie liczyła się z żadnemi względami.

Gdy jakieś łajdactwo występowało w tak jaskrawej szacie, iż mogło ściągnąć niezadowolenie nawet takiego zbira, jak Apuchtin, winowajca zdwajał gorliwość w prześladowaniu, aby zbrodnię okupić pożyteczną działalnością.

— Na miłość Boską nie drażnić wroga, bo opór, okazanie nawet niezadowolenia wywoła jeszcze gorsze prześladowanie.

I ludzie dobrej woli zdobywali się na bezgraniczną cierpliwość.

Dyrektor, jako nałogowy pijak, o którym do obecnej chwili żyją w pamięci mieszkańców wprost ohydne opowieści, usunięty ostatecznie przez warszawskiego szefa opryszków, gdy w Petersburgu, wskutek przeobrażeń, zaczął tracić grunt pod nogami, urządził w alejach swym zwyczajem brudną awanturę.

W obawie, że wiadomość dotrze do Warszawy i Petersburga, wyszukuje winowajcę, gwałtem robi go wodzirejem jakiejś nieistniejącej partyi, zwołuje sesję i wydala z wilczym biletem.

Akt obrony gotów!

Kurator odbiera raport, że pomiędzy uczniami wyższych klas powstał związek patryotyczno-rewolucyjny, lecz władza szkolna w czas wykryła spisek i wydaliła głównego wodzireja, do innych stosując mniej surowe kary.

W razie czegoś kurator doniesie do Petersburga

o całej sprawie i obali skargę społeczeństwa, mianując ją aktem zemsty za tępienie ducha rewolucyjnego.

Za wybryki i łajdactwa pedagogów pokutowała młodzież, stało się to regułą.

Drugi nauczyciel języka rosyjskiego, Dubow, w swym własnym domu ukradł u kolegi Iljadowa w czasie gry w karty portmonetkę.

Uczestnicy zabawy, naczelnik poczty finlandczyk Naus, oficer pułku strzelców i jeszcze kilku urzędników, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzenia, powywracali kieszenie.

— Teraz kolej na pana, zwrócono się do gościnnego gospodarza.

Pedagog oburzył się.

— Co, co, jak śmiecie podejrzewać mię o złodziejstwo! krzyczał zaperzony i chciał wyjść do drugiego pokoju.

Zatrzymali go kamraci siłą, obejrzeli kieszenie — i cóż się okazało? — portmonetka gościa znalazła przytułek w uprzejmej kieszeni gospodarza.

Stugębna wieść gruchnęła po mieście.

Winowajca zasępił się i przemyśliwał nad sposobem ratunku.

Wzory miał gotowe, należało je tylko odpowiednio zastosować.

Ponieważ w zbyt jaskrawy sposób stracił miano uczciwego człowieka i bał się przykrych następstw, powinien był dla obrony i ekspiacji zdobyć głośną sławę działacza w duchu rusyfikatorskim, a mógł śmiało liczyć na bezkarność, bo za czasów Hurki i Apuchtina (a i teraz nie lepiej), pożytecznemu działaczowi rządowemu wybaczano nawet grube bezeceństwa.

Jeśli winowajca był Polakiem, wystarczało przyjąć prawosławie, które w mniemaniu sfer rządzących miało moc zmazania występku, jak chrzest grzechu pierworodnego.

Niefortunny amator cudzej sakiewki już na drugi dzień, nie tracąc czasu, rozpoczął akcję ratunkową —

w drugiej klasie, w której wykładał język rosyjski i gieografię.

W tym celu zadał, nie tłumacząc, trudny i zawiły dział gramatyki i pół stronicy rozbioru, w nadziei, że chyba najzdolniejsi tylko zdołają jako tako odrobić lekcję.

Na drugi dzień wszedł do klasy, zacierając ręce.

I cóż? gramatykę umiecie, rozbiór odrobiony, zapytał niby ze współczuciem.

— Bardzo trudna gramatyka, a rozbioru nikt prawie nie umie.

— Ha, trudno, kurs nie mały; to przecie nie pierwsza klasa, dyktanda też będą poważne.

Przeszedł się po klasie, przechylając i zgarniał z powagą poły wicemunduru.

— A może wam opowiedzieć wesołe zabawne opowiadanie o powstańcach, polskich »miatieżnikach?«.

Chłopcy nie odzywali się i poważnie spoglądali na siebie... wystraszeni, pełni złowrogich przeczuć...

— Cóż, milczycie, chcę wam zrobić ulgę, zamiast wyzywać, opowiem wam coś zabawnego, n. p. prawdziwą historję o kozaku bohaterze, o powstańcu tchórzu, o żydku handlarzu i o świni z prosiętami.

W klasie jak makiem zasiał, twarze spochmurniały, a Mokronowski, którego dziadka, o czem mu ojciec nieraz opowiadał, kozacy umęczyli, przygwoździwszy pikami do drzewa, zbladł i drżał jak w febrze.

— »Nie ugodno, Boh z wami!«

Kilku uczniów rosjan uśmiechnęło się złośliwie, a żydzi śledzili obojętnie z odcieniem ironji ruchliwą twarz prelegienta, lecz nikt nie przerwał grobowej ciszy.

Pedagog lustrował twarze dzieci, szukając najwięcej wykrzywionej bólem.

— »Mokronowskij Iwan k uroku!«

Chłopak, to blednąc, to oblewając się kolorami, nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Jedynkę za postępy i trzy godziny kozy »za upornoje mołczańje«.

Następni nie byli w stanie rozebrać zdania: »W pri-

wislinskom kraje, gdzie protiekajet balszaja, sudochodnaja rieka Wisła, abitajut ruskija plemiena, imienujemyje Mazurami, Kujawianami, Krakowiakami i Zabużanami«.

Sypały się jedynka za jedynką. Uczniowie napróżno dowodzili, że nie tylko nie przechodzili o sposobach skracania drugorzędnych zdań, lecz nie tłumaczono im jeszcze, co to jest zdanie drugorzędne.

— Milczeć! uczniowie, którzy nie chcą, żeby nauczyciel ułatwił im naukę, rozwijając umysłowo, przez opowiadanie ciekawych i pouczających zdarzeń historycznych, powinni wszystko umieć.

Klasa napełniła się płaczem i lamentem.

— A co, może już zmądrzeliście, daję pięć minut do namysłu. Radzę zgodzić się, bo będzie źle!

Wyjął zegarek i położył na katedrze.

— Panie profesorze, proszę nam już lepiej opowiedzieć o Piotrze Wielkim, błagał malutki Chwalibóg.

— »Niet, razskażu o miatieżnikach!«

Prelegient to nasadzał, to zrzucał pince-nez z nosa, siedząc nieruchomo na katedrze.

— Nie chcecie? dobrze! »Zieleniewskij k uroku!«

Krzyczał, bił książką o katedrę.

Uczniowie obracali się, naradzali wzrokiem.

Postanowiono trwać w uporze i cierpieć.

Posypały się nowe jedynki i kary; głośny lament, jak w czasie burzenia Jerozolimy, bił ku niebiosom.

Prawosławni uśmiechali się coraz złośliwiej, z zadowoleniem, a żydzi, nieczuli na prześladowanie, oczekiwali obojętnie końca tragiedji i zawzięcie starali się, zaglądając do podręcznika gramatyki, rozebrać zdanie, napisane na tablicy.

— Pamiętajcie, że nie będę miał czasu wyzywać was jeszcze raz, stopnie dzisiejsze, jutrzejsze i t. d. uważam za kwartalne.

Miny wydłużyły się jeszcze więcej.

Dobroczynny dzwonek przerwał katowanie dzieci.

Wysypali się na korytarz bladzi, spoceni.

— »Gaspadà, po polski nie gawarić«, gromił Flegont.

Mokronowski zbiedzony, spłakany skarżył się przed starszym bratem, który go pocieszał.

— Obydwaj bracia Mokronowscy do kozy na pięć godzin »za polskuju riecz« z rozporządzenia pana inspektora.

. . . .

Na drugi dzień rozpoczęło się to samo.

— Jeśli mię ładnie poprosicie, opowiem wam ciekawą historję o kozaku bohaterze, Polaku »miatieżniku«, handlującym żydku i świniach przy korycie.

Zaczął opowieść, lecz po wygłoszeniu kilku zdań, w których zelżył cały naród polski, przerwał i bębnił palcami marsza, jakby pobudkę do operetkowej bitwy powstańczej.

Chłopcy milczeli posępni, wyczerpani.

— Nie chcecie, dobrze! piszmy dyktando.

Dla utrudnienia dodawał końcówkę jednego wyrazu do początku następnego, to znów intonacją rozdzielał wyrazy na samodzielne niby części; robił długie przystanki, a gdy uczniowie namyślali się, jak kojarzyć te części, zlewał dwa wyrazy w jedną całość, wreszcie trzy... dyktował błyskawicznie, połykając samogłoski.

— No, ładne też będą stopnie.

Tryumfował, bo u większości linje świeciły pół na pół białością.

— To dyktando będzie rozstrzygającym dla stopni kwartalnych, szydził bez litości, widząc kwaśne miny.

Nieszczęśliwi byli doprowadzeni do rozpaczy, ze łzami w oezach zamykano kajety.

Katusze trwały jeszcze przez kilka lekcji i znużyły dzieci do ostateczności.

Wreszcie kilku energiczniejszych ugodowców zebrało się przed samą lekcją w ustępie na naradę, jak wyjść z fatalnego koła. Postanowiono wysłuchać wstrętnej historji.

Po tej rezolucji ugodowcy wracali pojedyńczo do klasy zawstydzeni, z wypiekami na twarzy.

Patrjoci sejmowali małemi grupami w klasie i na korytarzach, bo przedstawiciel »Koła« zalecił zrobić pod koniec lekcji zamieszkę i czynnie znieważyć kata kasztanami, kamieniem, wreszcie pięścią, kto silniejszy.

Rozległ się pierwszy dzwonek po wielkiej przemianie; w klasie panowała cisza, przerywana kiedyniekiedy głośniejszym wybuchem kilkunastu głosów.

Po chwili wszedł powolnym krokiem gnębiciel, obejrzał klasę z pode łba i usadowił się poważnie na katedrze, dumnie przechylając głowę w tył.

— Cóż, może dziś opowiedzieć, już czas spokornieć, dumnych Bóg karze.

— Dobrze, proszę opowiedzieć, rzucił nieśmiało Somiec.

Kilka zawstydzonych głosów poparło prośbę.

— »Choroszòs«, proszę uważać, bo opowiadanie to przepowiemy kilka razy w klasie, a potem zada się na następną lekcję.

Chłopcy rzucali na siebie wejrzenie pełne rozpaczy, zapytując, co czynić; z nienawiścią mierzyli wzrokiem zdrajcę.

— My nie chcemy opowiadania, Boże mój — rozległo się w powietrzu, cicho, jak bezsilna skarga.

Nie czuli odwagi i siły do walki, zgnębieni, sterroryzowani.

Trudno opisać nastrój klasy w decydującej, stanowczej chwili. Na przerażonych twarzach malowało się przygnębienie i smutek — u jednych oczy świeciły gorączkowo, serce biło gwałtownie, usta rozchylały się, rzekłbyś z przerażenia, w przystępie nieopisanego strachu przed potwornym zjawiskiem, czy ciosem śmiertelnym, u drugich wzrok bezmyślny, w osłupieniu niemym przybierał wyraz dziwnie łzawej nieobecności i rozpływał się, wsiąkał gdzieś w głąb duszy, szukając tam schronienia.

W pustej przestrzeni, między dwoma nastrojami zgrzytały pociski nienawiści i szukały obmierzłego ciała wroga, by ugodzić w nie, wypruć wnętrzności, zatopić sztylet i pastwić się wirowemi zwroty, przeniknąć do

serca kata, tchnącego podłością i zgasić ochydne, cuchnące życie.

Pedagog-kat czuł, jak wielki ból sprawił, i napawał się strasznym skurczem niewinnych twarzy dziecinnych. Flegmatycznie z uśmiechem jął opowiadać.

— Kozacy bohaterzy rozbili bandę głupich (»bezmozgich«) powstańców Polaków, piki swe dzielnie zabarwili krwią zbrodniarzy, którzy ważyli się podnieść rękę na swego ojca — cara, lecz nie zdołali wykłuć wszystkich, wielu bowiem tchórzów salwowało się ucieczką.

Katowani zatykali uszy palcami, wili się jak na palu.

— Nasi kozacy zuchy za nimi w pogoń. Jeden z nich ujrzał w lesie ludzi, podjeżdża więc i widzi: jeden z nich żyd, a drugi jakby chrześcijanin heretyk z bardzo pokorną miną. Nastawia pikę i pyta: wy »miatieżniki«, co? Nie, brzmi odpowiedź żyda. A kto wy? Ja, żydek, Mojsze Elefant, spokojny handlarz, mówi prawdziwy żyd. A ty kto? zwraca się kozak do drugiego. I ja starozakonny odpowiada łkając ze strachu. Łżesz, powiada nasz bohater-doniec, ty polska świnia i »miatieżnik«, Stój »śmirno,« żebym ci mógł bez trudu zadać śmierć, bo napracowałem się, kłując twych braci, i jestem zmęczony.

Polak tchórz w lamenta: dalibóg, panie kozaku, powiada, nie pójdę więcej do lasu. Ręce do góry! krzyczy nasz dzielny bohater, bo będzie jeszcze gorzej, jeśli przez posłuszeństwo nie okupisz swej winy: oderżnę ci uszy i wpakuję w pysk, boś nie chciał słyszeć rozkazu carskiego, a oczy wyłupię i oddam na pożarcie krukom boś nie chciał widzieć naszej ruskiej prawdy, język zaś wyrwę i naplwam na niego, boś złorzeczył swemu Panu.

Uczniowie prawosławni z dumą, nienawiścią i ironją spoglądali na naród przeznaczony im na pożarcie.

Mokronowski konwulsyjnie ściskał w kieszeni kamień, lecz nie miał siły wydobyć go, by cisnąć w kata... uczucie niemocy zawładnęło duszą i innych spiskowców.

— Polak widzi, że z kozakiem bohaterem nie prze-

lewki — dalejże w krzaki, a kozak za nim. Lecz w ostrych zaroślach pieszemu lepiej. Powstaniec ucieka, widzi wieś, przybiegł co tchu do wsi, a nasz bohater za nim. Nie ma przeto czasu szukać kryjówki.

Na szczęście ujrzał świnię przy korycie, pełnem jadła, odpędza ją z prosiętami, kładzie się na ziemię i nakrywa korytem. A nasz kozak tuż... tuż...

Widzi, stara świnia podnosi koryto ryjem, a młode kwiczą z żalu. »Chitier Dmitier, no i Sawka nie durak« — nasz bohater domyślił się, gdzie szukać »miatieżnika«, podnosi piką koryto i jak gwoździem przybił zbrodniarza do ziemi.

Pedagog wykonał ręką odpowiedni ruch, żeby pokazać jak się zadaje śmiertelny cios.

— Jęki konającego zlały się z żałosnym kwikiem prosiąt, opłakujących stratę jadła — dokończył przeszywając jadowitym wzrokiem smutne twarze dzieci.

Coś falowało w klasie, przelewało się z dziwnym łoskotem.

— Podła historja, krzyknął Mokronowski z płaczem.

— Podła — rozległo się jak echo na ostatnich ławkach złowieszczym głosem.

Nauczyciel zerwał się z katedry i postąpił kilka kroków naprzód.

— Kto krzyknął? do kozy wszystkich dopóki nie wydacie winowajcy. Poczekajcie, popamiętacie wy mnie!

Sapał, krzyczał, by zmusić klasę do uległości.

— Piotrowski, proszę powtórzyć to, com opowiedział.

Wyrwany drżał na całem ciele i wyciągał oniemiały chude palce.

— Cóż, nie łaska!

— Nie mogę tego powtórzyć, nie chcę, bo to wstrętne, to przecie nie lekcja.

— Nikt tego nie powtórzy, wdał się Rymsza, bo to nie lekcja, i jął jeszcze żywiej giestykulować razem z Piotrowskim.

Dzieci wpadły w ekstazę żalu i oburzenia, w klasie rozniosły się spazmatyczne śmiechy — wielu chłopców

poczuło niezwalczoną chęć wyrazić protest, wytłumaczyć nauczycielowi, że żadne dziecko polskie nie odważy się powtórzyć takiego bezeceństwa, nawet pod grozą kary śmierci.

Za przykładem Rymszy wyszedł rozpychając kolegów, Wasiutyński i rzucił się ku katedrze, gdzie nie mógł wydobyć z piersi ani jednego słowa, ale żywością giestykulacji i dziwnym wyrazem bladej twarzy przeraził nauczyciela.

— »Otstancie, szto eto takoje!«

Ku katedrze rzuciło się naraz kilkunastu, opanowani szałem protestu, podchodzili gęsiego, skradając się; jedni wykrzywiali, wpatrzeni w nauczyciela, nieme usta i wyciągali chude ręce, drudzy powtarzali gorące słowa niezadowolenia i żalu i popierali je żywemi ruchami rąk i palców, podrygując całem ciałem, krzyczeli, wskakiwali na stopnie katedry.

— »Otstancie, kanalji, otstancie«, wołał przerażony nauczyciel.

Mokronowski zaszczękał zębami, jak wilk, i zaśmiał się nieludzkim głosem, a potym zalamentował głośno, zawodząc jak wiejska kobieta nad zwłokami, bo mu stanęła żywo przed oczami męczeńska śmierć dziadka.

Nauczyciel porwał dziennik klasowy i opędzając się nim dotarł do drzwi.

— »Otstancie, djawoły«, krzyczał blady z przerażenia... otstancie!

Dzieci w strasznych podrygach, jak duchy mściciele, nacierały na przerażonego niezwykłym wynikiem nauki. Oczy zapadnięte w otchłań smutku, który pożera duszę niewolnika, z wysiłkiem świdrowały przestrzeń, dzielącą krzywdziciela od sponiewieranych, a ręce, te narzędzia wymowne błagalnej prośby i pożądania krwawej zemsty, odgrywały cały dramat, palce zakrzywiały się jak drapieżne szpony; drgały cienkie, płaczliwe, zmieszane w jeden krzyk, głosy.

— »Otstancie, ubijcy! otstancie djawoły«...

Głośno sapiąc, wypadł na korytarz.

Na pomoc napastowanemu nadbiegł Rubarko, za nim inspektor i Flegonow.

Krzyki i groźby nie wywierały już skutku.

— »Oni wsie s uma soszli«, zawyrokowali zdziwieni pedagodzy.

A twarze kurczyły się spazmatycznie, ręce wyciągały, z piersi wyrywały się głosy niedziecinne, straszne.

. . . .

XX.

Na peronie nieznaczne grupy wykwintnej publiczności używają przechadzki przed nadejściem pociągu z Warszawy.

Naczelnik stacji, mały człowieczek z dużemi siwemi wąsami, robi honory domu i paraduje sztywny w czerwonej czapce na głowie, z godnością wielkiego człowieka; zamienia ze znajomemi uprzejme powitania i przystaje dla pogawędki z grubszemi rybami. Do tych zwrócił się po polsku, do tamtych po rosyjsku i zaszwargotał poprawnie po niemiecku, chodząc pod rękę z eleganckim panem Ennerem, wice-dyrektorem fabryki wełny czesankowej.

Woźny, od którego łaski zależy wpuszczanie na peron przed pierwszym dzwonkiem, ma dziwny dar dobierania towarzystwa: smutnej czy zamyślonej twarzy ciśnie krótkie »nie wolno«, a obdartusa zdzieli po karku, bo wie, że znajomi pana naczelnika i inni wytworni państwo nie lubią mieszać się z hołotą.

Na peronie gwar i wesele. Mały, pulchny prefekt szkół prywatnych goni świeckim wzrokiem posuwiste mary rzeczywistości i ostentacyjnie, głośno, żeby go wszyscy słyszeli, przenosi święty gród Lechitów nad Sekwanę i śmieje się prawdziwie po francusku na wydęte, gardłowe errr... a panie mu wtórują.

Prawdziwy kosmopolis!

Hałaśliwe krzyki rosyjskiego towarzystwa rywalizują z krakaniem stada czarnych kruków, które przelatuje

nad peronem, by usadowić się na drzewach poblizkiego parku przy szpitalu, i stwierdzają swe dominujące stanowisko.

Pociąg przywitany sygnałem zatrzymał się z łoskotem.

Powstał zwykły gorączkowy rejwach, wysiadanie i wsiadanie; ciężki oddech parowozu, przesycony parą i wyziewami gorącej oliwy, naglił do pośpiechu, uprzytomniając podróż, zmuszał do nerwowych, jakichś nieświadomych odruchów.

Krzyki, wołania, stuk drzwi, zgrzyt spuszczanych okien, ciężki turkot wozu z bagażem zagłuszały syczenie pary.

— Drugi dzwonek do Sosnowca, do Dąbrowy, do Granicy, woła znużonym głosem stacyjny woźny, kalecząc niemiłosiernie urzędową gwarę.

Ruch nie ustaje, lecz traci powoli cechę niepokoju, twarze rozjaśniają się, niesforne krzyki przeobrażają w rozmowę, miękki głos prośby lub czułe zapytanie; kanciaste ruchy złagodniały — wydłużyły się w serdeczny uścisk pożegnania, smutny giest rezygnacji.

Trzeci dzwonek szerzy nowy popłoch.

Kilku spóźnionych pasażerów z Łęgoszem na czele przedziera się przez niechętny tłum, wprowadzając przykry rozdźwięk do ogólnego nastroju sytego bezpieczeństwa.

Ostatnie ostrzeżenie czy sygnał, ostra świstawka konduktora zadrgała nerwowemi rzutami i olbrzym zaszamotał się, ryknął potężnie raz i drugi i ciężko stękając ruszył w drogę.

Kłęby dymu buchnęły z dwóch stron mostu, wiodącego przez aleje, koła obracały się z pośpiechem, gonią się chyżo, postukując rytmicznie.

Przerwana rozmowa nawiązuje się znowu, głosy tłumione biegiem pociągu nabierają właściwej cechy wagonowej, zlewają się w rozgłośny gwar, na którego tle występują energiczniejsze dźwięki i pochłaniają uwagę słuchacza.

Łowicki siedzi wciśnięty w kąt.

Słyszy wyraźnie znany głos, wstaje, bada twarze.

— Zdało mi się; — w wagonie mowa ludzka traci swą odrębność, staje się prosto głosem człowieka.

Usiadł, nowe złudzenie — Tosia narzeka przed kimś na złość ludzką, a potym w wagonie rozległy się śpiewające, afektowane trele Mińskiej.

Pociąg na łeb, na szyję, z łoskotem sadzi z góry — okna dzwonią, drzwiczki drżą w takt gardlanego szwargotu Altmana.

Pierwsza stacja za Częstochową.

W przedziale ożywiona rozmowa i śmiechy obok skupionej uwagi.

Młody nadleśny, kurlandczyk, rządca dóbr majoratowych jakiejś gienerałowej, opowiada o spotkaniu swem z kłusownikami łamanym rosyjskim, mieszając polskie zdania i rosyjskie wykrzykniki.

— Jednego celnym strzałem położyłem trupem, zmierzyłem się do drugiego, lecz huk mego sztućca zlał się ze strzałem drugiego amatora cudzej zwierzyny. Byłem ugodzony w bok, — żeby nie upaść, oparłem się o drzewo, a zbój rzuca się ku mnie z podniesioną kolbą.

— Straszne położenie, ubolewał towarzysz poszkodowanego, który z fuzją w skórzanym futerale i wyżłem na smyczy jechał widocznie w gościnę do bohatera opowieści.

Spojrzał na sąsiada, szukając na twarzy jego przerażenia, czy współczucia.

Łowicki uśmiechnął się ironicznie, bo cała ta historja napawała go niesmakiem, i zamknął oczy.

— Co za strach, strachu nie miałem, a byłem tylko wściekły, że nie udało mi się położyć tego drugiego, przekonywał niemiec, przytym gruchnął mię kolbą z taką siłą, żem runął jak długi.

— Pan myśli, że to blaga, zwrócił się do Łowickiego, warszawskim akcentem towarzysz bohatera, niech no się pan przekona z swej łaski, tu miał rozwalony łeb i zrosło mu się. Czy nie zuch!

Niemiec podniósł czapkę i pokazywał bliznę.

— Proszę pana, czy prawo pozwala zabijać ludzi za upolowanie szaraka, zwróciła się do bohatera siedząca naprzeciwko dystyngowana brunetka, kładąc po-

wolnym ruchem na kolana romans francuski w żółtej okładce.

— Za mój zając ja jemu robię śmierć, to jest nasz »Waldrecht«, tłumaczył nadleśny, tak jest in Deutschland, in Russland, überhaupt in allen Kulturstaaten; w Zagórze lasowe ludzie grafa Henkel von der Donnersmark zabiła za jednego zając trzy chłopy — und alles in Ordnung!

Brunetka ze zdziwieniem podniosła wysoko brwi i rzuciła nerwowym ruchem książkę na siedzenie.

— Uważa szanowna pani, tłumaczył warszawiak, prawo pozwala na odebranie broni od takiego raubszyca i oddanie go pod sąd, jeśli nie stawia zbrojnego oporu, lecz w ogóle na zasadzie smutnego doświadczenia weszło w użycie, że się z takiemi panami nie robi ceremonji i pali się im prosto w łeb.

— Ależ to przecie ohydne! więc wolno zabić człowieka bez żadnych wyrzutów sumienia, dla tego, że zabójstwo w lesie łatwo upozorować obroną; w takim razie mam prawo zamordować spotkanego w nocy przechodnia jak najpodlejszy tchórz, w obawie, że jest zbójem i przywita mię strzałem rewolwerowym, obruszył się zarośnięty jak niedźwiedź student i wyciągnąwszy nogi, rozparty, pogardliwie oglądał niemca.

— Das ist kein Mord, das ist Niederschiessen eines Raubschützen, eines Wilddiebes und aus damit, perorował niemiec.

— Co też pan oczy mydli fałszywą podwójną buchalterją, mieszkam o miedzę i wiem, że służba leśna w Zagórzu zastrzeliła przed dwoma miesiącami młodego parobczaka, który poszedł do lasu nazbierać jagód dla chorej matki, a w przeszłym roku zamordowano dziewczynę przy zbieraniu grzybów — a to »Mord« czy »Niederschiessen«. Podciągnięcie zabójstwa pod pewną rubrykę najzupełniej uspokoi sumienie pana!

— Niech chłop wie, że nie ma prawa do cudzego, — niemiec wygrażał kułakiem ciemnej powierzchni okna.

Student, nie zważając na obecność wojskowych, z ża-

rem piętnował ciasne pojęcia moralności kastowej, która uświęca najohydniejsze zbrodnie i ma jeszcze dosyć czelności wystawiać podrygi nizkiego egoizmu jako walkę o dobro społeczne.

— Nun das ist ja was ganz unerlaubtes, das ist ja echter Socialimus, krzyczał niemiec, akcentując słowo »socjalizm« z miną prawdziwego szpicla.

Student splunął z pogardą.

Kilku panów przysiadło się do dysputujących, jedni zgadzali się z niemcem, że dla ochrony zwierzyny trzeba się zgodzić na surowe środki względem ludzi, drudzy dowodzili, że obrona mienia nie powinna być połączona z nadużyciami, bo się przez to rozwija w ciemnym tłumie ludu dzikie instynkty odwetu i zemsty.

Konduktorowie zapalali światło.

Niemiec upornie bronił swych poglądów, dowodził zajadle, że »staatsgründende und staatserhaltende, ordnungsliebende Partei«, t. j. posiadacze dóbr tego świata i ci, co sprawują władzę w ich imieniu, powinni mieć prawo wymierzania doraźnych surowych kar, bo inaczej świat obróci się do góry nogami.

— I dajże władzę takiej bestji, mruczał Łowicki pod nosem i jeszcze głębiej zaszył się w swój kąt.

Znalazł się nowy zwolennik doraźnych sądów, otyły, wygolony jak lokaj, jegomość w szarym podróżnym angielskim garniturze rozwodził się nad dobrodziejstwem prawa, zabraniającego strajków.

— Panie, tę hołotę trzeba trzymać mocno w garści; do czego doszłoby w Sosnowcu, żeby tam kozacy i dragoni nie zaprowadzili porządku.

Pociąg stanął; niemiec z towarzyszem wysiadł, publiczność przerzedzała się, student rozciągnął się i zachrapał na cały wagon.

— Gdy warunki i stosunek siły zmienią się, wskutek nieprzewidzianych kataklizmów dziejowych, rozmyślał Łowicki, gdy żelazny kułak władzy rozchyli palce zdrętwiałe, ileż mścicieli krzywd ciężkich znajdzie się wtenczas. Odpłacą bezwzględnością za bezwzględność, wytoczą krwi morze i pławić się w niej będą, bo świa-

tło i miłość, gdy był czas ku temu, nie skierowały wzroku rzeszy wydziedziczonych ku błękitom, a ciemnota, wyzysk i nędza utrzymywały i krzewiły instynkty zwierzęce.

Na dworze już ciemno, długie warkocze iskier przelatują koło okna.

— Pyszni i dumni zawładnęli światem, a ciężkie są rządy przemocy, lecz zginą w krwawych zapasach z siłą, co kryje się w duszy ludzkiej!

Pociąg całą siłą pary zbliża się ku olbrzymiemu siedlisku przemysłu, niebo coraz częściej świeci odblaskiem pracy ludzi, którym nie wolno marzyć o jaśniejszej przyszłości, których jedynym dziedzictwem jest pot i znój, głód, kalectwo i zwyrodnienie.

— Niema na ziemi miejsca, chyba w kazamatach, dla ludzi, co nie mogą należeć do budujących i utrzymujących państwo przemocy, potęgę mroku, ucisku i krzywdy, bo natura nie wlała w ich duszę dostatecznej ilości chuci krwiożerczych... a państwo miłości ginie w błękitach mgły oddalenia.

Bolesna zaś świadomość tego, jak się świat rządzić powinien, nie pozwala godzić się bez protestu z rolą bydlęcia, prowadzonego na rzeź.

— Stąd walka!...

W pracy przelatujących gromadą iskier było coś rozpaczliwego, — gasły bez śladu, nie miały siły rozświecić mrocznej przestrzeni.

Pociąg przechylił się na skręcie, w ciemności zarysowało się kilka wagonów, potym cały szereg, zamigotały różnokolorowe ogniki, na peronie latarnie elektryczne ciskały całe snopy fioletowych blasków.

Wagony zatrzymały się z zgrzytem.

. . . .

Po błocie dobrnął do gmachu głównego zarządu — Marjańskiego zastał przy pracy; był jakiś nie swój i zażenowany.

— Niech się pan nie powołuje na mnie, bo u nas tego nie lubią i mogliby wysnuć, że zajmuję się nielegalnie rozdawnictwem posad, wreszcie w obecnej chwili

nie mamy ani jednej nieobsadzonej, zapewniał z uprzejmym uśmiechem.

Wszelkie iluzje Łowickiego rozwiały się, Marjański stał się nieczułym na wszystko biurokratą fabrycznym.

Podziwiał umiejętność rozmowy z dyrektorem niedawnego ideowca, — trzyma się niby z godnością, lecz uprzejmym uśmiechem, giestami życzliwości wkrada się wprost w duszę, śpiewa czuły hymn uwielbienia.

Łowicki niemiłosiernie analizował duszę Marjańskiego, robił z niej preparaty, wstawiał cieniuchne strzępy pomiędzy dwa szkiełka i przyglądał się im przez lupę... a potym przerażony wynikiem pracy złożył poszarpane części i podniósł do wysokości czarnej linji horyzontu życia.

I zdziwił się, bo dusza znikła, a czarna linja uwydatniła się jeszcze więcej!

Pryncypał udał się do swego gabinetu, gdzie Marjański opowiada mu coś wesołego, bo do kancelarji dolatuje śmiech dygnitarza.

— Mógłby mi pomódz, lecz nie chce, nic nas przecie nie wiąże?

— A jeśli i w Dąbrowie spotka mię zawód? może Bartnicki nabrał poloru światowego i staje w obronie interesów fabrykanta, gdy robotnik ocieka krwią i daremnie szuka urwanej ręki lub nogi.

W rozmowie Marjański ciągle napomykał, że w przemyśle lepsze miejsce może dostać przez odpowiednią protekcję człowiek, mający co się zowie trzeźwe poglądy na życie.

— U nas nie zawadzi nawet pewna doza bezwzględności, rzucił niedbale i podniósł ku swym oczom jakiś ważny dokument.

Łowicki szukał duszy Marjańskiego na czarnej linji widnokręgu, lecz nie znalazł jej.

— A kto protekcji nie ma? zapytał dziwnie rozstrojonym głosem.

— Trudna rada, powinien się zasługiwać, żeby ją zdobyć, a primo pozbyć się niepotrzebnych w życiu weltszmerców i radykalizmu.

— A ty jesteś niezdarnym krytykiem warunków życiowych, których przecie zmienić nie potrafisz, drżało wyraźnie w nucie głosu Marjańskiego, wypływało z lekceważącego uśmiechu.

Czuł się podwójnie wykolejonym, przytym żywił głęboki żal do trzeźwego działacza, bo wszystkie jego wywody nie licowały zupełnie z godnością doktora filozofji, którą piastował, i dawnemi ideałami.

— Łączą nas jakie takie stosunki, mamy nawet wspólnych krewnych, po co mię maltretuje!

U siebie w domu pan sekretarz sadził się na gościnność i uprzejmość, a gdy niebawem zjawiło się kilku gości, obdarzył obecnych klejnotami swej wiedzy, przeglądając albumy rozprawiał o sztuce, zachwycał się niezrównaną prawdą dali u malarzy polskich.

Marjańska raziła Łowickiego podobieństwem do Mińskiej, te same gęste wschodnie brwi, rozchylone z zadowolenia usta, które nie są w stanie pokryć wydatnych zębów, to same okazywanie współczucia wzrokiem, gdy dusza nic nie mówi.

Nie chcąc nadużywać gościnnności zadowolonych nowożeńców, wyjechał późnym wieczorem do Dąbrowy Górniczej.

Pociąg sapiąc ruszył ociążale i groźnie wyrzucał z komina krwawe zarzewie iskier.

Niebo pała jedną wielką łuną; młoty kują, że aż ziemia drży w posadach.

Cała przestrzeń, najeżona potwornemi kadłubami kuźnic, wydaje się miejscem jakiejś strasznej wyuzdanej walki rozhukanych żywiołów — piekłem, gdzie wycie skazańców wydobywa się z ognia, pożerającego ich ciała — polem krwawych zapasów, gdzie głosy walczących, zlane w jeden rozjuszony krzyk, biją ku niebiosom, a szczęk broni niesie zgrzyty łamanych kości.

To nie łuna, niebo się pali żywym, groźnym płomieniem, a ludzkie głosy i wołanie zamierają w rozpacznym wysiłku skargi i złorzeczenia.

Bartnicki przywitał Łowickiego ozięble.

— Napij się ze mną sznapsa, bo czuję się niezdrów. Wiem, że nie pijesz, lecz dziś zrób wyjątek, dodał po chwili i obejrzał przybyłego od stóp do głowy.

Nalał drżącą ręką dwa kieliszki wódki.

—. Więc cóż, wylałeś już z duszy pedagogję, czyż nie przepowiadałem!

— Pędzą, łatwo się domyśleć.

Bartnicki machnął ręką i splunął w kąt po wypróżnieniu kieliszka.

— Ja się domyślać nie umiem, mnie trzeba mówić, gdzie boli, i to nie zawsze potrafię określić, czy siedlisko choroby w sercu, czy wątrobie.

Zaśmiał się suchym, bezdźwięcznym głosem.

— Mniejsza o to, jutro pogadamy, a teraz idźmy spać.

Łowicki egzaminował twarz gospodarza.

Zapuścił brzydką, strzępiastą brodę, lecz nie mógł zamaskować zapadniętych policzków i skroni.

Wydał się Łowickiemu nie to, że chorym, lecz jakimś innym.

Doktór zachrapał, oddychał ciężko.

— Gdy wszystkie rachuby zawiodą, gdzie mógłbym na czas jakiś umieścić swoich, nim się urządzę?

Jakieś wybuchy, zgrzyty chrapowate, zamaszyste, rozkołysały się w powietrzu; rozgłośne uderzenia następowały w jednakowych odstępach i wtłaczały do mózgu groźne poczucie nieubłaganej prawidłowości życia, które nie zmieni swego trybu na żadne zaklęcie.

— Zgiń, przepadnij, tłucz głową o ścianę, wpadaj w rozpach i krzycz wielkim głosem, a młoty będą się poruszały miarowo, dym buchał z komina, ostre zgrzyty szarpały nerwy.

— Do życia nie warto występować z pretensją, trzeba je umieć zwalczać.

A kto nie posiada tej umiejętności?

— Będzie gnił z dumą na czole, że nie kala krwią swych rąk, lecz prawdziwe miano dla takiego bohatera — niedołęga.

— To potwarz niegodziwa, zwalczanie życia w takiej formie, w jakiej jest, zawsze zasadza się na katowaniu ludzi, a nie każdy na to zgodzić się może.

Doktór zaśmiał się przez sen złośliwie i boleśnie.

— Ot taki niemiec umiał się urządzić — przyjechał z tym pieczeniarzem, czy inżenjerem na stację, wsiedli do bryczki, która na nich czekała, jadą do domu, konie parskają raźno. Kolacja dymi na stole, służba czeka, psy rzucają się radośnie ku panu; w mieszkaniu ciepło, cisza, właściwy wsi nieokreślony aromat lasów, czy pól, pomieszany z zapachem świeżego siana... i z nieznaczną przymieszką zapachu krwi!

— Żona takiego człowieka będzie, co się zowie szczęśliwą, a Tosia jest bezdomną, a Stasia dzieckiem bezdomnem!...

Ledwo zdołał zasnąć, dręczony smutnemi myślami, rozległo się pukanie do drzwi.

Płaczliwy głos kobiety błagał o coś Bartnickiego.

— A przecież mówiłem, zrzędził złośliwie, że Andrzej długo nie pociągnie, trzymałaś go, kobieto, przy piecu, bo więcej zarabiał, tfu do licha!

Nieszczęśliwa zanosiła się od płaczu.

— Nie becz babo! jak Boga kocham, zwarjuję tu z wami.

— Pięcioro dzieci, starzy rodzice, — sam widział, że nieraz głód był w chałupie, a tam robota lżejsza, lecz mniejsza płaca, cóżem ja winna!

— Więc cóż ja wam poradzę, co! czy to moja fabryka, czy co, do pioruna; czy ja robotę i płacę wyznaczam, czy moja wina, że te psie juchy nie mają sumienia.

Drzwi kuchenne klapały, jakby poruszane wiatrem.

— Franciszek, nalejże mi sznapsa, bo jak Boga kocham, sam czuję się chorym.

Łowicki słyszał jeszcze na dworze złośliwy głos Bartnickiego i płacz kobiety.

Obudził się późno z ciężką głową i ubierał gorączkowo, by rozpocząć nowe zabiegi.

Bartnickiego nie było już w domu.

— Ha, doktór ciągle łazi i we dnie i w nocy; u nas bo robota taka, że naród choruje — to ziemia siłę zabierze i kości skórczy, to ogień krew wyżre, abo i siarka pozbawi zdrowia i dychawica dech zaprze, opowiadał Franciszek i krzątał się, postukując drewnianą nogą.

Śnieg przyprószył ziemię, na duszy lżej...

Łowicki skierował się na wieżę pałacu dyrektorskiego, która panuje nad całą okolicą.

Dzielna tusza, potężna głowa, silny zwierzęcy zarost, wyłupiaste oczy i ryk żubra, który wydobywał się z szerokich piersi i poprzedzał każde zdanie, świadczyły wyraźnie, że potentat należy do gatunku budujących i utrzymujących przedsiębiorstwa przemysłowe — potem ludzkim i krzywdą—a w pewnych okolicznościach i krwią chama, gdy ten upomni się o swoją krwawicę.

Dyrektor, zacierając ręce, spojrzał na zegarek.

— Doktór był u mnie przed chwilą, lecz cóż — wszystkie posady, które są coś warte zajmują w Hucie Bankowej francuzi, a Polak niespecjalista może liczyć najwyżej na licho płatne miejsce zwyczajnego »gratepapier«, a i takiego nie mam obecnie do dyspozycji, wyłomotał rycząc groźnie, i mierzył interesanta wzrokiem pełnym siły i pewności siebie.

Na Łowickiego wiadomość ta nie wywarła najmniejszego wrażenia.

Błąkał się po osadzie, spotkał wiecznie łażącego we dnie i w nocy doktora, który go zapoznał z jakimś inżenjerem; zwiedzał różne oddziały fabryki, drżał pod ziemią i piekł się przy ogniu.

Koła rozpędowe mielą, zęby biorą się za bary, pasy poruszają ciężkie gorące powietrze, ręce ludzkie wznoszą się i opadają — jeden wielki chaos i nędza.

Platforma w szalonym rozpędzie wyrzuca kilkunastu ludzi z pod ziemi na powierzchnię.

Na dworze dziwnie zimny, wilgotny i bezbarwny zachód słońca.

Śnieg topniał — czarna od miału węglowego ziemia przeświecała żałobnemi plamami, w niższych miejscach

woda, w oprawie błota, przypruszonego śniegiem, zbiera się w brudne kałuże; dalej jakieś jamy cuchnące, porozrzucane ciągną się, jak gotowe doły cmentarne, i zbiegają ku wąwozowi, gdzie pomiędzy biało-brunatnemi pochyłościami spadu, najeżonego zwaliskami zbitych mas ziemi, sączy się struga strasznie czarnej wody.

Na samym dnie kilka mokrych głazów i ostrych odłamów skały ciska przekleństwo ku niebu i złorzeczy niszczycielom nieskazitelnej piękności ziemi.

Za wąwozem sterczą czerwone kamienice, a przy nich na śmietniku rzędy nędznych domostw czernią się otworami okien i drzwi.

Łowicki przestał wyszukiwać suchszych miejc, szedł po błocie, jak ci, których przeznaczeniem gnić przez całe życie w kałużach.

Grupa schorzałych, rozwichrzonych sosen, które odbijają czerwienią pniów od czarnej rozmiękłej ziemi i szarego namiotu niebios, długie pogmatwane pasma wzgórzy, kadłuby warsztatów z łamanemi dachami, jakieś wieże, dymiące i rozwarte do płonących głębin wrota, czarne potworne szkielety wiaduktów i mostów, otulone dymem i kurzem, napawają duszę lękiem, a bliżej wznosi się wieża pałacu, jak obserwatorjum nędzy ludzkiej i zabija wiarę w zacność duszy człowieka.

Zaczynało szarzeć, gdy Łowicki stanął na progu mieszkania Bartnickiego. Porozumieli się wzrokiem, bo ostrze słów mogło odnowić niezabliźnione rany.

Dzwonek przy telefonie drżał alarmowym głosem.

— Nieszczęście!

— Jeśli po wszystkiem, coś widział, możesz patrzeć na krew, łzy, wal ze mną dla rozmaitości do ambulatorjum.

Doktór ubrany jak do wyjścia zatrzymał się, jakby coś przypomniał, czy toczył ze sobą walkę.

— Franciszek, nalej mi tam sznapsa, bo ja sam źle się czuję, a ciągle muszę łazić.

Na dworze ściemniało zupełnie — słupy ogniste ciskały płomieniem, a olbrzymia łuna znów rozlała się na niebie i ziębiła trwogą, przeczuciem wielkiego nieszczęścia:

dzikiej wojny bratobójczej, niesłychanej zbrodni, krwawego najścia wrogów, których zemsta obraca w perzynę ludne grody i sioła kwitnące i już się zbliża, by miecz utopić w sercu i wargi zbielałe ofiary wykrzywić krzykiem ostatniej rozpaczy.

W ambulatorjum lektyka, a naokoło niej łomocze się czarnemi skrzydłami ciche, żałosne kwilenie.

Krew się sączy, stoi całą kałużą na betonowej posadzce.

Łowicki spotkał łagodne wejrzenie dwojga nieruchomych oczu, wargi nieszczęśliwego poruszały się z bólu.

Przybliżył się do lektyki, patrzał na oświetlone elektrycznością strzępy ciała ludzkiego pomieszane z odzieżą, chociaż dziwne, mdlące łechtanie biegło od serca ku krtani... Był przekonany, że to zwyczajny widok w tem piekle nędzy ludzkiej.

Felczer przybiegł do pomocy, tamowano krew.

— Przygotować stół operacyjny, komenderował Bartnicki.

Głęboki oddech wydłużył się w jęk, lektyką jakby ktoś wstrząsnął.

Szklanny korek flakonu na stole podnosił się gwałtownie i opadał.

— Nic mu nie pomoże, rzekł przytłumionym głosem stary robotnik, dusza gotuje się do odlotu.

Bartnicki stał przy lektyce z zwieszoną głową, skupiony i poważny.

— Dusza już odleciała!

Zimny wiew musnął twarz Łowickiego — ocknął się i obejrzał... w okna biła łuna i niosła cichy, tajemniczy szept.

Na dworze zawył wiatr — drzwi otwarły się szeroko i czarna postać runęła z krzykiem na martwe zwłoki.

Syreny fabryczne zagrały . . . .
. . . .

Po skończonej pracy w ambulatorjum snuje się gromada chorych robotników.

Lektykę z ciałem wynoszą do przyległego pokoju, a doktór z wypiekami na zapadniętych policzkach bierze się do roboty.

Wysoki, blady robotnik obnaża piersi; — serce bije jak młotem, z krtani wyrywa się rzęrzenie.

— W odlewni długo nie wytrzymacie; który już raz powtarzam to.

— Nie puszczają od ognia, a pracy przecie nie rzucę, bo wtedy co?

Robotnik machnął rozpaczliwie ręką i ponuro spojrzał w kąt.

— Jakto nie puszczają, gorączkował się Bartnicki, muszą puścić, przecież raportowałem w jakim stanie wasze zdrowie.

— Nie puszczają i tyle, zapiał ochrypłym szeptem, wciągając powietrze.

Zaniósł się od kaszlu, odchrząknął i splunął krwawą pianą do skrzepłej kałuży na podłodze.

— To czort wie co, od czegoż ja tu jestem!

Pod oknami ambulatorjum przeciągała z dzikim śpiewem gromada pijanych górników.

— Poczekajcie, upomną się kiedyś o krzywdy swoje, a wieże pałaców strącą w błoto, gdy nastanie wielki dziejowy caltag... bo nie znaliście litości, wyrzucił doktór z spartych piersi i zakaszlął się.

Drugi robotnik cierpi na cukrową chorobę, wzrok świeci gorączkowo, z popękanych warg sączy się cienką strugą krew.

— Nie lepiej?

— Gdzie tam, gorzej! pali we wnętrzu, jak ogniem, morze wody wypiłbym.

Lekarz egzaminował chorego długo, kaszlał, chrząkał, zżymał się.

Obrzmiała twarz robotnika była napozór zupełnie obojętną.

— Najsilniejszy człowiek nie zdoła przepracować w takiem piekle dłużej, jak dziesięć lat; gdy siły zabraknie, zmiana pracy musi nastąpić; zajęci kartami i rozpustą, te bestje, nie czytają chyba moich raportów.

Doktór miotał się i klął na czem świat stoi.

Gdy ostatni robotnik wyszedł, spojrzał z wyrzutem i ciężko usiadł na plecionym fotelu.

— Widzisz, bratku, a my jeszcze narzekamy!

Łowicki odtwarzał w myśli udręczenie, przez które przechodził robotnik, gdy ciężka praca podcinała zdrowie, a pomocy, ulgi, litości znikąd nie można się było spodziewać.

— Ot bierz i zdychaj!

— Zjadła mię ta Dąbrowa, wszystkie siły wyżarła, narzekał Bartnicki płaczliwym głosem.

— Czyż ludzie nie mają sumienia, Boga w duszy?

— A widocznie nie mają, krzyknął groźnie, przykładając usta prawie do ucha Łowickiego.

Wdowa w przyległym pokoju zmogła się wybuchami rozpaczy i płakała cicho, pogodzona z straszną wolą losu.

A młoty z łoskotem kuły żelazo, potężne rzuty rozdzierają powietrze, aż się łuna chwieje na niebie.

. . . .

Zapadła noc — lecz praca nie ustaje, żelazo kurczy się, wre w potężnych tyglach, leje się strumieniem, czerwone... jak krew!

Łowicki nie może zasnąć, bo ogień prześwieca przez powieki,... pali... przenika do mózgu...

. . . .

Zapomniał o własnych bólach, a sercem ogarnął litośnie wszystkich biednych i wydziedziczonych.

TEGOŻ AUTORA:

ELEGIE. KRAKÓW — 1907 r.